MAGAZYN OPINII

Pismo.

KWIECIEŃ 2026 | NR 4 (100)

100. NUMER

IDEE

Tomasz Stawiszyński: elity nas opuściły

TECHNOLOGIE

Sylwia Czubkowska: jak bogacze niszczą światowy ład

MUZYKA

Rosalía śpiewa nad pomidorową

FILOZOFIA

Katarzyna Kasia: przeciw tyranii romantycznej miłości

FOTOREPORTAŻ

Więźniowie czwartego piętra

CENA: 24,99 zł (W TYM 8% VAT)
ISSN 2544-5022 INDEKS 422258
04>
9 772544 502609

eprasa.pl cab18af919

MAGAZYN OPINII

Pismo.

KWIECIEŃ 2026 | NR 4 (100)

100. NUMER

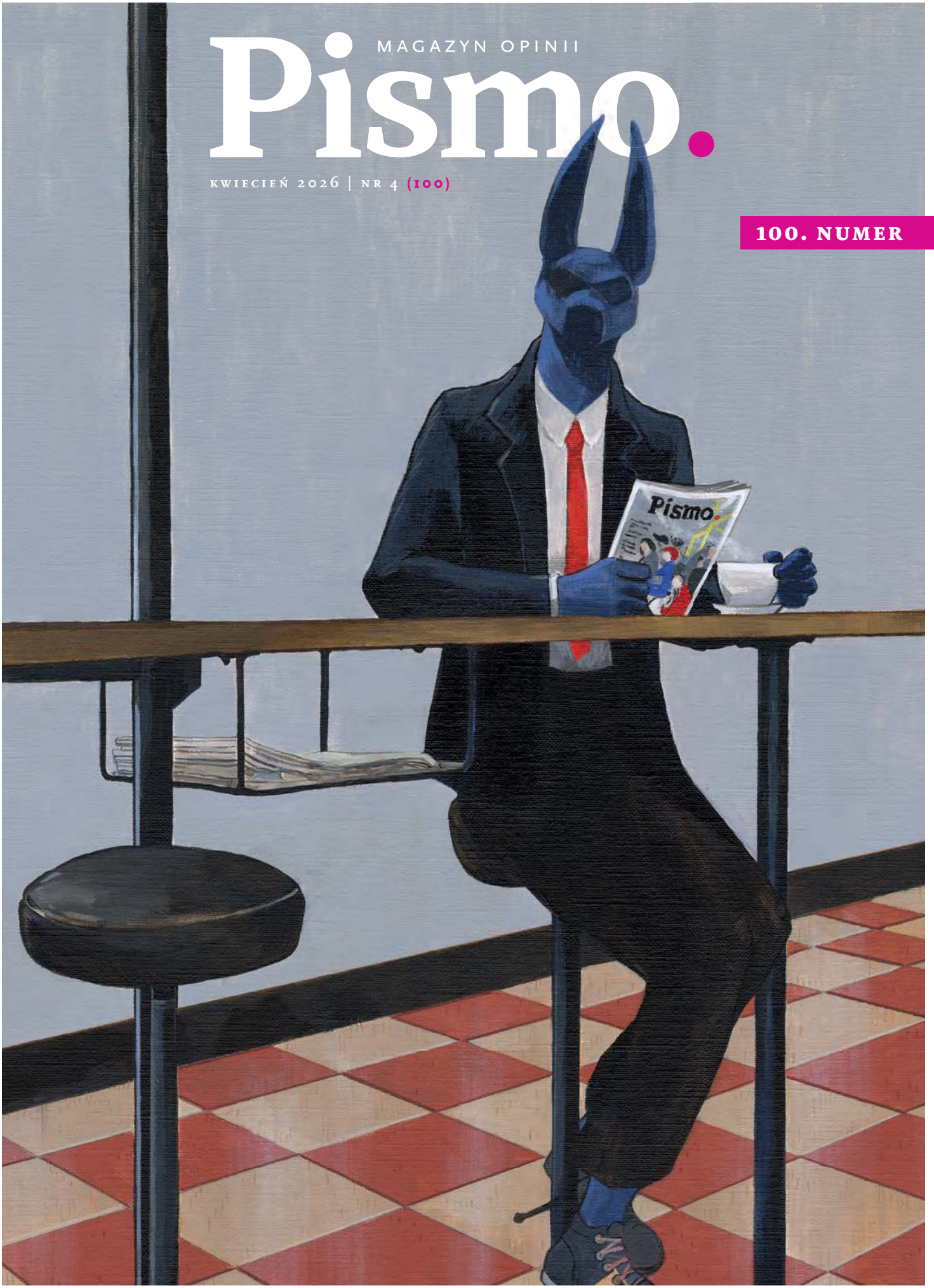

eprasa.pl cab18af919

Kulturalny planer

MAGAZYN OPINII
Pismo.

MATEUSZ ROESLER
wybiera najciekawsze wydarzenia kulturalne, na które warto wybrać się niebawem.

Czytaj co miesiąc w serwisie i aplikacji.
Więcej na magazynpismo.pl/rzecz-gustu

rysunek PAWEŁ SMARDZEWSKI

ART & SCIENCE

Przybliżamy świat kultury i nauki. Dzielimy się emocjami i wiedzą.
Mecenasem kultury w „Piśmie" jest **ORLEN Art&Science**.

eprasa.pl cab18af919

OD REDAKCJI

100. numer

URSZULA KIFER
redaktorka naczelna „Pisma. Magazynu Opinii" i prezeska Fundacji „Pismo". Pracowała jako dziennikarka i redaktorka m.in. w Wirtualnej Polsce, Gazeta.pl, „Newsweeku" i „Rzeczpospolitej". Przez pięć lat współtworzyła Fundację Reporterów, jako sekretarzyni redakcji i szefowa działu *fact-checkingu*.

The New Yorker", legendarny tygodnik i źródło inspiracji dla naszej redakcji, w ubiegłym roku hucznie obchodził stulecie istnienia. „Pismo" ma swoje święto dziś: właśnie trzymacie w ręku jego 100. numer. I przy zachowaniu wszystkich proporcji mam poczucie, że to nie mniej ważna okazja.

Nasz miesięcznik powstał w czasach o wiele trudniejszych dla prasy niż lata 20. XX wieku, kiedy debiutował amerykański magazyn. W 2018 roku drukowanym tytułom spadała sprzedaż, a cięcia w budżetach wydawnictw odbijały się na jakości publikowanych treści. Rewolucja internetowa, trwająca od początku lat 2000., oznaczała coraz częściej pogoń za klikami oraz podporządkowywanie się reżimowi algorytmów wyszukiwarek i platform społecznościowych.

Pomysł, aby w tej sytuacji stworzyć zupełnie nowy tytuł, który nie będzie szedł na kompromisy – ani pod względem dbałości o proces redakcyjny, ani doboru tematów, ani estetycznej formy – sprawiał wrażenie karkołomnego. Czy da się jeszcze wydawać magazyn, w którym znajdzie się miejsce na ambitną fotografię, ilustracje polskich artystek i artystów, współczesną prozę i poezję, długie, przygotowywane miesiącami reportaże i eseje? Który jednocześnie nie stroni od nowoczesności, oferując swoje treści także na stronie internetowej, w wersji na czytniki i audio czytane przez lektorki i lektorów?

Wy, nasi Czytelnicy i Czytelniczki, udowodniliście, że ten pomysł miał sens. Że jest grupa osób, która szukała takiego tytułu i chce po niego regularnie sięgać. Która wspiera nas od ponad ośmiu lat, pisząc do nas listy, komentując nasze teksty, kupując prenumeratę, wpłacając darowizny na Fundację „Pismo" (w tym roku po raz pierwszy można nas też wesprzeć 1,5 procentem swojego podatku przy rozliczaniu PIT-u). Ten 100. numer powstał dla Was i dzięki Wam.

Przygotowaliśmy prawdziwą ucztę: od wyjątkowej okładki stworzonej przez Joannę Karpowicz, przez eseje i reportaże Tomasza Stawiszyńskiego, Sylwii Czubkowskiej, Katarzyny Kasi i Mirosława Wlekłego, po najnowsze opowiadania Małgorzaty Rejmer i Ignacego Karpowicza. Mamy też dla Was niespodzianki – Ewa Wołkanowska-Kołodziej wraca z aparatem fotograficznym do bohaterów i bohaterek swojego głośnego tekstu *Więźniowie czwartego piętra* z pierwszego numeru „Pisma", a Wasi ulubieni twórcy (i jedna twórczyni) żartów rysunkowych przygotowali całostronicowe szkice. I to wciąż nie wszystko! Zapraszam do lektury.

1,5%

Wspieraj rzetelne dziennikarstwo. Przekaż 1,5% swojego podatku na Fundację „Pismo".

KRS 0000689263

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl cab18af919

-SETKA-

rysunki MICHAŁ RZECZNIK

MICHAŁ RZECZNIK, kulturoznawca, scenarzysta i rysownik, twórca rysunków satyrycznych, ilustracji i murali, kurator wystaw. Autor lub współautor albumów komiksowych, m.in.: *Dziennika okupacyjnego Stanisława Rembeka*, *Sylwetek i cieni*, *88/89*, *Warszawy*, *Maczużnika*. Wydawca zinów i twórca warsztatów rysunkowych. Członek artystycznej grupy Maszin. Współodpowiedzialny za fanpage *Naprawdę nieśmieszne rysunki*. Od poniedziałku do piątku można go spotkać w Muzeum Karykatury.

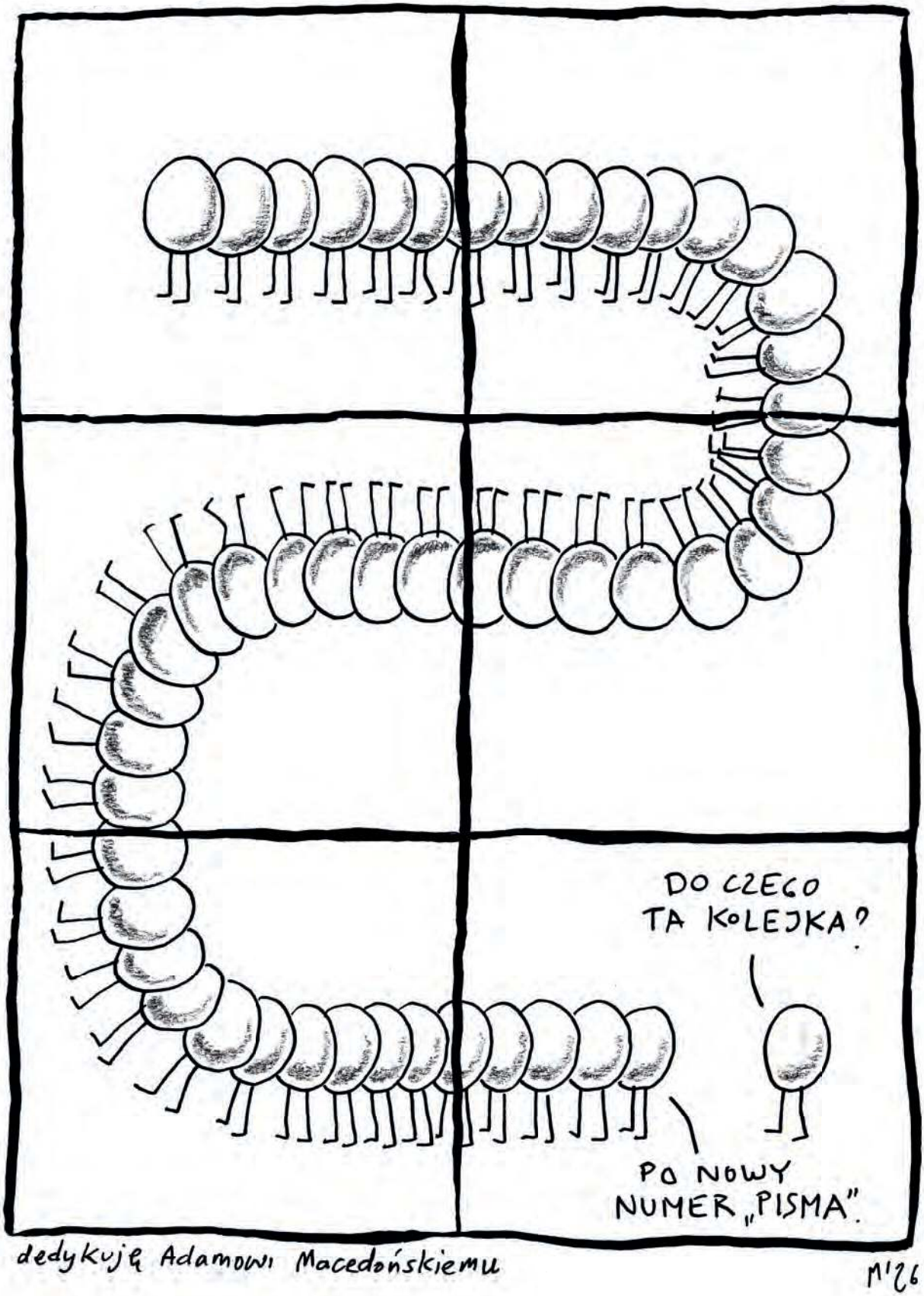

eprasa.pl cab18af919

MAGAZYN OPINII
Pismo.
100. NUMER
KWIECIEŃ 2026

TEMAT OKŁADKOWY

14 | **Upadek człowieka z Davos**
TOMASZ STAWISZYŃSKI zastanawia się, czy czeka nas demontaż elit, jakie znamy

26 | **Ciemno, prawie noc**
SYLWIA CZUBKOWSKA ostrzega: technobogacze przejmują władzę nad światem

PROZA

Szczurza dziewczyna | 8
MAŁGORZATA REJMER

Fundacja | 90
IGNACY KARPOWICZ

POEZJA

******* | 5
LUIGI NACCI

Ojciec | 13
ROGER ROBINSON

Zbiera się na kłopoty | 83
A.E. STALLINGS

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 69
JESSIE WARE, pyta MATEUSZ ROESLER

W KADRZE

Korzenie i gigant | 6
ARTEM HUMILEVSKYI

FOTOREPORTAŻ

Więźniowie czwartego piętra | 36
EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ

SZKICE I ŻARTY OBRAZKOWE

Cztery setki | 2, 25, 68, 87
BELCZYK, GLAZA, RZECZNIK, ZAWADA

OKŁADKA

Anubis czyta „Pismo”
JOANNA KARPOWICZ
33 x 41 cm, akryl na papierze
2026

Z PISMEM U...

48 | **Mirosława Ikonowicza**
MIROSŁAW WLEKŁY o niezwykłym życiu korespondenta zagranicznego

ESEJ IDEE

62 | **O miłości**
KATARZYNA KASIA rozważa, czy filozofia może nam wyjaśnić nasze uczucia

ROZMOWA

70 | **Słuchaj swojego ciała**
KRZYSZTOF ŁONIEWSKI i URSZULA ZDANOWICZ o zdrowym treningu

PORTRET

78 | **Rosalía – między flamenco a operą**
JAKUB KNERA opowiada o muzycznym fenomenie z Hiszpanii

FELIETON

4 | **Po treści**
KAROLINA LEWESTAM // MYŚLI ZNIKĄD

88 | **Moroccan Holiday**
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA o FAITH RINGGOLD // W RAMACH

94 | **O śpiących buntownikach**
MAGDALENA BIGAJ // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

96 | **Przyjaciele papieru**
AGATA ROMANIUK // COŚ NA RZECZY

Pismo. MAGAZYN OPINII

Pismo. Magazyn Opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja „Pismo”
ul. Świeradowska 47,
02-662 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezeska zarządu: Urszula Kifer
Członkini zarządu: Inez Jaworska

Redaktorka naczelna: Urszula Kifer **Zastępczyni redaktorki naczelnej:** Katarzyna Kazimierowska
Redaktorki prowadzące: Magdalena Kicińska, Zuzanna Kowalczyk **Weryfikacja faktów:** Marcin Czajkowski
Felietony: Magdalena Bigaj, Karolina Lewestam, Agata Romaniuk **Redakcja:** Joanna Dolecka, Sylwia Niemczyk, Zofia Sawicka, Ilona Turowska **Korekta:** Tatjana Krajowska-Kukiel, Dorota Śrutowska
Dyrekcja artystyczna: Karolina Mazurkiewicz **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz
Wydanie cyfrowe: Ewa Pluta (wydawczyni) **Menedżerka pozyskiwania przychodów i marketingu:** Inez Jaworska
Marketing: Anna Ostrowska **Media społecznościowe:** Marta Szymczyk **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, Łukasz Tofil **Koordynator projektów i współprac:** Mateusz Roesler

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

eprasa.pl cab18af919

FELIETON // MYŚLI ZNIKĄD

Po treści

Jak patrzeć na książki, filmy, media i świat, kiedy coraz trudniej ułożyć sobie tożsamość? Opinie i przekonania, które próbują się nie przejmować, że płyną coraz bardziej znikąd.

KAROLINA LEWESTAM
dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma".

Koniec zimy zastał mnie stawiającą pytanie: „Co jest ważniejsze – sens czy forma?". Równocześnie z tym pytaniem stawiałam popcorn na oparciu krzesła, działo się to bowiem w kinie, do którego wybrałam się na film *Wichrowe Wzgórza* Emerald Fennell. Seans poprzedziłam dokładną lekturą książki Emily Brontë wraz z pogłębionymi przypisami. Czuję się więc teraz w prawie powiedzieć, że powieściowa historia niespełnionej relacji Cathy i Heathcliffa jest subtelną i wielowarstwową analizą sposobu, w jaki przemoc wypacza relacje międzyludzkie.

Tak, to przemoc jest bohaterką: fizyczna, bo wszyscy tam biją siebie nawzajem, a także dzieci, służących i psy; rasowa, bo Heathcliff ma romską aparycję (kiedy mieszkająca po sąsiedzku Isabella, jeszcze dziewczynka, po raz pierwszy widzi Heathcliffa, krzyczy: „Ojej, jaki straszny! Zamknij go w piwnicy, tatusiu. Wygląda tak samo jak syn wróżbity, który ukradł mi bażanta!"); płciowa, ponieważ kobietom wolno mniej, ale przede wszystkim klasowa, gdyż jedynym zabezpieczeniem przed totalnym upadkiem jest posiadanie. Nic dziwnego, że w takich warunkach to, co rodzi się między kochankami, jest straszliwe i niezdrowe; nic dziwnego, że frustracja wywołana uczuciem sprawia, że reagują w jedyny sposób, jaki znają: przemocą. Cathy kieruje ją w siebie, doprowadzając się do pomieszania zmysłów i śmierci; Heathcliff zaś, po męsku, na zewnątrz – i w zemście doprowadza do ruiny wszystkich wokół, na czele z poślubioną później przez siebie Isabellą.

Innymi słowy socjologia krzyżuje się tu z komentarzem psychologicznym i upotwornia romantyczny mit. Brontë po prostu mówi coś. I na to wchodzi Fennell cała na biało (a raczej na czerwono, bo jej Cathy upodobała sobie ten kolor – rozumiecie: Pasja! Żar! I krew!) i podpala ten splot sensów, żeby na zgliszczach wyłożyć odpustowy kram z fanfikowymi obrazkami do pamiętnego *Zmierzchu*.

Brak j a k i e j k o l w i e k treści w tej feerii formy jest fascynujący. W końcu, jeśli ktoś zaczyna film od sugerującego seks dyszenia, które okazuje się rzężeniem duszącego się wisielca, a potem robi zbliżenie na erekcję denata i zadowolone z widoku dzieci, to automatycznie zakładamy, że coś nam chce wyłożyć – po prostu musi być jakiś p o w ó d, prawda? Otóż, najwyraźniej, gdy się jest wyjątkowo dobrym w żonglowaniu pustką, można kazać Heathcliffowi lizać ścianę, będącą odwzorowaniem skóry Cathy wraz z żyłami i pieprzykiem, i robić to po nic. W końcu uziemiony w kinie człowiek, wykończony kankanem ujęć spod znaku „Jestem szalonom artystkom", z których żadne nie wywołuje rzeczywistych emocji, zazdrości Heathcliffowi, kiedy ten dosiada konia i galopuje sobie w stronę czerwonego zachodu słońca (obraz ma być ironiczny, ale ironia działa wtedy, gdy odbija się od faktycznych treści; może dlatego inny film z Robbie, *Barbie*, robił to lepiej, bo miał faktycznie coś do powiedzenia, nawet jeśli był to tylko łatwy feminizm).

Odwieczne pytanie – sens czy forma? – jest oczywiście zwodnicze, bo sens płynie czasem z formy, forma z sensu, a granica między nimi zasadniczo nie istnieje. Ale na skali, gdzie 1 to sam sens, a 6 to sama forma, film Fennell poślizgnął się na wszystkich eksponowanych w nim śluzach (ślimak, ślina, surowe jaja) i rąbnął w 7. I dlatego właśnie, żując popcorn, zastanawiałam się, czy żyjemy nie tylko – jak twierdził Jacek Dukaj – w świecie po piśmie, lecz także w świecie po treści. Czy nasza kultura na dobre weszła w fazę znaną nam z zakończeń odcinków seriali Shondy Rhimes, z *Grey's Anatomy* (*Chirurdzy*) na czele, gdzie nagle włączała się muzyka i narratorka recytowała do montażu jakieś przypadkowe zdania typu: „Tak naprawdę... wszyscy... chcemy... być... dla innych"?

Może nie warto płakać po treści? W końcu scenarzysta się nie namęczył, widz myśli, że coś przeżył... Problem w tym, że musiałam odłożyć popcorn, bo zdałam sobie sprawę, że też gram w scenie, którą widzę na ekranie – tej, kiedy Cathy z zapałem się onanizuje, a potem Heathcliff oblizuje jej rękę; Fennell była Cathy, ja byłam Heathcliffem, tylko podobało mi się o wiele mniej. I może tak bardzo mnie to wkurzyło, bo potem przyszła refleksja, że ta scena nie skończy się, gdy wyjdę z kina: moje życie coraz częściej przypomina towarzyszenie uprzywilejowanym postaciom w aktach bezsensownego onanizmu – zarówno artystycznego, jak i politycznego.

Mecenasem cyklu *Myśli znikąd* jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku.

Przeczytaj lub wysłuchaj innych tekstów tej autorki na **magazynpismo.pl/lewestam-karolina**

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl cab18af919

POEZJA

instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

Partnerem poezji jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku, organizator festiwalu i nagrody Europejski Poeta Wolności oraz wydawca towarzyszącej im serii poetyckiej. Nagrodę Europejski Poeta Wolności ufundowało Miasto Gdańsk.

***

LUIGI NACCI

—

Gdy jak tuńczyki czy sztokfisze stoimy
na baczność, stłoczeni na zaśnieżonych
szczytach, przemoczeni i uzbrojeni
po zęby w ołówki i kompasy, mylą
nas z tłustymi niedźwiedziami czy yeti
morderczymi. Nie wiedzą, że skaczemy nad
przepaściami, że razem z koziorożcami
znaczymy ścieżki za pomocą kamieni.

przełożyła Joanna Ganobis

LUIGI NACCI

poeta, pisarz, dziennikarz i przewodnik po przyrodzie. Autor wielu tomów poetyckich. Jego teksty były nagradzane i tłumaczone na inne języki. Uczestniczył w licznych festiwalach związanych z kulturą, we Włoszech i poza ich granicami, a kilku był organizatorem, m.in. festiwalu wędrowania (Festival della Viandanza). Wiersz pochodzi z tomu *Jak przechodzi światło*, który znalazł się w finale tegorocznej edycji nagrody Europejski Poeta Wolności.

eprasa.pl cab18af919

ARTEM HUMILEVSKYI, fotograf, ekonom, inżynier. Członek szkoły fotografii artystycznej i konceptualnej MYPH. Laureat wielu nagród, m.in.: Global Peace Photo Award 2022, PinchukArtCentre Prize 2022, finalista Rotlicht Festival 2023, Kolga Tbilisi Photo Award 2025, Rovinj Photodays Award 2025. Urodził się w Mikołajowie w Ukrainie.

Mecenasem cyklu „W kadrze" jest **Fotofestiwal – Międzynarodowy Festiwal Fotografii w Łodzi**.

FOTOFESTIWAL
SZTUKA | WSPÓŁPRACA | SPOŁECZNOŚĆ

eprasa.pl cab18af919

W KADRZE

zdjęcie i tekst

ARTEM HUMILEVSKYI

KORZENIE – PODRÓŻ W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI
cykl z lat 2022 – (2026)

Po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji zacząłem pracować nad nową serią zatytułowaną *Korzenie*. Wspólne nieszczęście obudziło w Ukraińcach jakiś nieuświadomiony kod – wszyscy, nawet ci mieszkający w najodleglejszych zakątkach świata, poczuli zew swojej ojczyzny, swojej tożsamości i wolności.

Cykl powstał podczas wojny i dotyczy ducha, siły korzeni i więzi między nami. W nowych pracach kontynuuję podróż do odkrywania wewnętrznej jaźni, którą rozpocząłem w poprzedniej serii *Gigant*. W *Korzeniach* zastanawiam się nad nią na innym poziomie, teraz jako częścią społeczności, i szukam nowych skojarzeń tożsamości, które nie będą wynikać wyłącznie z koncepcji narodu. Proponuję nowe obrazy ideologii opartej na fantazji, w których ujawniam podświadome symbole duchowe i pokazuję, jak subtelnie są w nas wplecione.

Zdjęcia z serii *Gigant* oraz rozmowa z autorem na **magazynpismo.pl/korzenie-i-gigant**

—

TRÓJCA (2022)

Święto Trójcy Świętej, znane również jako Zielone Święta, jest jednym z ważniejszych w kulturze ukraińskiej. Kojarzy się z wegetacją roślinności, kwiatami, pieśniami i tańcami, symbolizującymi nadejście wiosny i nowego życia. Poza kontekstem religijnym symbol Trójcy może być również postrzegany jako ucieleśnienie jedności i współdziałania, które widać w trójjednej naturze Boga

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na **magazynpismo.pl/w-kadrze**

eprasa.pl cab18af919

Szczurza dziewczyna

tekst MAŁGORZATA REJMER

Nie była ani ładna, ani brzydka. Nie miała jeszcze wyraźnych zmarszczek, ale ciężkie powieki i wydłużona rynienka pod nosem nadawały jej twarzy posępny, przedwcześnie postarzały wygląd. I jeszcze ten długi, spiczasty nos na wąskiej twarzy, jak u zwierzęcia futerkowego. Nerwowo odwróciła się za siebie, gdy usiadła na krześle, a on dostrzegł długi warkocz z popielatych włosów, sięgający do pasa. Włosy były grube i zdrowe, a jednak wzdrygnął się na ich widok i w jednej chwili dziewczyna wydała mu się odrażająca.

Jej skórę pokrywały plamy. Ani grzybica, ani świerzb, ani uczulenie na słońce czy cokolwiek innego. Nie łuszczyca. Nie było to nic, co widziałby wcześniej. Drobne, różowe i fioletowe punkty na ramionach, dekolcie i szyi, kończące się równo z linią zaciśniętych szczęk. Dłonią w rękawiczce chwycił mocno jej ramię i obracał je dookoła jak przedmiot, wstrzymując oddech, by nie poczuć zapachu ciała. Ze wstrętu i zdenerwowania zaczął się pocić.

– I te plamy pani przeszkadzają? – mruknął.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a na jej twarzy pojawił się grymas irytacji wydłużający nos o kolejne milimetry.

Wiedziony impulsem, z całej siły zaczął trzeć plamy brzegiem drugiej dłoni, jakby chciał sprawdzić, czy to na pewno wykwit skóry, a nie rysunek. Tarł coraz wściekleje i wściekleje, w przedziwnym zapamiętaniu. Dziewczyna zakwiliła, a potem gwałtownie wyrwała ramię. Wpatrywała się w niego, jakby nie dowierzała temu, co się dzieje. Jej twarz nabrała sinego odcienia, a oczy wypełniły się łzami.

– Wypiszę pani skierowanie – zaczął niepewnie.

– Nie chcę! – pisnęła. Chwyciła torebkę – ramię było czerwone i nabrzmiałe – i jednym susem doskoczyła do drzwi. Warkocz przeciął powietrze jak szczurzy ogon. Zrobiło mu się słabo z obrzydzenia. Usłyszał huk zatrzaskiwanych drzwi.

To wszystko jej wina. Sama to sobie robi.

Biała koszula pod fartuchem przykleiła mu się do pleców. Poczuł ulgę na myśl, że nie zobaczy jej nigdy więcej.

Zdjął fartuch i drżącymi rękoma założył długi, szary płaszcz, który kupił w sklepie z używaną odzieżą po drugiej stronie ulicy. Czuł się tam jak na jarmarku w małym miasteczku, swojsko, a jednocześnie anonimowo. Za kasą stała zazwyczaj tęga, pogodna kobieta z podłużnym czerwonym znamieniem na policzku – miała je od urodzenia. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wejść tam teraz na chwilę, tylko po to, żeby się uspokoić i kupić coś dla siebie albo dla matki, ale zdecydował, że pójdzie od razu do domu.

Od gabinetu do jego mieszkania było raptem siedem minut drogi. Od niego do matki – dziesięć minut, jeśli się nie spieszył. Wszystko w zasięgu wzroku, ale gdy wszedł po raz pierwszy do apartamentu na ostatnim piętrze luksusowego wieżowca, zapytał agentkę, czy mogłaby obniżyć cenę ze względu na widok.

– Dlaczego? – obruszyła się. – Jeszcze, żeby tam był cmentarz. Komin krematorium. A tu ma pan żywo bijące serce dzielnicy.

Patrzył przez okno, na nierówne kontury budynków w oddali i masywne bryły kilkunastopiętrowych bloków na pierwszym planie. W jednym z nich mieszkała jego matka. Ogrom przestrzeni przed nim, zatrważający. Przeniósł wzrok na agentkę. Zatrzymana limfa pod oczami, rozszerzone pory na nosie, przesuszona skóra pod warstwą pudru podkreślającego zmarszczki. W młodości musiała być uzależniona od solarium.

– A ten stukot tramwajów? – zapytał.

– Wie pan, ja też mieszkam przy ruchliwej ulicy. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

– Jest zsyp na śmieci?

– Jaki zsyp? Przestronna altana śmietnikowa na kod.

Kiedy podpisał umowę i dostał wreszcie klucze, pierwsze co zrobił, to wszedł do

eprasa.pl cab18af919

rysunek PIOTR PERŁOWSKI

eprasa.pl cab18af919

MAŁGORZATA REJMER, pisarka. Autorka książek: *Toksymia* (2009), *Bukareszt. Kurz i krew* (2013) za którą otrzymała Nagrodę „Newsweeka" im. Teresy Torańskiej i Nagrodę Literacką dla Autorki Gryfia, *Błoto słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii* (2018), która przyniosła jej Paszport „Polityki" oraz zbioru opowiadań *Ciężar skóry* (2023).

łazienki i w ubraniu położył się w lśniącej, bardzo długiej wannie. Mógł nawet wyciągnąć palce u stóp, a i tak nie dotknąłby krawędzi. Więcej niż metr dziewięćdziesiąt. Gdy był dzieckiem, wanna w jego mieszkaniu przypominała kwadratowe wiadro, a on musiał myć się szybko, żeby nie marnować wody. W tej wannie mógłby nurkować, ile by chciał. Dałby radę nawet się utopić.

Matka chodziła po jego nowym mieszkaniu z założonymi rękami i zaciśniętymi ustami, jakby zwiedzała muzeum, które ją rozczarowało.

– Apartament – żachnęła się. – To ile dzieci planujesz i z kim?

Lwie zmarszczki na jej czole, wryte w skórę, były widoczne, nawet gdy nic jej nie denerwowało. Pod głębokimi bruzdami nosowo-wargowymi ciągnęły się linie marionetki, jak koryta wyschniętych rzek. Na długiej, pomarszczonej szyi tkwiła makówka głowy, pokryta barankiem ondulacji farbowanym na ten sam odcień zżółkłego blondu.

Kiedy zrozumiała, że kupił tak duże mieszkanie, żeby nigdy do niej nie wrócić, przestała się do niego odzywać.

Choć odwiedzał ją co drugi dzień, wieczorami, nie wychodziła do przedpokoju na przywitanie. Zapadała się w głębinę wielkiego fotela z białego skaju i bez słowa oglądała telewizję, a jedynym ruchem, na jaki się zdobywała, było stukanie w brodę pomarszczonymi palcami albo sięgnięcie po pilota. Siadywał na dywanie u jej stóp, jak wtedy, gdy był mały, i po prostu czekał, aż się do niego odezwie.

Wreszcie po kilku tygodniach zimnej wojny skapitulowała, gdy namówił ją, by przyszła zobaczyć, co zrobił z pomieszczeniem przeznaczonym na garderobę. Nie potrafiąc ukryć podziwu, oglądała wieże kartonów mleka, puszki z fasolą, cieciorką i sosem pomidorowym, zgrzewki wody mineralnej i szklane konstrukcje z jednakowych słoików z makaronem i kaszą, bo produkty od razu po zakupie przesypywał do słoików, by w opakowaniach nie zaległy się mączniaki.

– Wszystko kupiłem w promocji – powiedział. – Od sklepu do sklepu, po gazetkach. Przecenione 30, czasem nawet 40 procent.

– Zuch! – Pokiwała głową. – Cokolwiek się zdarzy, będziemy przygotowani, a jak się zdarzy, to przeprowadzę się do ciebie.

Mimo że na pozór zawarli rozejm, matka nie zamierzała złożyć broni.

– Kobiety mają słabość do chirurgów – myślała na głos. – Taka kosmetyczka, jeśli jest obrotna, też sobie kogoś znajdzie – dodała. – I tylko ty ciągle sam, dlaczego? Masz internet, co to za problem zorganizować sobie jakąś dziewczynę? Musisz częściej wycierać twarz, bo strasznie się świecisz. Dziwne, że dermatolog tak się świeci. Czy ty się teraz denerwujesz, gdy do ciebie mówię?

Nie wiedział, co jej odpowiedzieć.

– No to się wytrzyj i już nie świeć – skwitowała. Podreptała do komody i wyjęła z szuflady bordowo-granatową bawełnianą chusteczkę.

– Po twoim ojcu – powiedziała z dumą. – Jeśli przy kobiecie będziesz się wycierał taką chusteczką, to wyjdzie bardzo elegancko.

Przytaknął i przetarł twarz na próbę.

– Pięknie! – rozpromieniła się matka.

Czasem, gdy przypominał sobie jakąś przykrą sytuację z dzieciństwa, opierał czoło o szybę i wpatrywał się w okno matki, mając nadzieję, że ściągnie ją myślami, a ona za chwilę pojawi się tam, po drugiej stronie. Wyobrażał sobie jej uniesioną rękę, ledwie widoczną z daleka, machającą do niego. Matka rzadko go odwiedzała. Mówiła, że jego mieszkanie jest za duże, by dobrze się w nim czuć. Miała mu za złe, że nadal nie kupił wszystkich mebli, a te, które kupił, uznała za zbyt drogie.

– Synu, przede mną chcesz się popisać? – Kręciła głową, udając niedowierzanie. – Może zaczniesz wreszcie popisywać się przed kimś innym?

Jak powiedzieć matce, że wybrał to mieszkanie, bo w śmietniku nigdy nie będzie szczurów?

Nie zwrócił uwagi na zęby dziewczyny, ale teraz nie miało to już znaczenia. Skończył porządkować papiery na biurku, pożegnał się z recepcjonistką, którą nazywał asystentką, i wyszedł od razu w gwar ulicy. Stawiał długie kroki, z dłońmi w kieszeniach, rozglądając się raz po raz, jakby w każdej chwili zza winkla mogła wychynąć szczurza dziewczyna i na niego skoczyć.

Stojąc na przejściu dla pieszych, próbował z oddali ocenić stan skóry ludzi po przeciwnej stronie ulicy. Czasem przed zaśnięciem wyobrażał sobie, że na twarzy przypadkowego przechodnia widzi niepokojące przebarwienie, więc go zatrzymuje i dzięki szybkiej diagnozie ratuje przed czerniakiem, a potem opowiada o tym matce.

Spojrzał na lśniącą bryłę swojego wieżowca. Domu. Żółtawo-zielone plamy trawnika przed wejściem i czysta altana śmietnikowa w eleganckim kolorze stali. Ustawił kod według instrukcji administratora – 1978, datę swoich urodzin. Zawsze gdy naciskał klawisz 7, robił przerwę, brał głęboki wdech i dopiero potem wciskał 8. Znajomy dźwięk otwierających się drzwi. Wszystko na swoim miejscu. Osobno papier, szkło i plastik. Porządne śmieci uczciwych obywateli. I, co najważniejsze, żadnych szczurów.

W jego poprzednim bloku kontenery żyły parszywym życiem. W niewielkim pomieszczeniu z cegieł, otynkowanym byle jak na biało, z roku na rok szarzejącym i pokrywającym się kolejnymi warstwami brudu, pośród gnijących odpadków ciągle grasowały szczury.

Matka zdecydowała, że to on ma wyrzucać śmieci, żeby się hartować. To było już po incydencie w szkole. Ojciec, póki jeszcze żył, negocjował z matką i sam wyrzucał śmieci, bo na swój sposób go kochał. Ale po śmierci ojca ten obowiązek spadł na niego.

Pewnego razu, gdy miał trzynaście lat, z zamkniętymi oczami wrzucał worek do kontenera, a wtedy nie wiadomo skąd, tuż obok jego głowy, wyskoczył szczur, który spadł mu pod nogi i pomknął przed siebie. Kątem oka dostrzegł stalowe, lśniące futro i nieskończenie długi ogon. Serce przestało mu bić, oddech uwiązł w gardle, a po chwili poczuł, jak wnętrze nogawki staje się mokre i ciepłe. Przeszło mu przez myśl, że ci, którzy stoją teraz w oknach, widzą jego przerażenie i nędzę. Zapłakał.

Od tej pory jego skromne kieszonkowe szło na łapówki dla syna sąsiadów, który wyrzucał śmieci za niego. Matka złościła się, że jej syn nigdy nie jest w stanie odłożyć żadnych pieniędzy.

Ale nie miała racji. Wstukał kod do drzwi wejściowych, wszedł na klatkę schodową i stanął przed windą. To mieszkanie było

eprasa.pl cab18af919

dowodem, że potrafił zapewnić sobie spokój i bezpieczeństwo. Zależało mu, by dobrze leczyć ludzi i by zdjąć trochę ciężaru z pleców matki, przynajmniej w ostatnich latach jej życia. Chciał, żeby wreszcie mogła odpocząć i poczuła się szczęśliwa, dlatego często przynosił jej drobne prezenty, choć podkreślała, że wszystko ma i niczego od niego nie chce.

Przekręcił klucz w zamku i poczuł zapach swojego mieszkania, mdły, gęsty smród gnijącego jedzenia. Nawet w tym domu odwlekał jak mógł wyjście do altany śmietnikowej, choć wiedział, że jest bezpieczny. Zanurkował do szafki kuchennej i wyjął cztery fioletowe worki z posortowanymi odpadami. Usiadł na stołku w przedpokoju i ze wszystkich sił pilnował się, by nie myśleć o włosach dziewczyny, aż znowu poczuł pot spływający mu po plecach.

W końcu poszedł do windy raźnym krokiem, jakby w ten sposób mógł sobie dodać animuszu. On, w lustrze windy. Wysoki mężczyzna w średnim wieku, z lekką nadwagą i zakolami, wyrzucający śmieci. Nie było w tym nic dziwnego ani nadzwyczajnego.

Wszedł w ciemność nocy, ale już się nie wahał. Wstukał kod do śmietnika. Siedem. I osiem. Znajome bzyczenie otwierających się drzwi.

I wtedy usłyszał ten dźwięk. Przeszywający wysoki pisk, jak ostrza dwóch napierających na siebie noży. Paznokcie drapiące w szkolną tablicę. Dźwięk, którym latami terroryzowali go koledzy z klasy. Dźwięk, od którego uginały mu się kolana, a on tracił dech i myślał tylko o tym, że za chwilę strach i wstręt go zabiją, wyciągną całe powietrze z płuc. Pisk, który czuł w zakończeniach nerwów, jakby wiertarka rozrywała jego kręgosłup i czaszkę.

Rzucił worki na podłogę altany śmietnikowej, trzasnął drzwiami i natychmiast wrócił do domu. Trzęsącymi się rękami wyszukał numer administratora. Przez chwilę patrzył w ścianę, żeby się uspokoić.

– Dlaczego pan dzwoni tak późno? – przerwał mu administrator. – Przecież rozstawiamy co jakiś czas karmniki deratyzacyjne. Tyle jedzenia wyrzucacie, że szczury z całej dzielnicy się schodzą, co mam panu poradzić?

Po ciemku podszedł do okna i wpatrywał się w zwalistą bryłę bloku matki, wielkiego olbrzyma łypiącego na niego oknami świecących oczu. Matka nie zadzwoniła, żeby zapytać, dlaczego dziś jej nie odwiedził, najpewniej była na niego obrażona i przez kilka najbliższych dni da mu to odczuć. Westchnął. Przyjdzie do niej jutro, z sernikiem z jej ulubionej cukierni na rogu. Tymczasem szczury. Szczury. Dopadły go nawet tutaj. Ile? Może cała kolonia, cała brygada przeciwko niemu. Dźwięk. Długie paznokcie kolegów. Czarna tablica, ich śmiech, jego rozpacz. Czerń w głowie. Skóra pokryta potem. Ciało, nad którym nie ma żadnej kontroli.

Rano wyszedł do pracy wcześniej niż zwykle i specjalnie nadłożył drogi, żeby przejść obok altany śmietnikowej. Ociągając się nieco, zajrzał do środka przez stalowe pręty. Administrator rozstawił już przy kontenerach czarne, podłużne karmniki serwujące szczurom truciznę. Poczuł, jak ból, który przez całą noc ściskał mu gardło, zaczyna wreszcie ustępować.

W pracy oglądał blizny, wrzody, pieprzyki i zmiany grzybiczne, ale w każdej plamie melaniny widział tylko kawałek szczurzego futra. Kiedy usłyszał dobiegający z zewnątrz wysoki, przeciągły dźwięk, zaraz oblał go pot, choć odgłos w najmniejszym stopniu

eprasa.pl cab18af919

nie przypominał szczurzego pisku. Teraz wszystko wokół czyhało na niego, przypominając mu o szczurach, nawet rzeczy, które nie miały z nimi nic wspólnego. W każdej chwili w drzwiach gabinetu mogła też znowu stanąć szczurza dziewczyna.

Wieczorem położył przed matką sernik w plastikowym opakowaniu.

– Są szczury – wyjąkał.

– U ciebie? – zapytała z niedowierzaniem.

Pokiwał głową.

Odsunęła krzesło i wpatrywała się w niego, mrużąc oczy jak drapieżnik, który szykuje się do ataku.

– Twój ojciec nigdy nie wystraszyłby się szczura.

Siedział przed nią znieruchomiały, bezradny jak chłopiec, którego nosił w sobie. Zatrzymał wzrok na trzech sztywnych włoskach, które wyrastały z brodawki nad prawą, przerzedzoną matczyną brwią. Wstał i bez słowa wyszedł z mieszkania matki.

Szedł osiedlową alejką, pilnując się, żeby patrzeć pod nogi, a czerwona kula słońca różowiła chmury na niebie. W oddali zobaczył kobiecą postać kucającą przy drzwiach do śmietnika. Przeszło mu przez myśl, że to szczurza dziewczyna, i że musi jej wszystko powiedzieć. Przyspieszył kroku, a ostatni odcinek pokonał niemal truchtem.

Postać wyprostowała się, a on dostrzegł kobietę mniej więcej w jego wieku, o krótkich włosach, szeroko rozstawionych oczach i z drobnym podbródkiem.

– Co pani robi? – zapytał bezradnie, nie kryjąc rozczarowania.

– Karmię koty – odpowiedziała, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie. Stała przed nim spokojna i poważna, a ostatnie promienie słońca rzucały ciepłe refleksy na jej twarz.

– One mnie atakują – wydukał, jakby był małym chłopcem.

– Koty?

– Szczury. Pani karmi koty, a do jedzenia złażą się szczury i mnie atakują.

– Nie widziałam tutaj żadnych szczurów – powiedziała kobieta.

– Ja widziałem.

Zwiesił głowę, jakby nie miał siły dłużej walczyć ani jej przekonywać. Kobieta wpatrywała się w niego w milczeniu. Włożyła ręce do kieszeni spodni, ale nie odchodziła.

– Kiedyś koledzy wsadzili mi do plecaka – powiedział.

– Szczura?

– Tak. – Poczuł, jak jego głos staje się cienką nitką, która zaraz zerwie mu się w gardle. Przez chwilę zamykał i otwierał dłonie, przebierając palcami, a potem znowu zacisnął je w pięść.

Kobieta wyjęła ręce z kieszeni i zamachała nimi nerwowo, a potem znowu je schowała, skrępowana.

– Nie będę karmiła kotów – powiedziała po dłuższej chwili. – To znaczy będę je karmić, ale w innym miejscu.

Podniósł głowę i przez chwilę się w nią wpatrywał.

– Przykro mi, że to pana spotkało – powiedziała powoli, jakby tłumaczyła mu coś skomplikowanego i jakby zależało jej, by dobrze zrozumiał. – Szczur nie chciał pana skrzywdzić, to mądre stworzenie.

W gęstniejącym zmierzchu jej skóra wydawała się jasna, niemal świetlista. Kobieta skinęła mu i odeszła, a on czekał w napięciu, by się odwróciła i spojrzała na niego raz jeszcze, ale tak się nie stało.

Leżąc w łóżku, poczuł, jak łzy wzbierają mu pod powiekami i powoli spływają po policzkach. Myślał o kobiecie, która karmiła koty, o tym, że następnym razem spotka ją przypadkowo za kilka tygodni, a może miesięcy, i że wtedy ona nie będzie go już pamiętać. Gdzieś tam, po drugiej stronie ulicy, śpi jego matka. Umrze przed nim i zamieni się we wspomnienia, tak jak ojciec. Jeśli będzie miał szczęście, matka czasem mu się przyśni. Potem ten sam los spotka jego, ale on umrze raz i na zawsze, nie wróci w niczym śnie. A może w kolejnym wcieleniu odrodzi się jako szczur.

Usiadł wyprostowany w łóżku i zapalił światło. Spojrzał na swoje ręce, które leżały na kołdrze jak dwa ciężkie kamienie. Grzbiet dłoni pokrywały różowe i fioletowe plamki. Potarł je palcem. Tarł coraz mocniej i mocniej, a plamki stawały się coraz wyraźniejsze.

Więcej tekstów tej autorki przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/rejmer-malgorzata**

eprasa.pl cab18af919

POEZJA

Ojciec

ROGER ROBINSON

—

Dwunastolatka opowiadająca w telewizji o ojcu zaginionym w pożarze staje się własnym ojcem. Już przewyższa o głowę matkę, która stoi za nią, oczy oprawione czerwienią i przeszyte niepokojem. Zauważ, że gdy dziennikarka pyta ją, jak się czuje, córka zaczyna zmieniać się w ojca. Skupia swoją odpowiedź na czynnościach, które musi wykonać, na rzeczach bezpośrednio od niej zależnych. Za parę dni przedłoży dokumentację niezbędną do otrzymania nowego lokum. Obudzi matkę, osłabioną rozpaczą, poda jej do łóżka hummus z pitą, makdous z oliwą z oliwek i zatarem. Przekona ją, by wzięła prysznic z rana, uczesze matce włosy, a na łóżku rozłoży jej ubranie na dzień. Wyrobiła już sobie nawyk czytania kilku gazet, popija przy tym kawę z kardamonem, a Umm Kulsum śpiewa w radiu o jej sercu.

przełożył Bartosz Wójcik

instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

Partnerem poezji jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku, organizator festiwalu i nagrody Europejski Poeta Wolności oraz wydawca towarzyszącej im serii poetyckiej. Nagrodę Europejski Poeta Wolności ufundowało Miasto Gdańsk.

ROGER ROBINSON

urodzony w Londynie, a wychowany na Trynidadzie pisarz, poeta i muzyk. Współtworzy zespół King Midas Sound, z którym – jako wokalista oraz autor tekstów – koncertuje i nagrywa albumy. Zbiór wierszy *The Butterfly Hotel* (2013) nominowano do Bocas Prize for Caribbean Literature zaś *A Portable Paradise* (2019) w styczniu 2020 roku nagrodzono prestiżową T.S. Eliot Prize. Wiersz pochodzi z tomu *Przenośny raj*, który znalazł się w finale tegorocznej edycji nagrody Europejski Poeta Wolności.

eprasa.pl cab18af919

ESEJ IDEE

Upadek człowieka z Davos

tekst TOMASZ STAWISZYŃSKI

JEST JEDEN SPOSÓB, by odebrać populistom monopol na władzę: nie udawać, że rzeczywistość wygląda inaczej, niż naprawdę wygląda.

rysunki DOMINIK NAWROCKI

eprasa.pl cab18af919

eprasa.pl cab18af919

TOMASZ STAWISZYŃSKI, eseista, pisarz, filozof, autor książek m.in. *Ucieczka od bezradności*, *Powrót fatum* i *Ćwiczenia z dysonansu*, twórca podcastu *Skądinąd*, felietonista „Tygodnika Powszechnego".

Budzi się w Londynie, dzień spędza w Paryżu, zasypia w samolocie do Nowego Jorku. Na lotnisko dojeżdża służbowym samochodem. Częściej rozmawia po angielsku niż w jakimkolwiek innym języku, nawet jeśli nie urodził się w USA czy Wielkiej Brytanii. Pracuje – albo już niedługo będzie pracować – w międzynarodowych gremiach i korporacjach. Zarządza – albo już niedługo będzie zarządzać – strukturami, które przekraczają granice państw i kontynentów. Same te granice są dla niego płynne i konwencjonalne. Nie przejmuje się nimi. Traktuje je jak przeszkodę, relikt dawnych czasów, który należałoby przezwyciężyć.

Nie jest przywiązany do własnego pochodzenia, tradycji i historii. Państwa narodowe oraz ich rządy traktuje jako zło konieczne i dąży do tego, by w jak najmniejszym stopniu przeszkadzały mu w realizacji interesów i projektów jego organizacji lub korporacji. Punktem odniesienia jest dla niego cały świat. Z żadnym konkretnym miejscem nie odczuwa specjalnej więzi, nie uznaje lokalnych lojalności. Identyfikuje się bardziej z przedstawicielami swojej organizacji lub instytucji niż z sąsiadami – chyba że są to podobni mu mieszkańcy „całego świata". Spotyka ich czasem, choć raczej rzadziej niż częściej, za murami grodzonych, strzeżonych osiedli.

W przeciwieństwie do dawnej arystokracji, która – przynajmniej częściowo – miała świadomość, że swój przywilej zawdzięcza urodzeniu w określonej warstwie społecznej, on sądzi, że wszystko, co ma, zawdzięcza sobie. Nie czuje wdzięczności wobec poprzednich pokoleń ani odpowiedzialności za przyszłe. Jest przekonany, że świat, w którym żyje, i miejsce, które zajmuje, są mu dane raz na zawsze. Nie zna pojęcia tragizmu. Swoje położenie na drabinie społecznej – oraz kształt tej drabiny – traktuje jak oczywistość. Czuje się ostatnim, najwyższym ogniwem kulturowej ewolucji. I z tej właśnie perspektywy ocenia wszystko inne.

To tylko jedno z możliwych jego wcieleń. Może być bardzo bogaty, ale nie musi. Najistotniejszym aspektem jego tożsamości nie jest stan posiadania, lecz brak przywiązań do systemu wartości, lokalnej tradycji czy języka. A przede wszystkim – do wspólnoty, z której się wywodzi. Żyje na poziomie, który daje mu znaczną autonomię wobec sektora usług publicznych. Korzysta więc raczej z prywatnej służby zdrowia. Mieszka na zamkniętych osiedlach, a nie w blokowiskach. Porusza się raczej własnym samochodem niż środkami transportu publicznego. Dzieci wysyła do prywatnych szkół. Bywa przedstawicielem szeroko rozumianej klasy „analityków symbolicznych": ludzi zajmujących się przetwarzaniem informacji, nie zaś wytwarzaniem materialnych dóbr. Może być więc zarówno politykiem, jak i finansistą, urzędnikiem na szczeblu międzynarodowym, prawnikiem w wielkiej korporacji, influencerem, pracownikiem naukowym, menedżerem, aktorem lub reżyserem. W każdym z tych przypadków cechują go mobilność i kosmopolityzm.

Mianem „człowieka z Davos" określił go w 2004 roku, w swoim nad wyraz proroczym eseju *Dead Souls: The Denationalization of the American Elite* (*Martwe dusze. Denacjonalizacja amerykańskiej elity*), amerykański politolog z Uniwersytetu Harvarda Samuel P. Huntington. To właśnie w tym szwajcarskim kurorcie, położonym w kantonie o wdzięcznej nazwie Gryzonia, pośród ośnieżonych alpejskich szczytów, odbywa się Światowe Forum Ekonomiczne, na które od lat 70. XX wieku zjeżdżają przedstawiciele międzynarodowej elity. Wedle Huntingtona jest to miejsce modelowe: alchemiczny tygiel, w którym ukształtowała się bezprecedensowa mentalność współczesnego zarządcy aktywów i dusz – jak również tego, kto do takiej roli pretenduje.

Ale już dekadę przed Huntingtonem wnikliwą charakterystykę zwyczajów i mentalności tego kogoś sformułował w *Buncie elit* nieodżałowanej pamięci Christopher Lasch. Czytana po 30 latach książka – pierwsze wydanie ukazało się w 1995 roku, już po śmierci autora – sprawia wrażenie tekstu proroczego. Opisane w niej zjawiska materializują się na naszych oczach.

W MOMENCIE PUBLIKACJI ostatniego dzieła Lascha triumfy święcił wcześniejszy o trzy lata *Koniec historii* Francisa Fukuyamy, a zachodnie społeczeństwa przesycał radosny optymizm. Przyszłość wydawała się otwarta. Świat, na mocy opisywanych przez Fukuyamę prawideł, zmierzać miał stopniowo do osiągnięcia finalnego optimum. Demokracja liberalna jako najlepszy możliwy wariant ustrojowy, porzucenie dawnych antagonizmów i przesądów, rządy ekspertów, a także globalizacja ekonomiczna utożsamiona z uniwersalizmem kulturowo-duchowym – oto główne składniki dominującego na Zachodzie w latach 90. ubiegłego stulecia sposobu myślenia. Oczywiście Fukuyama nie twierdził, że wszystko jest już w najlepszym porządku. Utrzymywał natomiast, że skończyły się – by tak rzec – ideologiczne igrzyska. Wraz z upadkiem Muru Berlińskiego domknął się wiek ideologii: nieraz obfitującej w przemoc i okrucieństwo poszukiwania systemu idealnego, politycznej matrycy, w ramach której układać się mają losy jednostek i społeczeństw. Osiągnięta w toku rozwoju i historii systemów politycznych demokracja liberalna okazała się zwycięzczynią pozostającą na niemal opustoszałym już placu boju. Owszem, nie wszędzie jeszcze zatriumfowała, świat daleki był od powszechnej stabilności, niemniej wszystko zmierzać miało do tego właśnie celu.

Nieuchronną globalizację, w ramach której po świecie rozprzestrzenia się i rozprzestrzeniać się będzie

eprasa.pl cab18af919

najlepszy z możliwych ustrojów, definiowano jako zjawisko jednoznacznie pozytywne. Idąca zaś z nią w parze merytokracja – rządy ekspertów, wykwalifikowanej klasy zarządców biznesowych i wszelkich innych – miała gwarantować stabilność i harmonię tego procesu. W miarę poszerzania się wiedzy o świecie, rozwoju nauki czy ekspansji międzynarodowych instytucji rzeczywistość okazywała się coraz bardziej skomplikowana. Dodatkowo sfera polityczna, uwolniona od ideologicznego jarzma, ukształtowana do postaci swoistego metamodelu umożliwiającego pokojowe współistnienie różnych systemów wartości i światopoglądów, stawała się jeszcze jednym polem, którym zarządzać – przynajmniej do pewnego stopnia – mogliby ludzie wyposażeni w stosowne kompetencje.

Tymczasem Lasch – autor słynnej *Kultury narcyzmu*, myśliciel do dziś niedający się wpisać w istniejące podziały polityczne i światopoglądowe, ni to konserwatysta, ni to lewicowiec, ale centrysta w sumie również nie – w przeciwieństwie do nastrojonego euforycznie Fukuyamy oraz jego zwolenników dostrzegał w tym samym czasie, że zachodnia demokracja stoi u progu wielkiego kryzysu. Odwołując się do *Buntu mas*, klasycznego dzieła hiszpańskiego filozofa José Ortegi y Gasseta, opublikowanego w 1929 roku, przewidywał raczej rychłe załamanie się projektu liberalnego niż jego triumfalny pochód ku lepszej przyszłości.

Cechy, które Ortega y Gasset przypisywał „człowiekowi masowemu" – wykorzenienie, zanik poczucia tragizmu, przekonanie, że zdobycze cywilizacji są czymś danym raz na zawsze, odmowa uznania, że kultura jest sztafetą pokoleń – Lasch diagnozował u współczesnego mu „człowieka elitarnego". Elity – przekonywał – żyją w innym systemie wartości i znaczeń, w coraz większej symbolicznej i faktycznej izolacji od reszty społeczeństwa. W efekcie nie dostrzegają realnych problemów, z jakimi się ono boryka. W latach 90., w których pisał swoje dzieło, były to między innymi rosnąca przestępczość, spadek jakości usług publicznych, upadek przemysłu, widoczne coraz wyraźniej fiasko multikulturalizmu czy pogarszanie się jakości publicznej edukacji. Dochodziło do tego swoiste zerwanie kontraktu pomiędzy intelektualistami – czyli w szerokim znaczeniu, akademickimi i nie tylko, przedstawicielami humanistyki – a tak zwanymi prostymi ludźmi. Wiązało się to zarówno z coraz bardziej hermetycznym dyskursem, jakim operowała – przeważnie lewicowa – humanistyka, jak i z definiowaniem tradycyjnych wartości i przywiązań, których nowe elity się wyrzekały jako niebezpiecznych, toksycznych czy zacofanych. W takim ujęciu historia zachodniej kultury stawała się niemal bez wyjątku historią kolonializmu, dyskryminacji i dominacji patriarchatu. Wraz z alienacją elit i zanikiem komunikacji – przewidywał Lasch – atrofii ulegać będzie stopniowo całe demokratyczne pole (wspólnota wartości, wspólnota języka oparta na bazowym poczuciu podobieństwa, nie zaś na akcentowaniu różnic). Zamiast społeczeństwa, w którym na równych prawach – zgodnie z ideą obywatelstwa, o którym, za Hannah Arendt, Lasch powiada, że to ono dopiero umożliwia równość, nie zaś z niej wynika (równość bowiem jest faktem politycznym, a nie „naturalnym") – funkcjonują ludzie fundamentalnie podobni, dostajemy rozłączne subwspólnoty pozbawione tego samego mianownika. Taką właśnie stają się tytułowe „zbuntowane" elity.

Dziś nie ma już raczej wątpliwości, że liberalna demokracja jest w poważnym kryzysie. I że rację mieli Lasch i Huntington, nie zaś Fukuyama i inni, nazbyt optymistycznie nastrojeni – a przez to ślepi na dysonanse poznawcze – przedstawiciele okołoliberalnego projektu. Niezależnie od popularnego do niedawna przekonania jakoby współczesne czasy były epoką postpolityki – w której nie liczą się wartości i programy, lecz tylko skuteczność perswazji – w dzisiejszych politycznych konfliktach i starciach chodzi także o wartości. Czym jest demokratyczne dziedzictwo? Czym jest zachodnia tożsamość? Czym uniwersalizm? I czy przypadkiem błędem nie było założenie, jakoby przedstawiciele innych kultur i tradycji domyślnie pragnęli tego samego, co zachodni liberalni demokraci? A wreszcie: co to właściwie demokracja, wolność słowa, pluralizm, godność, poczucie przynależności, łączności z poprzednimi i następnymi pokoleniami, sens i radość życia?

Globalny raport o zaufaniu za rok 2025 pokazuje, że w krajach rozwiniętych poziom braku zaufania do instytucji osiągnął historycznie niski poziom.

—

FUKUYAMA Z CZASÓW *Końca historii* (bo po latach swoje tezy starannie skorygował) był przekonany, że państwo liberalno-demokratyczne znalazło wreszcie sposób, by okiełznać *thymos* – nieusuwalną potrzebę uznania tkwiącą w ludzkiej naturze. Zaspokoić ją, a jednocześnie dezaktywować tkwiący w niej destrukcyjny potencjał. Środkiem do tego celu miało być „powszechne uznanie". „Państwo liberalno-demokratyczne – pisał – ceni nas współmiernie do naszego poczucia własnej wartości, dzięki czemu prócz części pożądliwej, także część tymotejska duszy znajduje zaspokojenie" (przeł. Tomasz Bieroń i Marek Wichrowski). Środkiem do osiągnięcia sprawiedliwej dystrybucji uznania miała być między innymi merytokracja. W liberalnej demokracji każdy miał dostawać tyle uznania, na ile sobie zasłużył własną pracą oraz zaangażowaniem.

W 2026 roku „państwo liberalno-demokratyczne" nie zaspokaja – jak się wydaje – ani tymotejskiej, ani wielu innych części społecznej duszy. Odmieniany przez wszystkie przypadki „kryzys demokracji" nie jest w żadnym razie egzotycznym pojęciem rodem ze słownika

eprasa.pl cab18af919

pesymistów i defetystów – co, naturalnie, Laschowi zarzucano – lecz faktem, który widać gołym okiem. Globalny raport o zaufaniu *Edelman Trust Barometer* za 2025 rok pokazuje sytuację dramatyczną: w krajach rozwiniętych poziom pesymizmu i braku zaufania do instytucji oraz „oficjalnych narracji" osiąga historycznie niskie poziomy.

Przemożnym symbolem procesu demontowania porządku liberalnej demokracji, którego piewcą był Fukuyama, jest pamiętna scena z pierwszej wizyty Wołodymyra Zełenskiego w Gabinecie Owalnym w lutym 2025 roku. Donald Trump – paradoksalny symbol rewolty przeciwko współczesnym elitom, bo sam ze środka tych elit się wywodzący – mówi prezydentowi Ukrainy, że ten nie posiada w ręku żadnych kart i dlatego nie ma też prawa głosu. W tej jednej scenie streszcza się duch nowej epoki. Liczą się w niej pieniądze i siła fizyczna. Zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy Trumpa – wyjąwszy tych, którzy chcą w nim widzieć wyłącznie chaos i narcyzm (niesłusznie, bo w tle realizuje on w sposób konsekwentny i świadomy określone polityki) – mówią wprost, że człowiek ten kieruje się przede wszystkim logiką interesu. Inne wartości się dla niego nie liczą. Dyskurs o demokracji, prawach człowieka i innych wzniosłych ideach został odsunięty na boczny tor. W amerykańskiej polityce dominuje dziś język biznesu.

Co ciekawe, całą swoją polityczną karierę Trump zbudował na społecznym załamaniu się zaufania do dotychczasowych elit. Tych samych, o których przenikliwie mówił w *Buncie elit* Christopher Lasch, że odwróciły się od ludzi, których miały reprezentować i na których pracy oraz wsparciu budowały swój ekonomiczny oraz symboliczny dobrobyt. Wytworzyły bowiem ogromną grupę „obcych we własnym kraju", o których w książce pod tym samym tytułem pisała wiele lat później amerykańska socjolożka Arlie Russell Hochschild. Ludzi, którzy czują się odsunięci na boczny tor i których nie obejmuje żadna emancypacyjna narracja, a jeśli już to co najwyżej stawiając ich – często „białych mężczyzn w średnim wieku", słabo wykształconych, bezrobotnych, mających problemy z uzależnieniem, zajmujących relatywnie niską pozycję w hierarchii społecznej – w roli opresorów lub nosicieli „systemowego przywileju". Do takich „obcych we własnym kraju", jak pokazała Hochschild, nie adresowano żadnych programów społecznych, środek ciężkości przesuwając na grupy dyskryminowane. Rzecz w tym, że przyjmowano w większości tożsamościowe kryterium dyskryminacji, realne linie podziału natomiast przebiegają w znacznej mierze wedle różnic klasowych.

Mówiąc w największym skrócie – pozbawiony pracy, schorowany, 45-letni pracownik fizyczny z Luizjany, bez ubezpieczenia zdrowotnego, uzależniony od opioidów biały heteroseksualny mężczyzna znajduje się realnie w znacznie gorszym położeniu niż młody czarnoskóry gej zatrudniony na nowojorskiej progresywnej uczelni. Tymczasem oficjalna narracja zdawała się tego nie dostrzegać, stawiając w roli „nosiciela przywileju" właśnie „białego heteroseksualnego mężczyznę w średnim wieku". Trump natomiast – a wcześniej Tea Party, o której pisała Hochschild – zagospodarował dokładnie to poczucie obcości, a zarazem dysonansu pomiędzy doświadczeniem a politycznym przekazem, jakiego ów mieszkaniec Luizjany boleśnie doświadczał, stykając się z przekazem wielkomiejskiej elity. To wy jesteście realnie wykluczeni, drodzy mieszkańcy Luizjany – brzmiał komunikat Trumpa – a zarazem to wy jesteście solą tej ziemi.

Bezrobotny biały, 45-letni pracownik fizyczny z Luizjany jest realnie w gorszym położeniu niż młody czarny na progresywnej uczelni.

Podobną diagnozę postawił dekadę temu amerykański filozof Mark Lilla w znakomitej książce *Koniec liberalizmu, jaki znamy*. Amerykańskie ruchy społeczne – twierdził – wykonały ważną i doniosłą pracę polegającą na wywalczeniu praw dla mniejszości. W pewnym momencie jednak wspierający te zmiany liberałowie stracili z oczu większość. Ale ona, rzecz jasna, nie zniknęła. W efekcie dość szybko zaczęła upominać się o nią antysystemowa prawica. Podobnie sprawę stawiał związany z demokratami publicysta Fareed Zakaria w głośnym tekście o trzech błędach, jakie jego obóz polityczny popełnił w kampanii w 2024 roku. Do dziś pamiętam rozmowę odbytą sześć lat wcześniej, w Arizonie, z pewną rodziną gorąco popierającą Trumpa. Przekonywali mnie wówczas, że jest to jedyny człowiek, który może przeciwstawić się skorumpowanemu i cynicznemu amerykańskiemu establishmentowi. Argumenty, że wywodzi się on wprost ze środka tego establishmentu, puszczali mimo uszu.

Jak trafnie wskazuje Jared Diamond w książce *Kryzysy. Punkty zwrotne dla krajów w okresie przemian*, pierwszy podstawowy warunek wyjścia z kryzysu to uznanie, że on faktycznie nastąpił. Drugim – jeszcze trudniejszym – jest uczciwa analiza jego przyczyn. Trzecim natomiast – selektywna interwencja naprawcza. Selektywna, bo kryzys prowokuje do odruchów totalistycznych: negacji wszystkiego, co było wcześniej, cedowania całej winy na „nich" – innych, politycznych przeciwników, wszystkich, którzy nie są „nami", wreszcie popadnięcia w zaprzeczenie albo czarną rozpacz. Tymczasem – przekonuje Diamond, a jest to przecież także filar każdej sensownej interwencji psychoterapeutycznej – chodzi o to, żeby skonfrontować się z rzeczywistością. Wziąć odpowiedzialność za własne działania: ani przesadnie siebie obwiniając, ani też nie odżegnując się całkowicie od winy.

Można jednak odnieść wrażenie, że jedynym, co dziś mają do zaproponowania zagubione w kryzysie dotychczasowe elity – „ludzie z Davos", którym po piętach depczą populistyczne ugrupowania polityczne oferujące rzekomo proste rozwiązania skomplikowanych problemów

eprasa.pl cab18af919

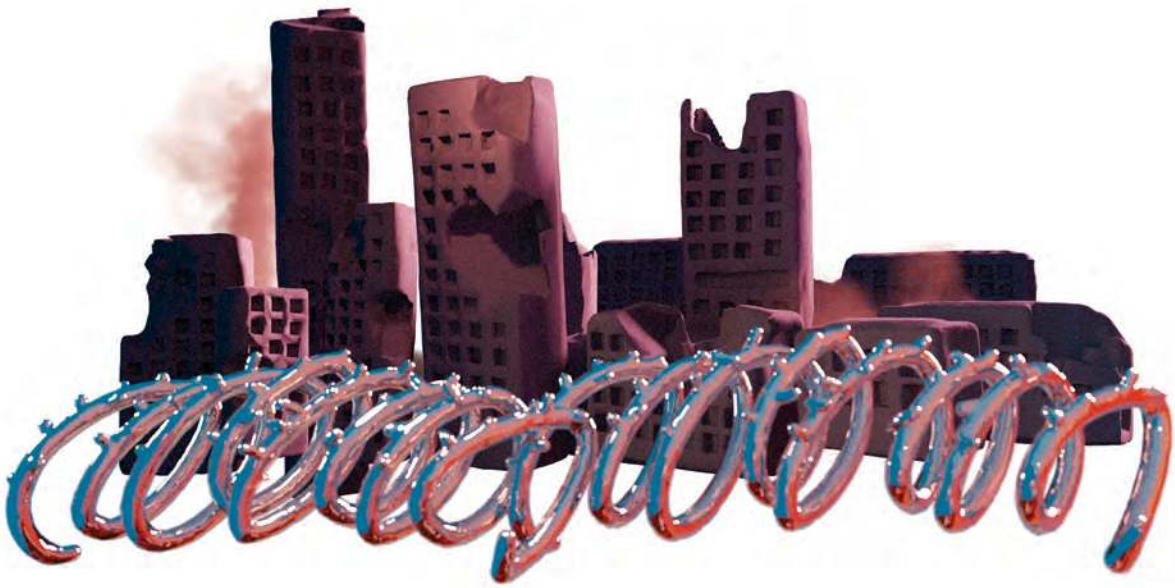

– jest intensyfikowanie polaryzacji. Albo poprzez wzniecanie apokaliptycznej paniki, albo poprzez odwoływanie się do tych samych chwytów i narzędzi wpływu na zbiorową świadomość – na przykład myślenia spiskowego, które jeszcze do niedawna samemu poddawało się frontalnej krytyce. Dotyczy to teorii spiskowych na temat „ustawionego" rzekomo zamachu na Trumpa czy też prób wtrącenia go do więzienia pod pretekstem malwersacji finansowych czy w związku z aferą Stormy Daniels (co tylko przysporzyło mu głosów, wywołało bowiem wrażenie, że „system" się go boi). A w Polsce wpuszczanych do głównego medialnego nurtu – przez duże media otwarcie powiązane z ówczesną opozycją – klasycznie spiskowych teorii o współpracy Prawa i Sprawiedliwości (PiS) z Moskwą (rozmawiała o nich z generałem Piotrem Pytlem Donata Subbotko w „Magazynie Wyborczej", we wrześniu 2022 roku – *Gen. Piotr Pytel: Rosja już tu jest. Jej największym sukcesem w Polsce jest PiS*), rzekomej młodej kochance Andrzeja Dudy (informowała o tym Żaneta Gotowalska w „Gazecie Wyborczej" w lutym 2020 roku – *Kim jest Jolka Rosiek, która od miesięcy wyznaje miłość Dudzie*) czy „sfingowanej" chorobie Zbigniewa Ziobry (o sprawie pisała Natalia Kamińska w portalu naTemat w lutym 2024 roku – *Choroba Ziobry to mistyfikacja? Nowe informacje ws. stanu zdrowia byłego szefa MS*).

Wymowną ilustracją ogólnej natury tego zjawiska jest choćby niezbyt udany miniserial *Zero Day* (*Dzień zero*) z Robertem De Niro i Lizzy Caplan w rolach głównych. Nie wdając się w fabularne szczegóły, mamy w tej opowieści ciekawy, wcześniej raczej niewystępujący w popkulturze wątek. Oto w obronie liberalnego *status quo*, zagrożonego przez populistów, występują dawne, tradycyjne elity polityczne. Nie dysponując wystarczającym kapitałem społecznym, żeby utrzymać władzę, sięgają po cyberterroryzm. Jest to oczywiście całkowita fikcja, niemniej wydaje się, że dobrze odzwierciedla stan ducha przynajmniej części „ludzi z Davos".

—

TEGOROCZNA, styczniowa edycja Światowego Forum Ekonomicznego również przebiegała w atmosferze schyłku dawnego i pytań o kształt nowego globalnego porządku. Symboliczna była już sama nieobecność Klausa Schwaba, inicjatora tego przedsięwzięcia, jednego z architektów osławionego „wielkiego resetu", czyli propozycji zmiany modelu globalnej ekonomii na bardziej zrównoważony (sformułowanej w Davos jako bezpośrednia odpowiedź na pandemię COVID-19). Schwab wycofał się z udziału w forum już jakiś czas temu. W tle tej decyzji – oficjalnie motywowanej wiekiem – były także oskarżenia o malwersacje finansowe czy niewłaściwe zachowanie wobec kobiet oraz czarnoskórych współpracowników. Zastąpił go Larry Fink, szef funduszu BlackRock, jednej z najpotężniejszych – jeśli nie najpotężniejszej – globalnej prywatnej instytucji finansowej.

Jednak najmocniej wybrzmiały w styczniu 2026 roku w Davos bodaj dwa wystąpienia, o których przez długi czas rozpisywały się media: Donalda Trumpa oraz Marka Carneya, premiera Kanady. Choć stojące na antypodach, obie przemowy przekonywały, że proces, którego początek diagnozował Lasch w latach 90. XX wieku, na naszych oczach się dopełnia.

Prezydent Stanów Zjednoczonych z charakterystycznym dla siebie samozadowoleniem obwieszczał nadejście tej nowej epoki – epoki interesu i rewolweru. Odtąd silniejszy będzie dyktował warunki – ten, kto

eprasa.pl cab18af919

ma zasoby finansowe i dywizje, narzuci innym reguły gry. Niczym w doktrynach amerykańskiego politologa, który w ostatnich latach stał się niestety wielką gwiazdą – Johna Mearsheimera, twórcy tak zwanego realizmu ofensywnego – wielkie mocarstwa dzielić będą pomiędzy siebie światowy tort. Parafrazując Heraklita, który powiadał, że charakter człowieka jest jego przeznaczeniem, Mearsheimer, a za nim Trump – pilny praktyk realizmu ofensywnego – oznajmiają, że przeznaczeniem kraju są jego położenie geograficzne, zasoby finansowe oraz militarne. Na tym właśnie ma polegać ów wielobiegunowy świat: radykalnie odmienny od postulowanego przez Fukuyamę i pracowicie negocjowany przez „ludzi z Davos" na kolejnych corocznych eventach.

Mark Carney z kolei, choć zgadzał się z Trumpem, że nadchodzi nowa epoka, o starej miał do powiedzenia kilka słów. Niczym Lasch i Huntington – choć w nieco odmiennym ujęciu – zarzucił dawnym elitom hipokryzję i sprzeniewierzanie się zasadom, które deklaratywnie wyznawały. Stary porządek w jakimś stopniu kamuflował hipokryzję. Realia wyglądały inaczej niż w oficjalnych przekazach. Zbyt często pod płaszczykiem wzniosłych wartości przemycano logikę siły i pieniądza, ale mimo wszystko język polityki opierał się, przynajmniej deklaratywnie, na wartościach. Owszem – konkludował – tego rodzaju świat nieodwołalnie się skończył, ale nie wyłonił się jeszcze nowy. Jest to modelowa definicja kryzysu: stanu przejściowego pomiędzy dotychczasowym mechanizmem, który przestał działać, a nowym, który jeszcze nie zaczął. Za Diamondem – wzorującym się z kolei na realnych historiach, na przykład „wojnie zimowej", w której Finlandia skutecznie oparła się potędze Związku Sowieckiego – Carney uznał, że kryzys jest w istocie szansą na nowe otwarcie. Żeby do niego doszło, trzeba najpierw przyjąć, że wcześniej nastąpiło zamknięcie. W części konstruktywnej premier Kanady zaproponował tworzenie nowych sojuszy – przeciwko logice banknotu i rewolweru, w imię wartości, ale bez negowania oczywistej sfery interesu. Bez hipokryzji, bez alienacji elit od realnych, nie zaś wyobrażonych społeczeństw.

Żeby to jednak stało się możliwe, elity polityczne przywiązane do wartości demokratycznych muszą odzyskać społeczną legitymację. A zatem – idąc za rozpoznaniami Diamonda, Lascha, Huntingtona, Hochschild i Lilli – poszukać adekwatnej odpowiedzi na realne problemy, z jakimi borykają się dzisiaj mieszkańcy Zachodu. I odbudować zaufanie nadszarpnięte w ostatnich dwóch dekadach co najmniej kilkakrotnie.

—

NAJPIERW W OKOLICACH 2008 roku, kiedy nastał kryzys finansowy. Był to bez wątpienia pierwszy tak intensywny wstrząs od czasu ataków na World Trade Center, który głęboko zachwiał zachodnim obrazem świata. I stał się, mówiąc bez przesady, dojmującą ilustracją trafności rozpoznań Lascha i Huntingtona. Pierwszy ostrzegał, że oderwanie elit od fizycznej produkcji i realiów życia większości prowadzi do arogancji i utraty zdrowego rozsądku.

W 2008 roku ta teza została zweryfikowana w sposób wyjątkowo dojmujący. Skomplikowane instrumenty finansowe – rozmaite CDO (Collateralized Debt Obligations, pakiety różnych długów podzielone na transze), CDS (Credit Default Swap, ubezpieczenie od bankructwa długu) i sekurytyzowane kredyty hipoteczne (polegające na zamianie kredytów w papiery wartościowe) – które miały być szczytem inżynierii finansowej, okazały się w gruncie rzeczy kompletnym mirażem. Mydlaną, spekulacyjną bańką, która w pewnym momencie pękła. Ludzie po Harvardzie i Yale, zarabiający miliony dolarów rocznie, zbudowali domek z kart, przekonując świat, że jest to betonowa forteca. W jej murach miliony osób zdeponowały – rzutując na przyszłość swój los i budując życiowy projekt na poczuciu przewidywalności, elementarnego bezpieczeństwa i godności – owoce własnej ciężkiej pracy. W jednej chwili stali się oni zakładnikami reprezentantów „klasy symbolicznej". Co najistotniejsze, okazało się, że specjaliści od finansów mający za zadanie tak obracać naszymi pieniędzmi, żeby kreować dobrobyt i bezpieczeństwo, w gruncie rzeczy używają ich do realizacji własnych korzyści, które nie mają nic wspólnego z realną pracą.

Poczucia oszustwa i zdrady dokonanej przez elity dopełniła historia bankructwa Lehman Brothers. Zgodnie z zasadami wolnego rynku i merytokracji każdy błąd

eprasa.pl cab18af919

powinien skutkować konsekwencjami, za które trzeba odpowiedzieć. Radykalna niekompetencja miałaby więc spowodować radykalne skutki i rozległą odpowiedzialność. Ryzyko musi iść z nią ściśle w parze. Zamiast tego zobaczyliśmy największy w historii nowożytnej transfer bogactwa od biednych do bogatych. Rządy USA i Europy, pod dyktando „ekspertów", wpompowały miliardy dolarów podatników w ratowanie instytucji „zbyt dużych, by upaść".

W polskim kontekście oddziaływanie kryzysu finansowego było raczej pośrednie, choć gwałtowny wzrost kursu franka w 2015 roku zadziałał u nas analogicznie. Okazało się – zaświadczają o tym kolejne wyroki w wytaczanych bankom sprawach sądowych – że instytucje finansowe uwodziły klientów, mamiąc ich wizją atrakcyjnych kontraktów, jednocześnie ukrywając lub zapisując „bardzo małym druczkiem" informacje o realnych ryzykach. W momencie globalnego kryzysu, wywołanego przez działania samych tych instytucji, kosztami próbowano obciążyć jednostki, które ciężką pracą starały się zarabiać na kolejne raty. W ten sposób wiele rodzin doprowadzono na skraj bankructwa. Na szczęście, przynajmniej częściowo, udało się to odwrócić w sądach.

Jednak znacznie silniejszym impulsem, który ostatecznie wpłynął na wygraną PiS-u w 2015 roku, były skutki katastrofy smoleńskiej. Brutalizacja języka politycznego, rozwój myślenia spiskowego, niezgoda na postawienie pomnika ofiar na Krakowskim Przedmieściu, wzajemne oskarżenia o agenturalność i zdradę przez spolaryzowane strony, przerzucanie winy za katastrofę na – odpowiednio – Donalda Tuska (wtedy premiera) lub Jarosława Kaczyńskiego (lidera opozycji), a wreszcie niewyciągnięcie choćby politycznych konsekwencji za zaniedbania, które przyczyniły się do tego zdarzenia. Wszystko to wzmocniło procesy rozsadzania od wewnątrz polskiej sfery publicznej. W każdym względnie funkcjonalnym demokratycznym kraju ktoś z ekipy rządzącej podałby się w takiej sytuacji do dymisji, ktoś wziąłby na siebie odpowiedzialność polityczną, a do czasu ustalenia realnych przyczyn zdarzenia rozważano by spokojnie i merytorycznie rozmaite hipotezy.

Tymczasem u nas odpowiedzialności politycznej nie poniósł nikt, a kilka godzin po katastrofie umocniły się dwie równie nieudowodnione i równie irracjonalne teorie: że z całą pewnością był to przypadek (względnie wina Lecha lub Jarosława Kaczyńskich) oraz że z całą pewnością był to zamach (z prawdopodobnym współudziałem Tuska i Radosława Sikorskiego – wtedy ministra spraw zagranicznych). Zwolennicy każdej z tych teorii unieważniali zaś i deprecjonowali zwolenników tej drugiej. W efekcie polska polityka stała się w zasadzie sztuką zarządzania nienawiścią i wzniecania zbiorowych histerii – i pozostaje nią, niestety, do dzisiaj. Do czego walnie przyczyniają się obie najbardziej zradykalizowane strony wojny polsko-polskiej.

Wracając jednak do procesów globalnych, w 2008 roku zobaczyliśmy w praktyce to, o czym pisali Lasch i Huntington. Menedżer, który zrujnował fundusz emerytalny nauczycieli z Ohio, lądował na miękkiej posadzie w Londynie lub Singapurze, zachowując swoje premie. Był „złotym kołnierzykiem", obywatelem korporacji, nietykalnym dla lokalnego wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem zwykli obywatele – ci, których Lasch nazywał „klasą niższą średnią", przywiązaną do swoich domów i społeczności – nierzadko stracili wszystko. Banki, ratowane za ich pieniądze, bezlitośnie przejmowały ich domy. W samej Ameryce miliony rodzin trafiały na bruk. Grecja została poddana drakońskiej kuracji oszczędnościowej przez „Trojkę", czyli Komisję Europejską, Europejski Bank Centralny i Międzynarodowy Fundusz Walutowy – ciała niepochodzące z wyboru, ucieleśnienie huntingtonowskiej wizji ponadnarodowej władzy. Decyzje demokratyczne Greków zostały zignorowane. Liczył się tylko interes wierzycieli, czyli banków niemieckich i francuskich.

Dla przeciętnego obywatela lekcja płynąca z 2008 roku była brutalna i nieodwracalna: merytokracja to kłamstwo. Gra jest ustawiona. To wtedy narodził się gniew, który dekadę później wyniesie do władzy Donalda Trumpa, doprowadzi do brexitu i wyprowadzi na ulice „żółte kamizelki". Znaczna część społeczeństwa uznała, że elity nie są „lepsze". Są po prostu lepiej ubezpieczone i posiadają klucze do państwowych skarbców. Mit kompetencji legł w gruzach. Proces ten pogłębił się w 2015 roku, w obliczu kryzysu migracyjnego i nieumiejętności zbudowania przemyślanej, racjonalnej europejskiej polityki, która z jednej strony odpowiadałaby na katastrofę humanitarną zgodnie ze standardem etycznym, a z drugiej uwzględniała realia i psychologię zbiorowości.

Dla przeciętnego obywatela lekcja z 2008 roku była brutalna: merytokracja to kłamstwo. Gra jest ustawiona.

Zwracał na to uwagę w magazynie „Prospect" brytyjski publicysta David Goodhart, który z pozycji socjaldemokratycznych krytykował politykę migracyjną w swoim kraju, zarzucając jej między innymi ignorowanie pewnych niezbywalnych aspektów życia społecznego. W szczególności – charakterystycznego dla większości przywiązania do historii, języka czy tradycji, w której wyrastali rodzice i przodkowie. Czyli tego, czego, wedle Lascha, całkowicie wyrzekły się „zbuntowane elity". Istnieje coś takiego jak społeczeństwo – twierdzi Goodhart – i dlatego nieograniczone otwarcie się na migrację z krajów o odmiennej kulturze czy systemach wartości w sposób nieuchronny musi doprowadzić do kryzysu. Także dlatego, że zachodni uniwersalizm wraz z jego niekwestionowanymi założeniami – wolności, równości, różnorodności, pluralizmu *et cetera* – nie jest, wbrew temu, co wydawało się jeszcze Fukuyamie,

eprasa.pl cab18af919

podzielany przez przedstawicieli wszystkich przybywających na Zachód nacji. Ludzie obawiają się utraty swojej kulturowej, narodowej tożsamości. Wizja różnorodnego społeczeństwa globalnego, w którym całkowicie zanikają wszelkie indywidualizujące różnice, a historia lokalna zlewa się bez reszty z ogólną, jest dla znacznej części współczesnych Europejczyków trudna do przyjęcia. Budzi lęk i niechęć. Goodhart uważa, że różnorodność ma pewne limity, a w przypadku, kiedy zostają one przekroczone, zaczyna zanikać solidarność społeczna, która opiera się w znacznym stopniu na poczuciu podobieństwa. Zwłaszcza że w praktyce dotychczasowa polityka migracyjna wcale nie doprowadziła do utworzenia uniwersalistycznego, multikulturowego konglomeratu, lecz w wielu miejscach przyczyniła się do powstawania gett i enklaw pielęgnujących własną odrębność i niechęć do obcych czy innych [pisała o nich Anna Mikulska, „Pismo" nr 6/2025 – przyp. red.].

W tym mieści się także opisywane przez socjologów – Francesca Molteniego, Riccarda Ladiniego i Ferruccia Biolcatiego w publikacji *Losing Empathy With Assimilation: Immigrants' Attitudes Toward Other Immigrants in Europe* (*Utrata empatii w procesie asymilacji: postawy imigrantów wobec innych imigrantów w Europie*) – zjawisko niechęci kolejnych pokoleń rodzin migranckich do nowej migracji. Słowem, populistyczna prawica ma te limity ustawione zbyt wąsko, lewica natomiast zbyt rozlegle. Idzie zaś o to, żeby na nowo zastanowić się nad tym, gdzie i w jaki sposób powinny być one przeprowadzone, aby nie generować poparcia dla skrajnych ugrupowań i nie powiększać problemów społecznych.

Kwestionowanie zarówno potrzeby posiadania lokalnej tożsamości, jak i wszelkiej zasadności lęków, jakie ludzie żywią – także w związku z rosnącą przestępczością czy konfliktami na tle kulturowym związanymi z nieprzemyślaną polityką migracyjną – prowadzić bowiem musi bezpośrednio do wzmocnienia populistów. Jeśli ktoś, kto zgłasza wątpliwości wobec pełnego otwarcia granic, klasyfikowany jest automatycznie jako niegościnny albo ksenofobiczny, jeśli w narracji politycznej zanika różnica pomiędzy skrajną, szowinistyczną prawicą a tymi, którzy z mniej lub bardziej racjonalnych (albo całkiem irracjonalnych, lecz niewynikających z wad moralnych) powodów obawiają się określonych zjawisk, ludzie prędzej czy później zwrócą się ku politykom potrafiącym w umiejętny sposób zagospodarować ich lęki i potrzebę uznania. Bardzo często – niestety – grając nimi w cyniczny sposób, wyolbrzymiając zagrożenie i nakręcając zbiorową panikę.

Uderzenie w zaufanie – wzajemne i do instytucji – jest jednym z najskuteczniejszych działań destabilizacyjnych.

PROCES POGŁĘBIAJĄCYCH SIĘ różnic pomiędzy coraz mniej skomunikowanymi ze sobą częściami społeczeństwa zwyżkował w czasie pandemii. Ujawnił się wówczas, a następnie radykalnie pogłębił, rozdźwięk pomiędzy „klasą laptopową" a „klasą fizyczną", czyli tworzącymi wówczas realny krwiobieg ekonomiczno-społeczny pracownikami fizycznymi, kurierami, sprzedawcami w osiedlowych sklepach, dostawcami jedzenia na telefon. Jednym słowem tymi, którzy nie byli w stanie pozwolić sobie na pracę zdalną, ryzykowali więc zachorowaniem, ponieważ nie mieli innego wyjścia. „Klasa laptopowa" to mogący pozostawać w izolacji bez ponoszenia najwyższych kosztów ekonomicznych, cechowała ich bowiem opisywana przez Lascha mobilność. Nadwyżkę czasu związaną z przebywaniem w domu mogli wykorzystać na dodatkowe, rozwojowe czynności: pielęgnację ogrodu, naukę chińskiego albo wirtualny kurs astrologii. Co oczywiście nie oznacza, że i wśród przedstawicieli tej klasy nie mieliśmy do czynienia ze zwolnieniami, obniżką płac czy innymi problemami. Było ich przecież – i jest – całkiem sporo, to właśnie oni w znacznym stopniu tworzą współczesny prekariat.

Szły z tym w parze społeczne kampanie nawołujące do troski o dobro wspólne, promujące szczepienia jako akt solidarności i odpowiedzialności nie tyle za własne zdrowie, ile za zdrowie innych. Jednocześnie korporacje farmaceutyczne zajmujące się dystrybucją szczepionek nie zdecydowały się – w akcie owej solidarności i odpowiedzialności – na uwolnienie patentów albo zaszczepienie *pro bono* populacji w krajach afrykańskich. Trafnie komentowała to Małgorzata Jacyno na łamach „Kultury Liberalnej": retoryka solidarności, która pojawiła się znienacka po dekadach retoryki skrajnie indywidualistycznej, akcentującej osobistą autonomię i konieczność samodzielnego zabezpieczania się, niejako automatycznie zintensyfikowała nieufność do „oficjalnego" przekazu. Pogłębiły ją także – *last but not least* – prognozy kolejnych zgonów i zachorowań wieszczące katastrofę apokaliptycznych niemal rozmiarów, oparte na modelach matematycznych, które operują na dużym poziomie przybliżenia albo na osobistych rachubach poszczególnych medialnych postaci. Po kolejnych takich przewidywaniach, kiedy okazywało się, że rzeczywistość nie potwierdza prognoz, systematycznie słabła wiara w kompetencję „oficjalnych" naukowców, coraz bardziej wiarygodnie zaczynały natomiast brzmieć teorie spiskowe, w tym pandemiczne negacjonizmy.

Działo się tak mimo fatalnego bilansu pandemii, pogłębiał się bowiem dysonans pomiędzy oficjalną narracją a codziennym doświadczeniem. Opowieść o złych koncernach, sprzymierzonych z równie złowrogą elitą polityczną, które pod płaszczykiem szczepień usiłują dokonać depopulacji, tym bardziej trafiała na podatny grunt. W efekcie ludzie, którzy doświadczali licznych problemów zdrowotnych związanych z niewydolnym

eprasa.pl cab18af919

systemem ochrony zdrowia, na zasadzie klasycznie spiskowego mechanizmu skojarzeniowego przypisywali je ubocznym efektom szczepień. A ich „weryfikowane" w internecie podejrzenia ochoczo potwierdzały boty i ludzcy propagatorzy pseudonauki. Do dzisiaj przy każdej niemal informacji o nagłej lub spodziewanej, bo wynikającej z choroby, śmierci kogokolwiek poniżej 70. roku życia pojawiają się w mediach społecznościowych komentarze sugerujące, że na pewno miało to związek ze szczepieniem przeciwko COVID-19. Jednocześnie oficjalne instytucje polityczne oraz autorytety medyczne nie potrafiły znaleźć adekwatnej strategii komunikacyjnej pozwalającej dotrzeć z rzetelną narracją do znacznej części społeczeństwa. Antyszczepionkowcy i inni hochsztaplerzy okazali się niestety – zwłaszcza na dłuższą metę, co dziś widzimy – znacznie skuteczniejsi.

Refleksja nad błędami komunikacyjnymi, które popełniono w trakcie pandemii, to zadanie, które wciąż przed nami. Owszem, działano wówczas na nieznanym terenie, decyzje należało podejmować bardzo szybko, sytuacja była bezprecedensowa, brakowało więc wypróbowanych strategii. Rzecz jednak – znowu – nie w konkretnych decyzjach, lecz w sposobie ich komunikowania. Nie w prezentacji przewidywań, lecz w tonie, jakim były podawane opinii publicznej. Wydaje mi się, że właśnie ten nadmiar apokaliptycznej probabilistyki – prezentowanej również w późnej fazie pandemii, powtórzę: bez wątpienia z dobrymi intencjami, niemniej niekiedy, nazwijmy to, ze zbytnią pewnością siebie – przyczynił się w znacznym stopniu do postpandemicznego osłabienia autorytetu nauki. Zwłaszcza że działo się to wszystko w oceanie mediów społecznościowych, zaludnionych przez boty i wyspecjalizowane ośrodki dezinformacji. Uderzenie w zaufanie – wzajemne oraz do instytucji i „oficjalnych" narracji – jest zaś jednym z najskuteczniejszych działań destabilizacyjnych, o czym świetnie przecież wiedzą rosyjskie i nie tylko rosyjskie służby.

Skądinąd pytanie o to, w jaki sposób dzisiaj, w świecie „wielobiegunowych" wirtualnych mediów przekazywać rzetelną naukową wiedzę, jest jednym z najważniejszych, przed którymi stoimy. Czasy, kiedy naukowiec, polityk czy przedstawiciel mediów mógł z pozycji autorytetu prezentować oficjalne „wyniki badań" lub „punkt widzenia ludzi przyzwoitych", nieodwołalnie się skończyły. Żyjemy w epoce informacyjnego, wielowymiarowego chaosu, w którym trzeba walczyć o odbiorcę – jak również wyborcę – aktywnie poszukiwać atrakcyjnych sposobów na wzbudzenie w nim zaufania, nie zaś pochylać się z politowaniem nad irracjonalną „szurią" lub prychać w jej stronę z pogardą. Popularność wielu pseudonaukowych czy paranaukowych influencerów, propagujących egzotyczne poglądy na temat diet czy zdrowia, jest tego najlepszym przykładem. Dają oni – podobnie jak populiści – poczucie ważności i godności swoim odbiorcom, których często spotyka lekceważenie czy protekcjonalizm ze strony osób propagujących światopogląd naukowy.

Wracamy zatem do *thymos*, owej potrzeby uznania, o której tyle pisał Fukuyama. To pojęcie zdaje się dziś jedną z kluczowych kategorii pozwalających lepiej

eprasa.pl cab18af919

rozumieć życie społeczne oraz nawigować w obszarze polityki stosowanej. Jak się wydaje, istnieją dwa zasadnicze sposoby bycia elit, a zatem ludzi znajdujących się na szczycie drabiny społecznej – niezależnie od tego, czy mówimy o elitach finansowych, politycznych, kulturowych czy intelektualnych. Pierwszy to demonstracja własnej osobności i wyższości. Ustawianie się w roli wzorca do naśladowania: jeśli będziecie tak dużo pracować, tak dużo się uczyć jak my, może kiedyś nam dorównacie, na razie jednak wam do nas daleko. Drugi to afirmatywne prezentowanie się jako „jeden z was". Komunikat brzmi wtedy zgoła inaczej: jestem taki jak wy, a wy jesteście tacy jak ja. Też lubię to, co wy – takie samo jedzenie, taką samą muzykę, takie same święta, takie same obyczaje. Nie jestem lepszy, jestem waszym reprezentantem, dzięki wam jestem tu, gdzie jestem.

To właśnie – jestem przekonany – dzięki tej drugiej strategii wybory prezydenckie w Polsce wygrał Karol Nawrocki. Abstrahując już od tego, że zarzuty pod jego adresem publikowane synchronicznie we wszystkich nieprawicowych mediach przyniosły – podobnie jak w wypadku historii z Trumpem i Stormy Daniels – efekt odwrotny, przeważyło właśnie to. Trzaskowski był modelowym wcieleniem strategii pierwszej, jego sztab nie znalazł żadnego sposobu, żeby zmienić ten wizerunek. Nawrocki stał się „jednym z nas", Trzaskowski zaś – reprezentantem „buntu elit" oraz „ludzi z Davos".

Sądząc po tym, jak rozkładają się aktualne sympatie polityczne w Europie i Stanach Zjednoczonych, tylko ci politycy, którzy będą w stanie zastosować drugi wariant, mają szansę na sukces. Zbuntowane elity muszą zostać zastąpione przez elity afirmatywne. Oczywiście nie oznacza to w żadnym razie rezygnacji z wartości czy programów. Innymi słowy, należy populistom odebrać monopol na afirmację. Można to zrobić tylko jednym sposobem: nie udawać, że rzeczywistość wygląda inaczej, niż naprawdę wygląda.

—

WYDAJE SIĘ w tym kontekście co najmniej zastanawiające, lecz paradoksalnie, wcale nie takie znowu dziwne, że osoby w rodzaju Elona Muska, Jeffreya Bezosa, Marka Zuckerberga czy Petera Thiela – miliarderów mniej lub bardziej otwarcie wspierających dziś Donalda Trumpa – dysponowały dostępem do prywatnych wysp, najdroższych leków i prywatnych respiratorów, a jednak to nie ku nim skierował się społeczny gniew. Abstrahując od Lascha i Huntingtona – pokazujących, że nieufność społeczna obraca się nie przeciwko miliarderom, często symbolizującym sukces, autonomię i samostanowienie, lecz właśnie przeciwko „klasie symbolicznej" – podobnie tłumaczy ten fenomen Arlie Russell Hochschild. W rozmowie, którą przeprowadziłem z nią w 2019 roku, mówiła dokładnie to: amerykańska klasa robotnicza wcale nie uważa miliarderów za swoich wrogów. Wręcz przeciwnie – chciałaby być taka jak oni. Największą niechęć odczuwa natomiast do przedstawicieli symbolicznej, liberalnej elity, którzy okazują jej pogardę, a w każdym razie traktują z ostentacyjną wyższością. W tym właśnie tkwi tajemnica sukcesu Trumpa i jemu podobnych polityków: we wrażeniu akceptacji – ba, afirmacji – „człowieka prostego", jakie niewątpliwie udaje się im wytworzyć.

Proces demontażu dawnego porządku i wymiany elit dopiero się rozpoczyna.

Czy afera Jeffreya Epsteina okaże się dla Trumpa i jego popleczników katastrofą na podobną skalę, co kryzys finansowy dla „człowieka z Davos"? Będzie to zależało od co najmniej kilku czynników. Po pierwsze: znaczna część otoczenia Epsteina to mimo wszystko twarze dawnego porządku. Bill Gates, Richard Branson czy małżeństwo Clintonów – nie licząc wielu pomniejszych współpracowników multimilionera oraz uczestników organizowanych przez niego „przyjęć" – kojarzą się jednoznacznie z elitami, o których pisali Lasch i Huntington. Po drugie: pytanie brzmi, czy Steve Bannon i Peter Thiel, powiązani z Epsteinem biznesowo, znajdą sposób, żeby opowiedzieć tę znajomość, odwołując się do czystej, politycznej pragmatyki. Korzystali z usług potężnego, utytułowanego człowieka, nie znali jednak wcale jego drugiego oblicza – tak już dzisiaj brzmi ich narracja. Jak sądzę, może okazać się skuteczna, niechęć do dawnych elit jest bowiem ogromna. Po trzecie wreszcie: to raczej mało prawdopodobne, że nawet jeśli Trump wskutek tej afery pójdzie na dno, na jego miejsce powróci demokrata w starym stylu albo ktoś, kto będzie chciał „nowych sojuszy opartych na wartościach", o których Mark Carney mówił w Davos.

Proces demontażu dawnego porządku i wymiany elit dopiero się zatem rozpoczyna. A do czego doprowadzi? Trzeba by nowego Christophera Lascha, żeby dziś odpowiedzieć na to pytanie.

W **majowym numerze** „Pisma" przeczytasz tekst **Macieja Miłosza** o tym, czy Polska jest dobrze przygotowana na wojnę

eprasa.pl cab18af919

BARTEK GLAZA „HENRYK”, pedagog z wykształcenia, rysownik z zamiłowania, storyboardzista i scenarzysta. Samouk. Autor komiksu *Tylko spokojnie* (2017). Dwukrotny zdobywca Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu i Gier w Łodzi oraz dwukrotnie nominowany do statuetki dla Rysownika Roku na Festiwalu Komiksów Niezależnych „Złote Kurczaki”. Mieszka w Wejherowie.

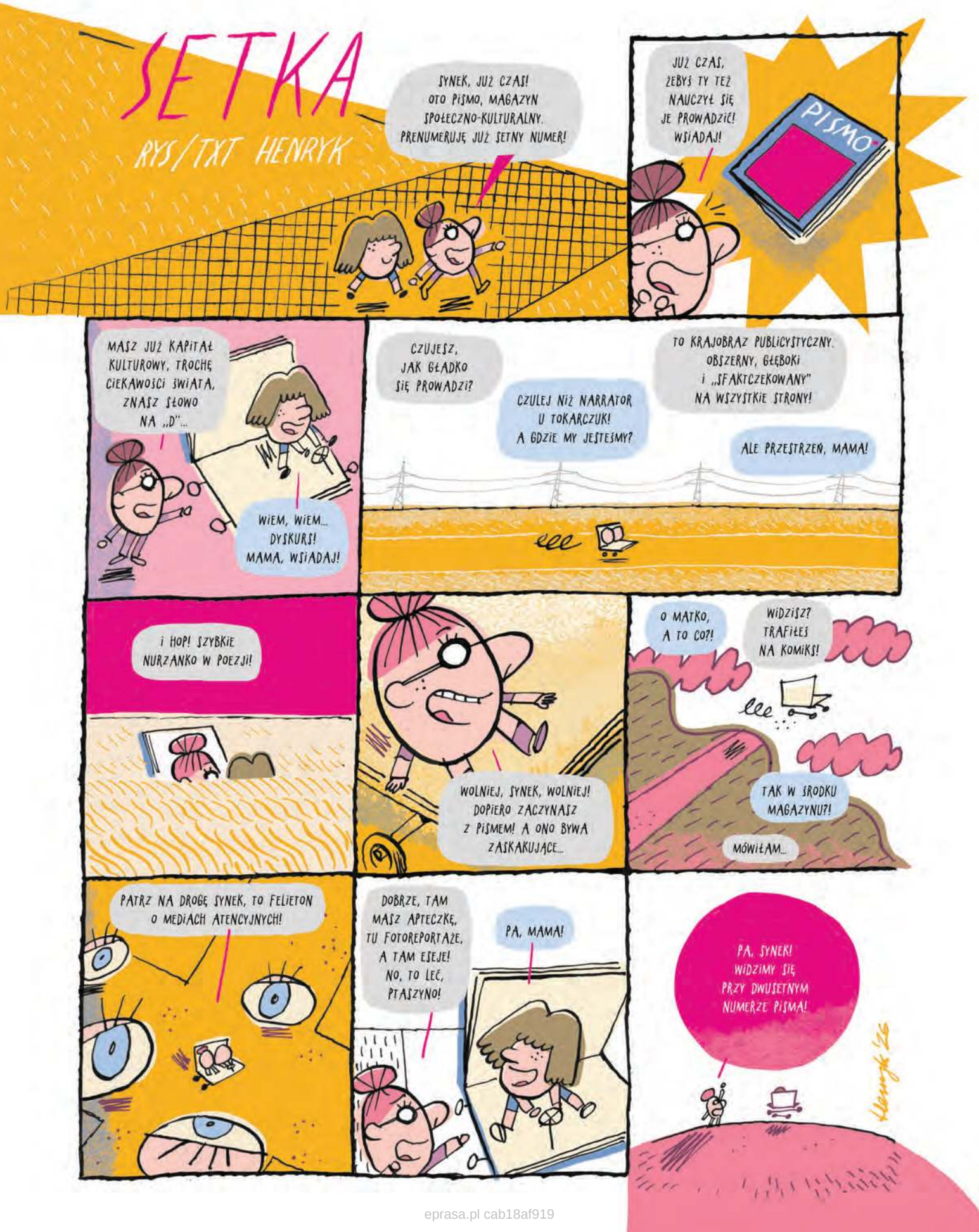

eprasa.pl cab18af919

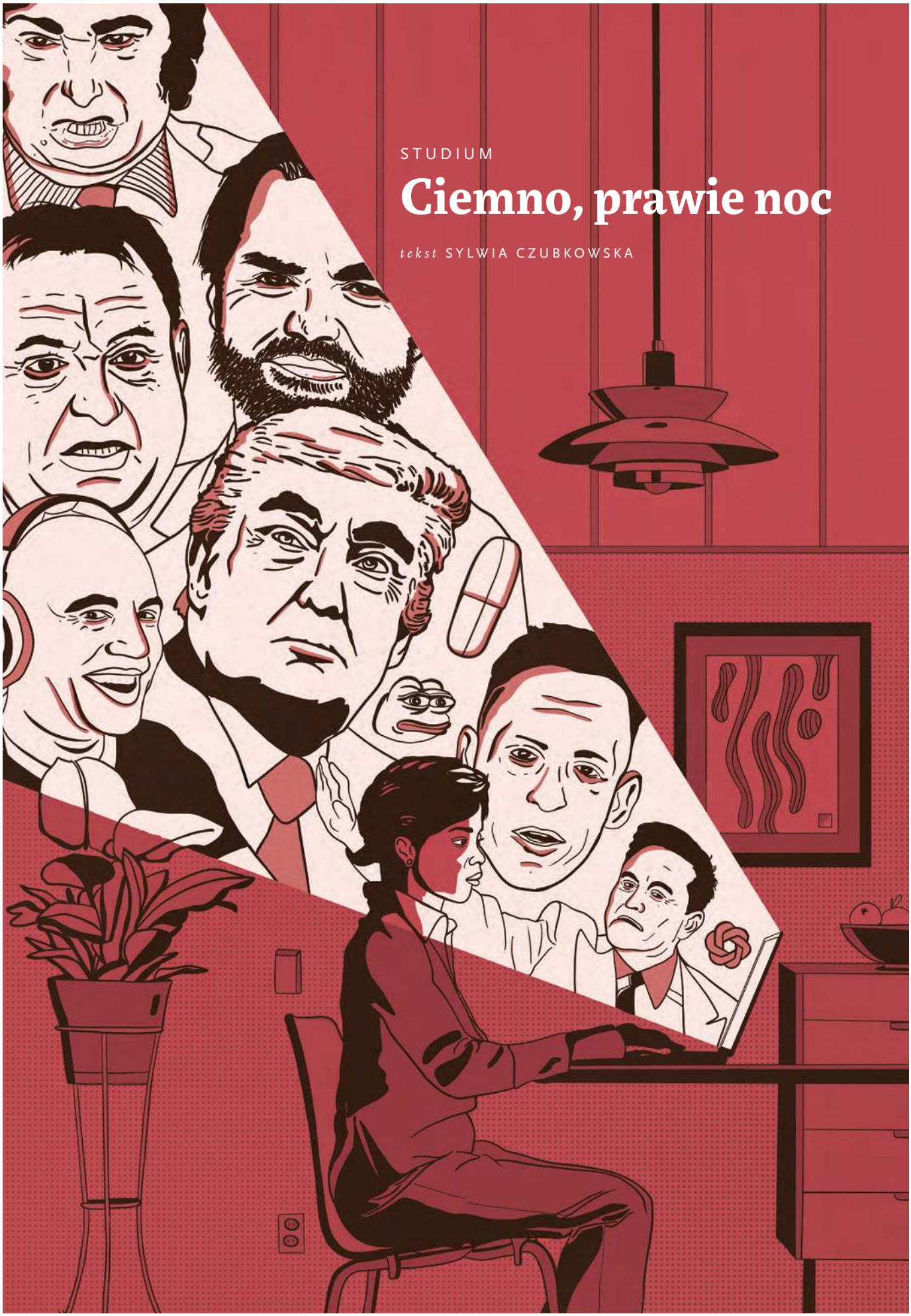

STUDIUM

Ciemno, prawie noc

tekst SYLWIA CZUBKOWSKA

rysunki PAWEŁ SMARDZEWSKI

eprasa.pl cab18af919

NAJINTELIGENTNIEJSI, najbogatsi i najbardziej innowacyjni ludzie świata nie są już zahukanymi nerdami. Stali się tak wpływowi, że sama praca nad technologiami przestała im wystarczać. Chcą także rządzić światem. Czy coś może pójść nie tak?

Wszelkie znaki na niebie i ziemi, a przede wszystkim w internecie, były widoczne od lat.

Peter Thiel, współzałożyciel PayPala, inwestor Facebooka, współtwórca Palantir Technologies, w eseju z 2009 roku pisał: „Już nie wierzę, że wolność i demokracja są ze sobą kompatybilne".

Wpływowy inwestor Marc Andreessen, współzałożyciel Netscape Communications, cytował i powoływał się na – wydawać by się mogło – niszowy blog niejakiego Menciusa Moldbuga, który od 2004 roku wykładał, że czas zastąpić demokrację – bo ta jest nieodwracalnie zepsuta – monarchią wzorowaną na technologicznym start-upie, z CEO jako prezydentem.

Dziesięć lat temu, w czasie amerykańskiej kampanii wyborczej, którą wygrał Donald Trump, Steve Bannon, architekt trumpizmu i szef kampanii prezydenckiej, w rozmowie z mediami oświadczył: „Ciemność jest dobra. Dick Cheney. Darth Vader. Szatan. To jest moc". I była to więcej niż medialna metafora. To była obietnica nowego, technokratycznego sposobu działania w polityce.

Już po wygranej Trump mówił o sobie jak o współczesnym Howardzie Roarku, bohaterze powieści *Źródło* autorstwa pisarki rosyjskiego pochodzenia Ayn Rand: pewnym siebie, skrajnie indywidualistycznym i walczącym z establishmentem architekcie, który pozostaje wierny swojej wizji architektury wbrew gustom klientów czy naciskom opinii publicznej. W Polsce porównanie to może niewiele mówić, ale dla Amerykanów – a przynajmniej części z nich – Roark jest niczym mieszanka Stanisława Wokulskiego z *Lalki* i Karola Borowieckiego z *Ziemi obiecanej*: symbolem przedsiębiorczości wyrastającej ponad przeciętność.

ZANIM KUPIŁ Twittera i zmienił go w X, Elon Musk w maju 2020 roku, niby od niechcenia, zatweetował *Take the red pill*, czyli „Weź czerwoną tabletkę". I nie był to tylko cytat z *Matrixa*. Sformułowanie stało się szeroko rozpoznawalnym memem przejętym przez prawicowe, a nawet alt-prawicowe środowiska.

Stopniowo zdobywając zwolenników, użytkowników platform cyfrowych i miliardy dolarów w wycenach firm technologicznych, ciemne oświecenie [o czym pisał Wojciech Orliński, „Pismo" nr 7/2019 – przyp. red.], do tej pory przewijające się w niszowych blogach czytanych w Dolinie Krzemowej, wkroczyło na salony Waszyngtonu.

Nie można nawet powiedzieć, że nikt tych kropek ze sobą nie łączył. Wręcz przeciwnie – od kilkunastu lat wszystkie szanujące się media, kolejni badacze, politolodzy i filozofowie opisywali, jak technerdowski zbiór idei staje się coraz silniejszy, coraz bardziej skrajny i coraz bardziej wpływowy. Ale to i tak za mało i za późno, by powstrzymać jego marsz.

TO DZIŚ jedna z najsłynniejszych scen w całej kinematografii. Neo za dnia jest zwyczajnym, nudnym programistą. Nocą przeistacza się w zbuntowanego hakera. Przez cały czas coś mu nie pasuje, coś go drażni, coś się nie zgadza. Na komputerze Neo zaczynają pojawiać się tajemnicze komunikaty o Matrixie. Zaciekawiony i zaniepokojony podąża tropem symboli i postaci, aż w końcu trafia do pokoju, w którym spotyka się z legendarnym hakerem Morfeuszem.

Ten obiecuje ujawnić wielki sekret. Wystarczy połknąć czerwoną tabletkę, żeby się dowiedzieć, czym jest Matrix. Ale Neo może też wybrać niebieską pigułkę i pozostać w słodkim otępieniu, w nudnym, łatwym i bezpiecznym życiu.

Czerwoną tabletką, która miała przebudzić z Matrixa, był blog Moldbuga. Gdy pierwszy raz o nim usłyszałam – podczas służbowego lunchu w centrali Google'a w 2017 roku – potraktowałam jego koncepcje jak kolejne egzotyczne idee, które przecież zawsze krążyły wokół Doliny Krzemowej.

Na blogu Unqualified Reservations (Fundamentalne Zastrzeżenia) dzieje się coś przedziwnego: mieszanka filozoficznych wywodów, analiz tego, czym stały się Stany Zjednoczone (państwem komunistycznym), oraz w zagmatwany sposób udzielanych rad dotyczących tego, co należy zmienić. Mencius Moldbug (dosłownie Mencjusz Pluskwa Pleśniowa) opisuje, jak w USA trwa polowanie na brunatne (nazistowskie) czarownice, że nagonka na ludzi, którym zarzuca się takie powiązania i poglądy, przewyższa nawet „czerwoną panikę" w latach 50.

Moldbug analizuje zradykalizowaną wersję bańkowej teorii pieniądza (*bubble theory of money*, BTM), która w pierwotnej formie próbuje wyjaśnić, dlaczego pieniądz w ogóle ma wartość. W interpretacji autora teoria ta prowadziła do przekonania, że gdyby bitcoin stał się globalnym standardem, to bogactwo przesunęłoby się z rąk tradycyjnych elit (banków, instytucji i dziedziczonych przez pokolenia fortun) do nowych grup (technologów, wczesnych użytkowników i outsiderów), a tym samym doprowadziłoby do obalenia starego porządku.

Zasadniczo autor przekonywał, że właśnie jego wpisy są czerwoną tabletką z Matrixa, niezbędną, by USA się obudziły.

Temat bloga Unqualified Reservations pojawił się podczas lunchu w Google'u, bo firmą dopiero co wstrząsnął skandal. Inżynier James Damore rozesłał wewnętrzną notatkę, w której argumentował, że kobiety są biologicznie gorzej przystosowane do zawodów technologicznych. Wydaje się, że Damore inspirował się teoriami Moldbuga.

Reakcja firmy była natychmiastowa. Damore'a zwolniono, a Sundar Pichai, CEO Google'a, którego w czasie spotkania pytałam o ten skandal, zapewniał, że Google jest otwartą, równościową organizacją, która w swoim DNA ma walkę z dyskryminacją.

Poczytałam więc popularnego blog, pośmiałam się w duchu z faktu, że Damore pozwał firmę za dyskryminowanie białych,

eprasa.pl cab18af919

SYLWIA CZUBKOWSKA, dziennikarka ekonomiczna i technologiczna takich tytułów jak „Gazeta Wyborcza", „Dziennik Gazeta Prawna" i „Przekrój", nominowana do wielu nagród dziennikarskich. Twórczyni magazynu Spider's Web+ i współtwórczyni podcastu *Techstorie*/Tok FM. Autorka książek *Chińczycy trzymają nas mocno* oraz *Bóg techy. Jak wielkie firmy technologiczne przejmują władzę nad Polską i światem*.

konserwatywnych mężczyzn (zresztą z jego pozwu wynikało, że gdy Moldbug pojawił się na kampusie Google'a, również na lunch z jednym z pracowników, natychmiast został usunięty przez ochronę), i uznałam, że w Dolinie Krzemowej przy całym tym dobrobycie nie pozostało już nic, czym warto by się zajmować.

Tyle że był to czas pod wieloma względami przełomowy. Blog Moldbuga, pisany od 2004 roku, przez lata pozostawał anonimowy. Aż w 2013 roku Klint Finley z portalu TechCrunch w tekście *Geeks for Monarchy* (*Geekowie dla monarchii*) ujawnił, że Mencius Moldbug to pseudonim programisty z San Francisco o nazwisku Curtis Yarvin.

Równolegle z pisaniem Yarvin próbował sił w techbiznesie. Założył firmę o nazwie Tlon, nawiązując do opowiadania Jorgego Luisa Borgesa *Tlön, Uqbar, Orbis Tertius*, w którym tajne stowarzyszenie opisuje rozbudowany równoległy świat zaczynający stopniowo wypierać rzeczywistość.

Pozyskując fundusze na swój start-up, Yarvin wyrósł na Machiavellego dla swoich dobroczyńców z branży big tech, którzy podzielali jego przekonanie, że świat byłby lepszy, gdyby to oni sprawowali władzę. Wśród inwestorów firmy znalazły się fundusze *venture capital* Andreessen Horowitz oraz Founders Fund, założony przez Petera Thiela.

I tak powoli Yarvin przestawał być *persona non grata* w Dolinie Krzemowej. Wraz ze skupioną wokół siebie grupą, już nie tylko teoretyków, lecz także przede wszystkim inwestorów, zaczął być postrzegany w świecie technologii jako żywa zapowiedź zmian – czystek w administracji USA, czyli zwolnienia wszystkich pracowników rządowych, czy powołania w miejsce prezydenta narodowego CEO o władzy dyktatorskiej.

Brzmi jak odrealniona utopia? Oczywiście. – Ale takie utopie Dolina Krzemowa i prezesi-inżynierowie, głównie finansowi, z Doliny Krzemowej uwielbiają, przekonani o własnej nadzwyczajności – zauważa politolog, doktor Michał Zabdyr-Jamróz.

To, co wyrastało jako kontrkulturowy ruch hipisowski (w latach 70. zasilający sektor technologiczny, czego najdobitniejszym przykładem było założenie Apple'a przez hipisujących Steve'a Jobsa i Steve'a Wozniaka), buntujący się przeciwko władzy i dotychczasowym autorytetom, także w kwestii tego, jak robić biznes, zaczęło stopniowo ewoluować. Przerodziło się to w przekonanie, że skoro alternatywne metody tak dobrze sprawdzają się w przemyśle technologicznym, to czemu nie miałyby równie skutecznie służyć rządzeniu całym światem, czytaj: Stanami Zjednoczonymi.

Idee, które Yarvin wykładał w charakterystycznym dla siebie, barokowym stylu, dosadniej wytłumaczył Nick Land, brytyjski filozof, pisarz i teoretyk polityczny, łączący filozofię, cyberpunk oraz teorie AI i kapitalizmu. Land w 2012 roku zaczął publikować cykl internetowych esejów pod tytułem *The Dark Enlightenment* (*Ciemne oświecenie*), w których przekonywał, że demokracja jest przeszkodą dla porządku, efektywności i sprawczości władzy. Zamiast tego proponował „technoautorytaryzm" i „akceleracjonizm", czyli takie przyspieszenie procesów kapitalizmu i postępu technologicznego, które ostatecznie doprowadzi do załamania obecnego systemu. Oczywiście po to, by było lepiej.

> *To, co dzieje się w Dolinie Krzemowej wokół AI, zaczyna przypominać ruch religijny. Technokratyczną religię kalifornijską.*

Idee te skupiały wokół siebie coraz więcej ludzi przekonanych, że dokonania klasycznego oświecenia w postaci liberalnej demokracji, wolności, równości i odpowiedzialności społecznej już się wyczerpały. I zamiast wspierać rozwój społeczeństw, zaczęły go niebezpiecznie hamować. W ten sposób wykluł się neoreakcjonizm (NRx).

Gdy przyjrzeć się tym poglądom bliżej, układają się w zestaw konkretnych postulatów, które trafiają do coraz szerszego audytorium. Jak pisze Brace Manfred (pseudonim) w opublikowanej w 2025 roku książce *Dark Enlightenment: Curtis Yarvin and How to Hack the Deep State* (*Ciemne oświecenie: Curtis Yarvin i jak zhakować głębokie państwo*), siła Yarvina jest większa niż Machiavellego, bo tamten pisał dla jednego księcia, a „Yarvin pisze dla publiczności złożonej z setek aspirujących CEO, z których każdy ma milion dolarów w bitcoinie i opuszczone centrum handlowe do przekształcenia w miasto czarterowe. Jest mniej filozofem dworu, a bardziej ewangelistą protokołu, który mówi rozproszonej wspólnocie, by traktowała rządzenie jak kodowanie: forkować, iterować i usuwać zbędne elementy" [przeł. S.C.], czyli tworzyć nowe warianty, ulepszać je stopniowo i usuwać to, co niepotrzebne.

Brzmi to bardzo pociągająco, zwłaszcza dla kogoś mocnego w programowaniu. – Efektem są potem te wszystkie, oparte przecież na prawdziwych przekonaniach, memy, że wystarczy odpowiednio duża liczba genialnych programistów, *cracked* w branżowym slangu, by rozwiązać każdy problem – zauważa Jan Jęcz, analityk do spraw gospodarki cyfrowej w Polityce Insight.

Największym problemem, który dziś dostrzegają już „setki aspirujących CEO", i to nie tylko w USA, jest przekonanie, o którym pisze Manfred: „współczesny krajobraz polityczny przesiąknięty jest mitem, że demokracja, ze wszystkimi swoimi rozbudowanymi komisjami, niekończącymi się debatami i rytualnymi wyborami, jest najlepszym i jedynym sposobem organizowania społeczeństwa". Lekarstwem ma być „myśl neoreakcyjna, która wyłania się jako bezkompromisowa krytyka porażek nowoczesności, podważa same fundamenty naszych instytucji politycznych".

Idąc dalej za koncepcjami neoreakcjonistów: kiedy uznamy, że porządek jest sztucznie narzucony, zaczynają kruszyć się kolejne mity. Ludzie nie są równi, nie ma na to obiektywnych dowodów. Wprowadzanie równości jest wbrew naturze. Yarvin szydził w swoim blogu: „Od dawna w Ameryce nielegalne jest zatrudnianie rasistów, seksistów i faszystów, a obowiązkowe jest zatrudnianie precyzyjnie skalibrowanego odsetka kobiet, robotników i chłopów. Bo Ameryka to wolny kraj, a wolność dokładnie to znaczy. Ale «technologia» – rozumiana szeroko jako wszystko nowe i fajne, co dzieje się w Kalifornii – w praktyce była z tych ograniczeń wyjęta. Elita, zwłaszcza elita produktywna, zawsze korzysta ze specjalnego

eprasa.pl cab18af919

poziomu tolerancji. Kiedyś zapytałem googlersa: jaką grupę, z jego całkowicie nienaukowego doświadczenia, Google zatrudnia częściej – Afroamerykanów czy Serbów? «Chyba żartujesz», odpowiedział". W domyśle: oczywiście, że Serbów, choć tym firma nie będzie się chwalić, bo w przeciwieństwie do Afroamerykanów nie są kolorową mniejszością.

Po zwolnieniu Damore'a i wprowadzeniu w kolejnych korporacjach zasad różnorodności, równości, włączania (*diversity, equity, inclusion*, DEI) w środowiskach technologicznych narastała frustracja. Nawet najwybitniejsi czuli się skrępowani ograniczeniami. – A wszystko to cementuje sztuczna obietnica równości, która pozwala utrzymać władzę elit: akademii, mediów i biurokratów, których neoreakcjonizm określa mianem Katedry – tłumaczy te nastroje Jęcz. – To ona pilnuje granic dyskursu, decyduje, co rozsądne, a co radykalne, i wypycha poza nawias to, co uzna za niebezpieczne. Stąd opowieści o *cancel culture* i kulturze *woke*.

Analityk opowiada o tym i ironicznie się uśmiecha. Bo trudno się nie uśmiechnąć, gdy ktoś na poważnie wykłada idee brzmiące jak wyjęte z piramidalnych teorii spiskowych, w których lubuje się amerykańska popkultura. – Tyle że dziś wyraźnie widać, że te koncepcje wyszły już z poziomu opowiastek na forach, w 4chanie czy Reddicie, i stają się oficjalną agendą bardzo wpływowych ludzi – dodaje analityk.

Ron Ivy, konsultant Watykanu do spraw nowych technologii, z którym przeprowadzałam wywiad do „Tygodnika Powszechnego", mówił wprost, że to, co dzieje się w Dolinie Krzemowej wokół AI, zaczyna przypominać ruch religijny. Technokratyczną religię kalifornijską. – Ludzie wierzą, że tworzą boga, boga AI, że tworzą osobliwość, superinteligencję lepszą niż człowiek. Są gotowi na poświęcenia, i to nie tylko swoje – tłumaczył. – To pycha podszyta przekonaniem, że dla nowej rewolucji warto ponieść wszelkie koszty.

W podcaście *The Nerd Reich* (*Imperium nerdów*) Gil Duran, od lat obserwujący polityczne ambicje grupy geeków, konglomerat idei, które głoszą, nazywa religią TESCREAL. Ten akronim wymyślili badaczka AI Timnit Gebru i filozof Émile P. Torres. Nazwa pochodzi od wciąż powracających ruchów filozoficznych: transhumanizm (poprawianie kondycji ludzkiej poprzez wdrażanie rozwiązań technologicznych), ekstropianizm (ciągłe ulepszanie człowieka dzięki postępowi nauki, technologii i rozumowi), singularytarianizm (przekonanie o pojawieniu się w przyszłości superinteligencji), kosmizm (dążenie do przezwyciężenia śmierci i rozwoju ludzkości w kosmosie), racjonalizm (koncepcja, zgodnie z którą dzięki wykorzystaniu racjonalności można uniknąć błędów), efektywny altruizm (koncepcje głoszące, że tylko na podstawie danych możliwe jest pomaganie tak, aby uratować jak najwięcej istnień przy ograniczonych

zasobach) oraz longtermizm (przekonanie, że dla dobra przyszłych pokoleń warto zdobyć się nawet na największe poświęcenia). I tak jak neoreakcjonizm jest odpowiedzią na biurokrację, tak akceleracjonizm przekonuje, że istnieją ważniejsze cele, dla których warto poświęcić ideały demokracji.

Pastor Otis Moss III, występujący we wspomnianym odcinku podcastu *The Nerd Reich*, zwraca uwagę, że koncepcje te wcale nie są tak nowe, jak się wydaje. „Społeczność Doliny Krzemowej przepakowuje stare idee" – mówił. Podobnie jak kiedyś, retoryka postępu i ratowania świata może przykrywać bardzo przyziemne interesy – tłumaczył pastor i przywoływał czasy, gdy europejskie mocarstwa dokonały podziału Afryki, kierując się przekonaniem, że zasoby tego kontynentu mogą zostać wykorzystane do przedłużenia życia, zwiększenia dobrobytu i wzmocnienia pozycji niewielkiej części światowej populacji. W rzeczywistości była to jednak „retoryka usprawiedliwiająca eksploatację i podporządkowanie" – twierdzi Otis Moss III.

Wszystko to jest jeszcze podlewane rozmiłowaniem w skrajnym indywidualizmie, promowanym przez zmarłą w 1982 roku, ale wciąż ideologicznie żywą Ayn Rand – pisarkę, której dziedzictwo w Stanach Zjednoczonych stanowi intelektualne podwaliny neoliberalizmu, a nawet libertarianizmu. Jej *Atlas zbuntowany* i *Źródło* od lat są inspiracją dla elit. Rex Tillerson, były prezes paliwowego giganta ExxonMobil, wskazał *Atlas zbuntowany* jako swoją ulubioną książkę, identyfikując się z koalicją amerykańskich przemysłowców, którzy w powieści Rand walczą z regulacjami rządowymi, by bronić kapitalizmu. Sekretarz stanu Mike Pompeo określił dzieło Rand jako „jedną z pierwszych poważnych książek, jakie przeczytał", która miała na niego ogromny wpływ.

Tyle że obok klasycznych ultraliberalnych anarchokapitalistów środowiska te zaczęli zasilać też zwolennicy alt-prawicy. – Ciemne oświecenie stało się taką wspólną platformą, szerokim porozumieniem i dla gigakapitalistów, i dla technokratów, i dla skrajnych prawicowców, elitystycznych technooligarchów czy populistycznych etnonacjonalistów – tłumaczy Zabdyr-Jamróz.

Wciąż jednak zdawało się koncepcją odległą – szczególnie z perspektywy Paryża, Warszawy czy Londynu – mocno osadzoną w egzotycznych siedzibach gigantów technologii i start-upów. Taką, która nie ma większych szans na realizację.

Aż przyszedł pierwszy wtorek, po pierwszym poniedziałku listopada 2024 roku, i okazało się, że Donald Trump ponownie został wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych.

—

W WEEKEND inauguracji drugiej kadencji Trumpa Curtis Yarvin pojechał do Waszyngtonu na Coronation Ball, galę inauguracyjną zorganizowaną przez ultrakonserwatywne wydawnictwo Passage Press. Spotkanie, zaplanowane w sali balowej

eprasa.pl cab18af919

legendarnego Hotelu Watergate, miało uczcić awans nowej konserwatywnej kontrelity. Już sama nazwa wydarzenia: „bal koronacyjny" odwoływała się do idei, które Yarvin głosi od niemal dwóch dekad. Ponadto wiceprezydentem został J.D. Vance, którego bliskie związki zarówno finansowe, jak i ideologiczne z Peterem Thielem (o czym dokładniej w dalszej części tekstu), jednym z najpotężniejszych praktyków ciemnego oświecenia, nie są żadną tajemnicą. Stało się jasne, że neoreakcjonizm zyskał wpływy w Białym Domu.

Jeśli komuś wciąż brakowało dowodów, dostarczył ich niezawodny Elon Musk. Wkrótce po inauguracji objął kierownictwo Departamentu Wydajności Państwa (Department of Government Efficiency, DOGE), którego zadaniem było zamykanie agend uznanych za zbędne i zwalnianie urzędników.

Ostatecznie zwolniono lub skłoniono do przejścia na wcześniejszą emeryturę ponad 300 tysięcy osób. Musk po pół roku zrezygnował ze stanowiska i wciąż nie wiadomo, czy cała ta akcja przyniosła realne oszczędności, czy raczej generowała koszty. Za to wyraźnie widać, że działania DOGE wyglądały – na co wskazuje Gil Duran – jak bezpośrednia realizacja pomysłu Yarvina, znanego jako Wyrzucić Wszystkich Pracowników Rządu (Retire All Government Employees, RAGE). Oryginalny plan zakładał zastąpienie urzędników lojalistami politycznymi. W praktyce oznaczało to zatrudnianie młodych, genialnych programistów, bo to oni mogą rozwiązać każdy problem.

W kolejnych działaniach administracji Trumpa – zarówno wewnętrznych, jak i międzynarodowych – której funkcjonowanie, szczególnie po wsparciu Muska, zaczęto określać mianem Dark MAGA, inspiracje neoreakcjonizmem widać gołym okiem. – Na czele z bliskim środowiskom technologicznym wezwaniem do deregulacji i maksymalnego ograniczenia kontroli nad biznesem. To zresztą jeden z głównych argumentów, jakimi Trump od miesięcy uderza w Unię Europejską – tłumaczy Jan Jęcz.

Biały Dom wszedł w otwarty konflikt z UE, próbując osłabić Akt o usługach cyfrowych (Digital Services Act, DSA). DSA wymaga od dużych platform ujawniania zasad działania algorytmów i moderowania treści pod groźbą wielomilionowych kar sięgających aż 6 procent globalnych dochodów. Odpowiedzią Trumpa stała się presja. W grudniu 2025 roku pięć osób, w tym były komisarz UE do spraw technologii Thierry Breton, otrzymało zakaz wjazdu do USA za rzekomy udział w cenzurowaniu amerykańskiej wolności słowa. Szef komisji sądowniczej Izby Reprezentantów Jim Jordan opublikował raporty z nazwiskami unijnych urzędników oraz wezwał co najmniej trzy europejskie organizacje pozarządowe kontrolujące algorytmy platform do przekazania wewnętrznych dokumentów.

Towarzyszy temu zmasowana krytyka Unii jako struktury upadającej, pozbawionej własnych sukcesów technologicznych, ograniczającej potencjał swoich członków i niezdolnej do rozwiązywania własnych problemów. Jest w tym pewna ironia. Europa, która przez wieki kolonizowała świat, sama

staje się dziś obiektem tego, co pastor Moss nazwał „retoryką usprawiedliwiającą eksploatację i podporządkowanie".

Skala i bezwzględność tych działań sprawiły, że nie minął nawet rok od powrotu Trumpa do władzy, gdy 3 października 2025 roku prezydent Francji Emmanuel Macron i kanclerz Niemiec Friedrich Merz, podczas uroczystości z okazji 35. rocznicy zjednoczenia Niemiec, wspólnie wezwali do przeciwstawienia się „ciemnemu oświeceniu autorytaryzmu". Nie była to już metafora, lecz konkretne odniesienie do idei, które z Doliny Krzemowej zaczęły rozlewać się na Europę. I nie tylko.

—

W LUTYM 2025 roku prezydent Argentyny Javier Milei zszokował uczestników Światowego Forum Ekonomicznego w Davos. Jego wystąpienie nie było klasycznym, przewidywalnym, lekko nudnym przemówieniem, jakich można spodziewać się po polityku w takim miejscu.

Wręcz przeciwnie, ten ultraliberał, ba! anarcholiberał, choć trudno sytuację gospodarczą Argentyny stawiać za wzór, przez kilkadziesiąt minut ostro beształ zachodnich polityków, przedsiębiorców i ekspertów. „Każdy filar naszej cywilizacji został zastąpiony przez wypaczoną wersję samej siebie poprzez różne mechanizmy kulturowej subwersji" – mówił. I grzmiał, że „negatywne prawa do życia, wolności i własności zostały przekształcone w sztuczną i niekończącą się listę pozytywnych praw. Najpierw była to edukacja, potem mieszkanie, a następnie absurdalne żądania, takie jak dostęp do internetu, transmitowane mecze piłkarskie, teatr, zabiegi kosmetyczne i niezliczona liczba innych pragnień przekształconych w podstawowe prawa człowieka". Wskazywał też wroga: „*woke* – ideologię jednolitego myślenia", która doprowadziła do świata rodem z książek Ayn Rand, „w którym największym zwycięzcą jest klasa polityczna, stająca się jednocześnie arbitrem i interesariuszem w tej grze redystrybucji". Lekarstwo, jakie proponował Milei, było dobrze znane: libertarianizm pozbawiony ograniczeń, bliski postulatom neoreakcjonizmu.

Kanadyjski historyk Quinn Slobodian w książce *Hayek's Bastards* (*Bękarty Hayeka*) pokazuje, jak współcześni myśliciele wolnorynkowi, inspirowani ekonomistą Friedrichem Hayekiem, coraz częściej łączą neoliberalizm ze skrajnymi koncepcjami dotyczącymi elitarnej natury społeczeństw, kultu IQ i nieufności wobec demokracji. Demokracji, która w ich oczach przestała być narzędziem wolności, a stała się mechanizmem ograniczającym wpływ elit. Takim „bękartem Hayeka" jest właśnie Milei, jeden z najbardziej wyrazistych neoliberałów, którzy stali się filarem współczesnej populistycznej prawicy.

Podobny przykład Slobodian widzi w Salwadorze. „Nayib Bukele [prezydent

eprasa.pl cab18af919

Salwadoru – przyp. red.] połączył autorytarne represje i masowe uwięzienia z niemal komicznym objęciem «nowego złota» kryptowalut". Bukele realizuje wiele elementów neoreakcjonistycznego scenariusza: wprowadził bitcoin jako prawny środek płatniczy, skutecznie omija tradycyjne media, komunikując się bezpośrednio przez platformy społecznościowe, i wspiera Trumpa, między innymi poprzez przyjmowanie deportowanych migrantów. Jak pisał Yarvin, Salwador stał się w tej narracji laboratorium „suwerennego restartu", miejsca, gdzie można zastąpić tradycyjne państwo „reżimem start-upowym" obsadzonym przez „założycieli YC, weteranów McKinseya, inżynierów Google'a, naukowców rakietowych SpaceX, mistrzów funduszy hedgingowych itd.".

Takich miejsc aktywnie poszukują neoreakcjoniści. – Stąd koncepcja państw-miast, tzw. *charter cities* lub *freedom cities*, lub, jak nazywa je amerykański przedsiębiorca i inwestor kryptowalut Balaji Srinivasan, *network states*, w których można budować nowy porządek bez ograniczeń regulacyjnych i biurokracji – tłumaczy Jan Jęcz. W tym kontekście pojawiały się nawet pomysły związane z Grenlandią, o którą Donald Trump niespodziewanie rozpoczął przepychanki z Danią. Na przykład budowa modelowego *freedom city* zarządzanego jak start-up i oczywiście służącego do niczym nieskrępowanego eksperymentowania z wszelkimi technologiami, z AI na czele.

Są jednak również tacy politycy, którzy sami próbują realizować podobne wizje. W Indiach premier Narendra Modi od lat wykorzystuje technologie do kontroli społeczeństwa i tłumienia opozycji. Gdy napięcia rosną, władze sięgają po jedno z najprostszych narzędzi: wyłączenie internetu. Według organizacji Access Now w latach 2018–2023 Indie robiły to częściej niż jakikolwiek inny kraj – nawet kilkadziesiąt razy rocznie. Równocześnie Modi obiecywał budowę setek *smart cities*, zamkniętych, ultranowoczesnych enklaw rozwoju technologicznego. Projekt w znacznej mierze nie przyniósł oczekiwanych rezultatów. Dziś Indie zapowiadają inwestycje rzędu 250 miliardów dolarów w rozwój infrastruktury AI i centrów danych.

Na tym tle Europa zaczyna przypominać ostatnią wioskę Gallów, broniącą się przed naporem nowego imperium. Ale i w jej murach pojawiają się pęknięcia. Dalibor Rohac, słowacki politolog i analityk American Enterprise Institute, już w 2014 roku ostrzegał, że „byłoby błędem uznać poglądy rozwijane przez Menciusa Moldbuga i jego zwolenników za nieistotne, choć ekscentryczne. Te same idee, pod innymi nazwami, zdobywają wpływy w Europie i oddziałują na życie milionów ludzi".

Rozmawiam z Rohacem 12 lat później. W jego gabinecie wisi plakat z Václavem Havlem, symbolem innej epoki i innej wiary w demokrację. Analityk mówi bez satysfakcji, raczej z goryczą: – Od lat widziałem, jak internetowa neoreakcyjna prawica zdobywa wyobraźnię młodych ludzi po obu stronach Atlantyku, i podejrzewałem, że może stać się wyzwaniem dla demokracji. Nie przewidziałem jednak ani Trumpa, ani brexitu – przyznaje. I dodaje, że z perspektywy czasu widać wyraźnie, skąd brała się energia nowych ruchów: z dawnych, niszowych dyskusji internetowych. – Takich o tożsamości białych, o imigracji, o ideach reakcyjnych.

W Indiach premier Narendra Modi od lat wykorzystuje technologie do kontroli społeczeństwa i tłumienia opozycji. Gdy napięcia rosną, władze sięgają po jedno z najprostszych narzędzi: wyłączanie internetu.

Gdy sam dorastał w latach 90. w północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych, młodzi konserwatyści byli przede wszystkim zwolennikami wolnego rynku, thatcheryzmu, reaganizmu, libertarianizmu. Dziś ich motywacje są inne. – Moje pokolenie dorastało w cieniu zwycięstwa Zachodu w zimnej wojnie, co ukształtowało nasz optymizm. Młodsi pamiętają przede wszystkim Irak i Afganistan jako długotrwałe porażki, co prowadzi ich do bardziej cynicznego spojrzenia na rolę USA – tłumaczy. Podobnie zmieniło się postrzeganie globalizacji. – Dla mnie oznaczała wzrost dobrobytu, dla innych – utratę przemysłu i degradację społeczną. Te doświadczenia prowadzą do zupełnie innych wniosków politycznych – podsumowuje.

Podobną zmianę widać także w Polsce. Piotr Trudnowski, były prezes Klubu Jagiellońskiego, pisze wprost: „Od dawna uważam, że cichym, nieuświadomionym patronem młodych Polaków jest Ayn Rand, libertariańska apologetka «cnoty egoizmu». Od hardkorowego liberalizmu gospodarczego do libertynizmu w sprawach obyczajowych droga jest krótsza, niż się wielu po obu stronach wydaje". I dodaje, że widoczny wśród młodszych wyborców zwrot w stronę Mentzena i Konfederacji to „nie tylko rzekoma «antysystemowość», ale dużo głębsze i poważniejsze zjawisko. To pochodna coraz bardziej indywidualistycznej, egoistycznej, konsumpcyjnej i niestety zlaicyzowanej kultury".

Ale to nie wydarzyło się nagle. Zmiany można było obserwować od lat, w działaniach konkretnych polityków – podkreśla Rohac. Gdy Viktor Orbán wrócił do władzy w 2010 roku, nie był już tym samym politykiem, którego pamiętano z końca lat 90. – Jego retoryka stała się bardziej nacjonalistyczna, a polityka gospodarcza bardziej etatystyczna i protekcjonistyczna. Coraz większą rolę zaczęły odgrywać idee reakcyjne.

Podobny proces, zdaniem słowackiego politologa, zachodzi dziś też w Polsce. – Jedną z kluczowych cech Polski po 1989 roku była silna nieufność wobec Rosji i jasna orientacja geopolityczna. Ta jasność słabnie wraz z odchodzeniem starszego pokolenia. Prawicowość Jarosława Kaczyńskiego i starego Prawa i Sprawiedliwości jest inna niż prawicowość Konfederacji czy obozu skupionego wokół nowego prezydenta Karola Nawrockiego – mówi Rohac, starając się zachować dyplomatyczny ton.

Znacznie dosadniej o Nawrockim mówił w podcaście *Układ otwarty* Igora Jankego profesor Wojciech Myślecki. Stwierdził wprost, że Nawrocki będzie „pierwszym politykiem zidentyfikowanym jako zwolennik ciemnego oświecenia w warstwie (...) ideologicznej" i jest „jedynym kandydatem wielkiego rozdania w układzie światowym i polskim, (...) wielkiej strategii zmiany i rekonstrukcji sceny politycznej zapoczątkowanej przez Stany Zjednoczone".

eprasa.pl cab18af919

Myślecki, profesor elektroniki, jako jeden z dowodów przywoływał fakt, że Nawrocki po zwycięstwie cytował *Biblię*, wybierając fragment szczególnie doceniany przez anglikanów. Według niego miał to być symboliczny ukłon w stronę środowisk neoreakcyjnych, w których anglikanie są licznie reprezentowani.

Trudno jednak nie zauważyć, że takie interpretacje ocierają się o spiskowe interpretacje ciemnego oświecenia. – To zjawisko jest znacznie bardziej inkluzywne. Nie jest konkretnym programem politycznym, lecz platformą idei, która dostosowuje się do lokalnych warunków. To osobliwy sojusz, w którym istotną rolę odgrywają tradycjonalizm religijny, konserwatyzm obyczajowy i nacjonalizm – kluczowy w zarządzaniu masami – do spółki z futuryzmem, transhumanizmem i nieśmiertelnością elit. Czasem zakrawa to na kompletną herezję, jak w kuriozalnych wykładach Petera Thiela o Antychryście, czy uwagach Joe Rogana [jednego najpopularniejszych amerykańskich podcasterów – przyp. red.], że Jezus powróci jako… sztuczna inteligencja – bo „cóż jest bardziej niepokalanie poczęte niż komputer". A wszystko w ramach kumulacji absolutnej władzy przez technomonarchów z kompleksem Boga – tłumaczy Michał Zabdyr-Jamróz.

Dlatego może przybierać różne formy: świeckie, religijne lub quasireligijne. – Neoreakcjonistom zależy przede wszystkim na rozszerzaniu wpływów. Dlatego szukają sojuszników nawet tam, gdzie nie ma pełnej zgodności – dodaje Jęcz.

W przypadku Nawrockiego bardziej znaczące niż symboliczne gesty są konkretne decyzje i deklaracje: silnie antyregulacyjny kurs, zawetowanie wdrożenia rozporządzenia DSA, co jest zgodne ze strategią Trumpa wzmacniania amerykańskich techkorporacji, ostra krytyka Unii Europejskiej czy sprzeciw wobec nowych podatków.

– Aby zrozumieć skalę tego zjawiska, ważniejsze niż symbole jest spojrzenie na relacje między biznesem, polityką i elitami oraz na idee, które są wprowadzane w życie – mówi Zabdyr-Jamróz i tłumaczy: – Kluczowe dla ciemnego oświecenia jest odrzucenie egalitaryzmu i rządów prawa, czyli równości wobec prawa. Projektuje ono świat o podwójnych standardach: jednych dla elit, innych dla reszty. Wolność, tak często przywoływana, zwłaszcza w kontekście wolności słowa, w praktyce służy wzmacnianiu pozycji najsilniejszych. Dla elit oznacza swobodę w niemal każdej sferze, w tym seksualnej, i dlatego Musk może mieć gromadkę dzieci z wieloma partnerkami, dlatego tak ogromne rzesze wpływowych ludzi ściągał do siebie Jeffrey Epstein, dlatego wypowiedzi i zachowania Trumpa względem kobiet wciąż są akceptowane. A równocześnie reszta świata podlega konserwatywnym ograniczeniom i mocnej retoryce prenatalnej: nieustanne podkreślanie kryzysu demograficznego, wezwania do obrony białej większości. Trąbi o wolności, ale raczej wolności szlacheckiej do uciskania poddanych, do posiadania niewolników.

Słowa Marca Andreessena, członka rady dyrektorów Facebooka: „technooptymiści wierzą, że społeczeństwa są jak rekiny, rosną albo umierają"; „dajcie nam problem, a my wynajdziemy technologię, która go rozwiąże" – szybko stały się hasłami epoki.

Surowy porządek społeczny i zamknięte granice mają być dla maluczkich, a globalna elita ma być bezkarna i amoralna. Praktyki, jakie ujawniła afera Epsteina, są symptomatyczne. Elita ma być ponad prawem, bo jest wyjątkowa, a bogactwo potwierdza jej geniusz. Absolutnie nieodłączna jest tu teologiczno-polityczna legitymizacja. Fundamentaliści religijni w USA – choćby amerykańska organizacja non profit Fellowship Foundation – przyłożyli się do oswojenia społeczeństwa z hipokryzją władzy. Argumentowali, że tak jak biblijny król Dawid przywódca może być grzesznikiem, zdradzać żonę i molestować modelki. Ale najważniejsze, że jest namaszczonym instrumentem realizacji planu bożego – barwnie opowiada politolog.

—

KAŻDY ELEMENT tego projektu zasługiwałby na osobny, analityczny esej. Każdy rezonuje, każdy coś odsłania. Ale nic z tego nie byłoby możliwe bez jednego składnika: technologii. W ostatniej dekadzie sektor technologiczny urósł do niespotykanej wcześniej skali. Big techy skumulowały ogromną władzę, a wraz z nią rosła siła i atrakcyjność idei, które wcześniej krążyły na obrzeżach.

Wejście neoreakcjonizmu do mainstreamu zbiegło się z transformacją firm technologicznych w globalne centra władzy. Z korporacji stały się infrastrukturą świata, kolonizując kolejne rynki i branże, a przy okazji odkrywając własne ambicje polityczne (o czym pisałam w tekście *Big techy. Parapaństwa z krzemu i danych*, „Pismo" nr 7/2025). Zarówno technologiczni liderzy, jak i politycy zrozumieli, że razem mogą stworzyć wyjątkowo skuteczną koalicję.

Nie jest już tak – jak pisał Rohac – że „europejscy neoreakcjoniści wykazują mniejsze zainteresowanie technofuturyzmem niż ich amerykańscy odpowiednicy". Dziś fascynacja technokratycznym modelem, opartym na analityce, danych i kontroli, jest widoczna również w Europie. Choć wciąż daleko tu do jawnego sojuszu Doliny Krzemowej z Białym Domem.

Jednocześnie trwa proces przepisywania historii. Początki przemysłu technologicznego są stopniowo wymazywane, tak by jego liderzy mogli jawić się jako samorodni geniusze, bohaterowie rodem z powieści Ayn Rand. Nieprzypadkowo komedia, czy raczej komediodramat, o grupie miliarderów technologicznych, którzy – zamknięci – snują wizje przebudowy świata, nosił tytuł *Mountainhead* nawiązujący do *The Fountainhead*, czyli *Źródła*.

Ta mitologia kształtowała się jednak znacznie wcześniej niż samo ciemne oświecenie. Już 30 lat temu Paulina Borsook w eseju *Cyberselfish* (*Cyberegoizm*) trafnie opisała mentalność rodzącej się elity Doliny Krzemowej: „Są oni spadkobiercami największego w historii subsydiowania technologii i edukacji technicznej przez państwo; a jednak (…) uznają za oczywiste bogactwo środowiska, w którym rozkwitli, i wściekle sprzeciwiają się ograniczeniom, które ich wiążą. I jak uprzywilejowane, rozpieszczone nastolatki nie mają pojęcia, jak wyglądałoby ich życie bez hojności, którą zostali obdarzeni".

eprasa.pl cab18af919

Było to jeszcze przed powstaniem Google'a i PayPala, gdy Mark Zuckerberg i Sam Altman dopiero chodzili do szkoły. Pewne symptomy były już jednak widoczne, a kolejne lata tylko je nasiliły. – Tak jak politycznym akceleratorem stały się kolejne zwycięstwa Trumpa i sukcesy alt-prawicy, tak od strony technologicznej ruch wzmocniła rewolucja algorytmiczna: najpierw media społecznościowe, a potem boom wokół sztucznej inteligencji. A gruntem dla tego wszystkiego jest legalizacja nieograniczonej władzy pieniądza w polityce: w mediach, w kampaniach, w lobbingu – mówi politolog.

Po 2022 roku, czyli od premiery ChatGPT, rewolucja AI weszła w fazę przyspieszenia. W Dolinie Krzemowej zaczęto otwarcie mówić o potrzebie „efektywnego akceleracjonizmu", usunięcia politycznych i moralnych ograniczeń, które mogłyby spowolnić rozwój technologii. Sam Altman napisał na X: „Nie zdołacie mnie przeakcelerować".

Marc Andreessen, członek rady dyrektorów Facebooka, wspierający finansowo takie projekty, jak Instagram, Lyft czy Slack, jest instytucją sam w sobie. Działa zarówno indywidualnie, jak i poprzez jeden z najbardziej wpływowych funduszy Doliny Krzemowej: Andreessen Horowitz. Gdy jesienią 2023 roku opublikował *Manifest technooptymisty*, nie był to kolejny popularny wpis na blogu czy Substacku, lecz deklaracja światopoglądowa jednego z architektów współczesnego świata technologii. Jego słowa: „technooptymiści wierzą, że społeczeństwa są jak rekiny, rosną albo umierają"; „dajcie nam prawdziwy problem, a my wynajdziemy technologię, która go rozwiąże" czy „naszym wrogiem jest stagnacja" – szybko stały się hasłami epoki.

Jeszcze więcej można było wyczytać między wierszami. Andreessen pisał wprost: „Nasze obecne społeczeństwo od sześciu dekad jest poddawane masowej kampanii demoralizacji, przeciwko technologii i przeciwko życiu, pod różnymi nazwami, takimi jak «ryzyko egzystencjalne», «zrównoważony rozwój», «ESG», «cele zrównoważonego rozwoju», «odpowiedzialność społeczna», «kapitalizm interesariuszy», «zasada ostrożności», «zaufanie i bezpieczeństwo», «etyka technologiczna», «zarządzanie ryzykiem», «*degrowth*», «granice wzrostu»".

Brzmiało to jak zarys konkretnej agendy. I z taką właśnie wizją Andreessen zdecydował się współfinansować kampanię Donalda Trumpa oraz J.D. Vance'a. Towarzyszyli mu inni wpływowi ludzie z branży, na czele z Peterem Thielem, który oficjalnie poparł ruch narodowego konserwatyzmu oraz swojego protegowanego, wiceprezydenta Vance'a. Ich relacja sięgała zresztą lat wcześniejszych. To właśnie Thiel w 2016 roku napisał rekomendację autobiograficznej *Elegii dla bidoków* Vance'a.

Thiel od dawna działa na pograniczu biznesu i ideologii. Współzałożył PayPala, był pierwszym zewnętrznym inwestorem Facebooka, a następnie stworzył Palantir Technologies, firmę nazwaną od kamieni widzenia z *Władcy Pierścieni*, dostarczającą

analizy danych dla wojska, wywiadu i policji. Popierał Trumpa już w czasie pierwszej kampanii wyborczej w 2016 roku, wtedy, gdy większość Doliny Krzemowej opowiadała się po stronie demokratów.

I zawsze miał szerokie ambicje wykraczające poza świat technologii. Doradzanie Trumpowi w 2016 roku przy obsadzie najważniejszych stanowisk nie powiodło się. Zderzył się z większymi politycznymi wyjadaczami. Ale jak pisze biograf Thiela Max Chafkin: „Zawsze miał plan B, zabezpieczenie". Plan ten zakładał zbudowanie sobie silniejszego wsparcia na kolejne lata, tak by jego ludzie stawali się znacznie trudniejsi do odsunięcia.

—

THIEL ZACZĄŁ więc budować imperium. Na pierwszym planie znalazł się Palantir, który zdobywał publiczne kontrakty, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Początkowo skupiał się na usługach związanych z obronnością w USA i państwach Bliskiego Wschodu. Ale oko Saurona sięga daleko. Z czasem firma rozpoczęła ekspansję w Europie.

Drogę utorowała jej pandemia COVID-19. Spółka podjęła wtedy współpracę z brytyjską agencją odpowiedzialną za ochronę zdrowia – National Health Service (NHS). Firma stworzyła system, który miał integrować rozproszone dane ze szpitali i placówek w całej Wielkiej Brytanii. W ten sposób poprawiono planowanie i efektywność opieki zdrowotnej. Współpraca ta trwa do dziś, Palantir ma z NHS siedmioletni kontrakt wart 330 milionów funtów. Przetwarza dane z ponad 240 jednostek systemu.

Po pełnoskalowym ataku Rosji na Ukrainę Palantir zaczął podpisywać kolejne kontrakty na obsługę danych w celach obronnych. Nie tylko w samej Ukrainie, ale także w Hiszpanii, Danii czy Wielkiej Brytanii. Firma jest o krok od zawarcia takiej umowy w Polsce, gdzie pod koniec 2025 roku Ministerstwo Obrony Narodowej podpisało z nią list intencyjny o współpracy. W rezultacie wycena giełdowa Palantira w lutym 2026 roku w momencie pisania tego tekstu przekraczała 370 miliardów, a jeszcze rok temu było to 200 miliardów.

Lecz jeszcze ważniejszym efektem jest zbudowanie gęstej sieci relacji politycznych i zależności w całej Europie. Zależności, które wobec ciągłego zagrożenia ze strony Rosji trudno politykom podważać, bo przecież bezpieczeństwo państwa stoi na pierwszym miejscu. A tam, gdzie do podpisania umowy nie doszło – czyli w Szwajcarii – Palantir pozwał opiniotwórczy magazyn Republik, który ujawnił zerwanie rozmów z rządem.

Równolegle Thiel inwestuje w kapitał ludzki. Finansował The Seasteading Institute, projekt Patriego Friedmana, wnuka Miltona Friedmana, który pracował nad koncepcją autonomicznych, pływających miast, przyszłych *freedom cities*. Ale przede wszystkim buduje silne kadry na nowe czasy.

Curtis Yarvin od 2014 roku nie prowadzi już bloga. Pod prawdziwym nazwiskiem

eprasa.pl cab18af919

rozwija oprogramowanie Urbit w ramach start-upu Tlon, również wspieranego przez Thiela. Jeden z jego współpracowników, John Burnham, otrzymał od Thiela stypendium w wysokości 100 tysięcy dolarów za porzucenie studiów i rozpoczęcie działalności biznesowej. – To kolejny mechanizm budowania przyszłych elit i jednoczesnego osłabiania instytucji, które neoreakcjoniści określają mianem Katedry – zauważa Jan Jęcz.

Z Janem Jęczem siedzimy w poznańskiej kawiarni obok biblioteki uniwersyteckiej. Co chwilę wchodzą studenci, zamawiają kawę, rozkładają laptopy, uczą się, rozmawiają. Jęcz też tu studiował. Gdy zaczynamy mówić o ciemnym oświeceniu i o tym, jak te idee się rozlewają, sięga do własnych doświadczeń. – Jestem wychowankiem Krajowego Funduszu na rzecz Dzieci [od 2025 roku Fundusz Zdolni – przyp. red.]. To inicjatywa, która wyłapuje w szkołach zdolnych nastolatków i daje im możliwości rozwoju. I mi też sporo dała. Ale zostawiła również refleksję nad tym, czym może być takie łowienie talentów.

Wśród wychowanków Funduszu są: matematyk Piotr Achinger, jeden z czołowych europejskich badaczy algorytmiki Marcin Pilipczuk, neurobiolożka Ewelina Knapska, zwycięzca konkursu chopinowskiego Rafał Blechacz czy były minister sprawiedliwości Adam Bodnar. Imponujące grono.

– Podobne inicjatywy działają też w Stanach Zjednoczonych. Tyle że tam coraz częściej stają się lejkiem: wyłapują talenty przede wszystkim ścisłe, a potem przekonują młodych ludzi, że są zbyt zdolni, by tracić czas na studia. Lepsze mają być akceleratory start-upów i praca w Dolinie Krzemowej – mówi Jęcz.

Nie ma niczego złego w rozwijaniu talentów. Problem zaczyna się gdzie indziej. – Jeśli wychowujesz 15- czy 16-latka w przekonaniu o jego wyjątkowości, bardzo trudno później wyrwać go z tej trajektorii. Może naprawdę uwierzyć, że wie więcej niż inni, bo od początku funkcjonował w kokonie – tłumaczy Jęcz. To właśnie ten mechanizm, jego zdaniem, wykorzystują dziś elity technologiczne. – Tak działa choćby Thiel, fundując stypendia dla młodych ludzi pod warunkiem, że nie pójdą na studia. Wizja jest prosta: uniwersytety zabiją ich idealizm, wciągną w Katedrę, zatrują równościowymi ideami i uczynią częścią systemu.

Poglądy pociągają za sobą realne decyzje. Sekretarz wojny Pete Hegseth tuż przed atakiem USA na Iran pod koniec lutego w specjalnym oświadczeniu ogłosił, że Pentagon anuluje udział żołnierzy w studiach podyplomowych na takich uczelniach, jak Princeton, Columbia, MIT, Brown, Yale i inne, ocenianych jako najlepsze uniwersytety w Stanach Zjednoczonych. Nazwał je wprost „wylęgarniami toksycznej indoktrynacji". Wcześniej Pentagon ogłosił, że kończy wszystkie szkolenia wojskowe, stypendia i programy certyfikacyjne z Harvardem.

Ten sposób selekcji talentów coraz wyraźniej widać również w polityce. Symbolicznym momentem było utworzenie DOGE przez Muska. Jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci wśród młodych rekrutów został Luke Farritor.

Farritor był znany jeszcze przed dołączeniem do DOGE. W 2024 roku współtworzył zespół, który wygrał Vesuvius Challenge, konkurs polegający na odczytaniu zwęglonych papirusów z Herkulanum. Napisał skrypt identyfikujący czytelne znaki w zniszczonych tekstach. Genialne? Pewnie. Ale czy wystarczające, by podejmować mające globalne skutki decyzje o skasowaniu projektu Agencji Stanów Zjednoczonych ds. Rozwoju Międzynarodowego (United States Agency for International Development, USAID)? To właśnie do takich historii odnosił się Max Read w newsletterze *Read Max*, podkreślając, że umiejętność napisania skryptu w Pythonie nie oznacza jeszcze kompetencji do reformowania państwa.

Podobny kult wyjątkowości rośnie w Polsce. Młodzi, utalentowani ludzie są coraz częściej wyciągani z uniwersyteckiego świata do korporacji oferujących pieniądze, wpływy i obietnicę zmieniania świata. – Potem inżynierowie z Google'a czy SpaceX są przekonani, że wiedzą, jak naprawić edukację albo państwo – ironizuje Jęcz. W tym przekonaniu utwierdza ich dodatkowo poklask, który otrzymują w mediach społecznościowych, gdzie sukces technologiczny łatwo zamienia się w autorytet we wszystkich innych dziedzinach.

Nie jest szczególnym odkryciem, że platformy cyfrowe stały się katalizatorem rozprzestrzeniania tych idei. – W przeszłości osoby o skrajnych poglądach i teoretycy spiskowi istnieli, ale byli odizolowani. Ich publikacje miały ograniczony zasięg. Media społecznościowe pozwoliły im się odnaleźć, organizować i tworzyć ruchy – tłumaczy Rohac i dodaje: – Algorytmy dodatkowo wzmacniają treści wywołujące silne emocje, które angażują bardziej niż spokojne analizy. Powstaje wrażenie, że nie są już

Pismo.

1,5%

Buduj razem z nami kulturę dialogu i krytycznego myślenia.
Przekaż 1,5% podatku na Fundację Pismo.

KRS 0000689263

eprasa.pl cab18af919

mniejszością. Idee marginalne mogą dziś rozprzestrzeniać się szeroko i wpływać na politykę w sposób, który 20 lat temu był niemożliwy.

Choć przez lata prawica, zwłaszcza alt-prawica, przekonywała, że jest systemowo wykluczana z mainstreamu, kolejne badania pokazują bardziej złożony obraz. Analiza opublikowana w czasopiśmie „Nature" wykazała, że algorytm platformy X może wpływać na użytkowników, skłaniając ich ku bardziej konserwatywnym poglądom. Badacze objęli eksperymentem 4965 aktywnych użytkowników X z USA. Jedna grupa korzystała z domyślnego feedu *for you*, w którym algorytm dobiera treści na podstawie przewidywanego zaangażowania, także z kont nieobserwowanych. Druga widziała wyłącznie chronologiczny feed z kont, które sama wybrała.

Po siedmiu tygodniach użytkownicy korzystający z algorytmicznego feedu byli o 4,7 punktu procentowego bardziej skłonni uznawać za priorytetowe kwestie podkreślane przez republikanów, takie jak przestępczość, inflacja czy imigracja. Częściej uznawali też postępowanie karne wobec Donalda Trumpa za niedopuszczalne, a ich poglądy na wojnę w Ukrainie stawały się bardziej prorosyjskie. Co istotne, algorytm zachęcał również do obserwowania większej liczby kont prawicowych, a efekt ten utrzymywał się nawet po powrocie do feedu chronologicznego. Innymi słowy, wpływ algorytmu nie znikał wraz z jego wyłączeniem.

Nie jest to zjawisko marginalne. Platforma X, należąca do Elona Muska od 2022 roku, ma ponad 600 milionów użytkowników i stała się elementem globalnej infrastruktury komunikacyjnej. – Kiedy systemy techniczne stają się infrastrukturą, przestajemy je zauważać. Stają się tłem, które kształtuje społeczeństwo u podstaw. Dostarczana przez nią narracja, podatna na algorytmiczne manipulacje i boty, opanowuje ludzką uwagę i tak kształtuje naszą świadomość – mówi Zabdyr-Jamróz.

Nie oznacza to jednak, że algorytmy działają w próżni, kierowane wyłącznie matematyką. Ich projektowanie, parametry i priorytety są rezultatem konkretnych decyzji. Stało się to szczególnie widoczne po przejęciu Twittera przez Muska, gdy pojawiły się doniesienia, że osobiście ingerował w system rekomendacji, by zwiększyć zasięg własnych wpisów.

Ale Twitter/X wcale nie był pierwszy. Jeszcze wcześniej internetowe przestrzenie, takie jak forum 4chan, odegrały kluczową rolę w formowaniu współczesnego dyskursu alt-prawicy. To tam, w słabo moderowanych sekcjach, powstawały język, symbole i narracje, które z czasem przeniknęły do szerszego obiegu. Platformy, początkowo wydające się niszowymi enklawami, stały się laboratoriami idei, które dziś kształtują rzeczywistość polityczną.

Analiza czasopisma „Nature" wykazała, że algorytm platformy X może wpływać na użytkowników, skłaniając ich ku bardziej konserwatywnym poglądom. Co więcej, algorytm zachęcał również do obserwowania większej liczby kont prawicowych.

Michał Zabdyr-Jamróz, jak tysiące innych ludzi – dziennikarzy, analityków i polityków – gdy amerykańska prokuratura opublikowała część akt Epsteina, zaczął się im przyglądać. Dziś nie dziwi już, jak wiele z teorii uznawanych wcześniej za spiskowe, krążących wokół amerykańskiej polityki, znalazło w tych dokumentach swoje potwierdzenie. Przykuło to uwagę Zabdyra-Jamroza, który jako politolog zdrowia publicznego badał narracje antyszczepionkowe i proces ich upolityczniania.

– Znałem już różne udokumentowane badawczo powiązania w tym obszarze, jak farmy putinowskich botów szerzące sceptycyzm covidowy czy aferę Cambridge Analytica i projekt manipulowania wyborców na rzecz brexitu. A jednak w wielu miejscach byłem zaszokowany skalą powiązań, jakie z tej korespondencji się wyłaniają. Najbardziej zaskoczyło mnie to, że Epstein najprawdopodobniej maczał palce w promowaniu całego tego skrajnego dyskursu, w którym mieszają się treści alt-prawicowe, mizoginiczne, rasistowskie i elitarystyczne. To właśnie po korespondencji z Epsteinem Christopher Poole zlikwidował moderację treści na swoim portalu 4chan – wskazuje politolog.

Choć sam Poole już po opublikowaniu akt Epsteina zapewniał, że ich relacje nie miały nic wspólnego z decyzjami dotyczącymi 4chana, to jednak zakończenie moderacji oznaczało powstanie legendarnej sekcji „politycznie niepoprawnej" –/pol/. To właśnie z niej wyłonił się internetowy dyskurs alt-prawicy i neoreakcjonizmu.

Stop.

Czytelniczko, Czytelniku, mogłabym tak wymieniać kolejne nazwiska ze świata amerykańskiej polityki. Mogłabym wspomnieć o Heritage Foundation, wpływowej instytucji zaplecza intelektualnego republikanów, w której dochodzi dziś do głębokich podziałów. Podziałów, bo nawet dla wielu konserwatystów kierunek wyznaczany przez choćby takiego Nicka Fuentesa, jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy skrajnej prawicy w USA, który potrafi mówić o Hitlerze w sposób relatywizujący jego zbrodnie, ba! wręcz pochwalnie, pozostaje nie do zaakceptowania.

Mogłabym też dalej pokazywać, jak idee antyeuropejskie i antyregulacyjne rozprzestrzeniają się po Europie. Jak stają się paliwem politycznym, jak budują nowe kariery i nowe ruchy.

Ale to wszystko przecież na pewno widzicie. I słyszycie. Nawet bez brania czerwonej tabletki.

Ciemne oświecenie wyszło już z cienia.

Czy wiesz, że dzięki prenumeracie z dostępem online możesz dawać innym bezpłatny dostęp do tekstów z „Pisma"? Dziel się treściami jeszcze prościej. Udostępniaj je jednym kliknięciem. Więcej na **magazynpismo.pl/podzielsie**

eprasa.pl cab18af919

eprasa.pl cab18af919

FOTOREPORTAŻ

Więźniowie czwartego piętra

zdjęcia i tekst EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ

W PIERWSZYM NUMERZE „Pisma" opublikowałam reportaż o seniorach, którzy nie opuszczają swoich mieszkań. W 100. z aparatem fotograficznym wracam do tego problemu. W ciągu tych ośmiu lat niewiele się na czwartym piętrze zmieniło.

eprasa.pl cab18af919

eprasa.pl cab18af919

EWA WOŁKANOWSKA-KOŁODZIEJ, fotografka, antropolożka kultury i reporterka. Absolwentka Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, Polskiej Szkoły Reportażu i Sopockiej Szkoły Fotografii. Zdobywczyni m.in. statuetki „Twórcy Szczególnie Wrażliwego" i Nagrody im. prof. Elżbiety Tarkowskiej. Finalistka The True Story Award, European Press Prize (za reportaż *Więźniowie czwartego piętra*, „Pismo" nr 1/2018) i Gdańsk Press Photo. Zdjęcia publikowała w „Gazecie Wyborczej", Onecie, „Zawsze Pomorze" i szwajcarskim piśmie „Saldo". Ma na koncie wystawę indywidualną *Mężczyźni i kwiaty*. Pochodzi z Wilna, mieszka w Gdańsku.

PANI DANUTA. Osiem lat temu zjechała windą na wysoki parter i nie wiedziała, co robić dalej. Siedziała na wózku przed kilkoma schodkami i pomyślała, że przecież nie będzie dzwonić po mieszkaniach i prosić, by ktoś pomógł jej zejść, a potem wciągnąć wózek. Wróciła na górę i samodzielnych wyjść już nie próbowała. Na spacery chodzi, a jakże. Po korytarzu – w tę i we w tę.

Raz w tygodniu przyjeżdża do pani Danuty Zośka – młoda wolontariuszka ze Stowarzyszenia mali bracia Ubogich. To organizacja, która pomaga samotnym seniorom w kilkunastu polskich miastach. Stowarzyszenie prowadzi telefon zaufania dla osób starszych, ale też łączy je w pary z wolontariuszami, którzy ich regularnie odwiedzają. Senior z wolontariuszem muszą przypaść sobie do gustu. Tak jest z panią Danutą i Zośką.

Robią obiad. Jedzą go wspólnie. Malują. Ostatnio zaczęły szyć na maszynie spódnicę dla Zośki. Pani Danuta biegle używa smartfona – jest jej niewielkim oknem na wielki świat. Potrafi robić przez internet zakupy. Skoro nie wychodzi, należy się jej ta nowa bluzeczka, sweterek, buciki. Zośka odradza, bo to wszystko chińskie. Mówi, że lepiej kupi jej coś w lokalnym sklepiku.

Pani Danuta lubi naturę. Przez okno fotografuje chmury. Albo klatki z filmu o roślinach, który ogląda w telewizji. Uwielbia księżyc, mówi do niego, a ten słucha: – Jest bezpośredni. Można z nim porozmawiać i nic nikomu nie powie.

Dowiedziałam się o nich dekadę temu, podczas długiego wywiadu, który robiłam dla jakiejś gazety. Rozmawiałam wtedy z bardzo aktywną seniorką, która przekonywała, że dawnych starych ludzi już nie ma, bo współcześni emeryci tańczą tango, chodzą na jogę i jeżdżą na weekendy do Paryża. Moje wątpliwości puszczała mimo uszu i dopiero po jakichś dwóch godzinach rzuciła od niechcenia: „No, rzeczywiście, są jeszcze więźniowie czwartego piętra. Ale dla nich nie ma ratunku". Wtedy pierwszy raz usłyszałam to sformułowanie.

Termin nawiązuje do polskiego prawa budowlanego, które pozwala na niemontowanie windy w budynkach o wysokości nieprzekraczającej czterech kondygnacji. Prawo to ma się zmienić w tym roku, co jednak nie pomoże już ludziom, którzy zdążyli się zestarzeć w takich blokach i często nie są w stanie opuścić swojego mieszkania. A nawet jeśli winda jest i da się nią zjechać, już po chwili los stawia seniora przed nieuniknionym – ośmioma czy dziewięcioma schodkami do drzwi wejściowych prowadzących do świata ludzi widzialnych. Gdy jest się na wózku albo stoi na chwiejnych nogach, te kilka stopni stanowi trudną do pokonania barierę.

Więźniów czwartego piętra niełatwo więc zauważyć. Żyją w rzeczywistości równoległej, skrytej za firankami w oknach. Są mistrzami topografii swojego mieszkania. Niedawno zadzwonił do mnie paramedyk, który opowiadał, że jadąc do szpitala, potrafią się ucieszyć, bo wyszli z domu pierwszy raz od sześciu, dziewięciu lat i z karetki obserwują Polskę, która przecież zdążyła się w tym czasie zmienić.

Spotykam się więc z tymi, których nie widać. Jedni są posiniaczeni, bo akurat upadli – wtedy nie zgadzają się na zdjęcia. Drudzy proszą, bym nie wyjmowała aparatu, bo trochę wstyd się pokazać światu. A inni chcą być zauważeni i powierzają mi swój wizerunek jako dowód na istnienie. Robię im zdjęcia, by stworzyć wystawę, która zakłuje w oczy. Będzie pokazywana na świecie: zawędruje do Ostrołęki, Mogilna, Tczewa, Lublina, Gorzowa Wielkopolskiego czy Grabowa nad Prosną. Fotografia nie polepszy życia moich bohaterów i bohaterek – taką moc mają władze państwowe, samorządy, organizacje i wspólnoty lokalne. Ale żeby komuś pomóc, trzeba go najpierw zauważyć.

eprasa.pl cab18af919

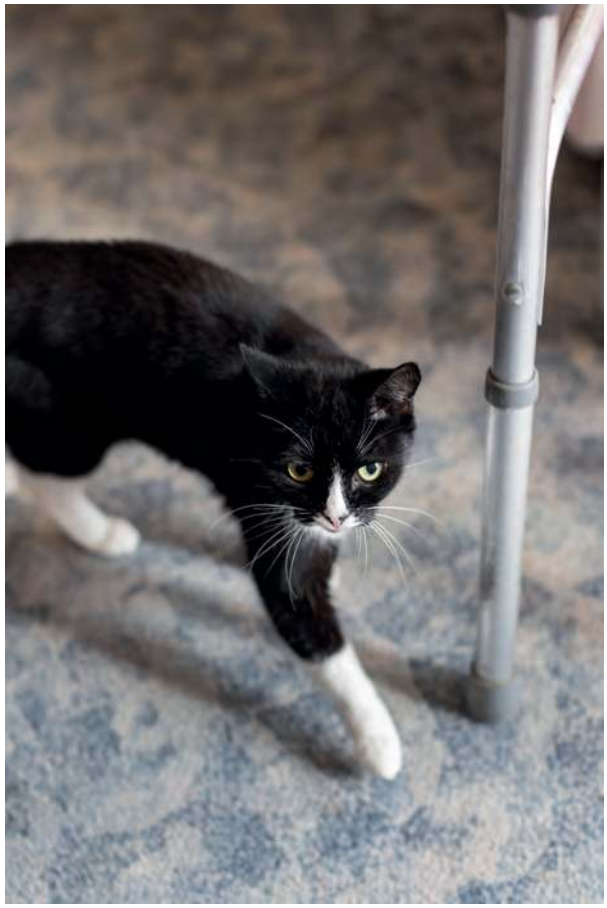

PANI EWA. Z mężem przeżyła 47 lat (choć w tym czasie kilkakrotnie się rozstawali i znów wracali do siebie). On wychował się w domu dziecka i uważał, że to nieodpowiedzialne sprowadzać na ten straszny świat nowego człowieka, by się na nim męczył. Zostali więc bez dzieci. Pani Ewa mówi, że żyli ładnie. Sny sobie opowiadali, milczeli, patrząc na jabłonki rosnące przed blokiem. Nie wie, czy rosną nadal, bo nie wychodzi od siedmiu lat.

Kiedyś upadła, połamała się. Zaczęła się poruszać za pomocą chodzika, bać upadku i wychodzenia, pogrążać w smutku. Po śmierci męża spaliła prawie wszystkie ich fotografie, zostawiając sobie zaledwie dwie czy trzy. Przyjaciele wykruszyli się, mieszkania na jej piętrze stoją w większości puste, bliskich krewnych już nie ma, dalszych nigdy nie znała. Na dobrą sprawę nie ma kogo poprosić, by pamiętał o jej istnieniu i wspomnienie o niej przekazał dalej.

Mówi, że samotność jest przerażająca. Sprawia, że człowiek przestaje czegokolwiek oczekiwać od życia. Myśli o śmierci. Martwi o los swojej kotki Myszki.

eprasa.pl cab18af919

PANI WANDA. Na parterze ma wózek przypięty łańcuchem, żeby nie skradli. Pani Wandzie zdarza się zejść na dół samodzielnie. Ma nawet opracowaną technikę: – Ciągnę się po schodach, staję co pół piętra, bo noga rąbie. Dwiema rękami za barierki się trzymam albo na tyłku zjeżdżam. Ale jak ktoś idzie, to szybko wstaję, bo wstyd.

Tyle że gdy uda jej się na ten wózek wsiąść i otworzyć drzwi wejściowe, to zostaje do pokonania jeden jedyny schodek. Schodek tragedia. Kasprowy Wierch. Musi wołać przechodniów, by pomogli z niego zejść.

Sęk w tym, że pani Wanda prawie nie widzi, świat dla niej to głównie kolorowe plamy. Stoi tak w tych drzwiach wejściowych i gdy poczuje, że ktoś się zbliża, to woła. – Młody nie słyszy, leci dalej. Jeśli ktoś pomoże, to ten starszy – opowiada. – A tak w ogóle to na człowieka trzeba natrafić.

Ma telefon z kilkoma klawiszami. Olbrzymie kartki z ważnymi numerami telefonów, które czasem jest w stanie przeczytać. Zegar, co na głos wypowiada godzinę. Ma też czarne poczucie humoru: ,,Najpierw wózek, potem cmentarz". Ale: ,,Na razie, odpukać, nie jest źle".

Reportaż *Więźniowe czwartego piętra* z pierwszego numeru „Pisma" przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/wolkanowska-kolodziej-ewa**

eprasa.pl cab18af919

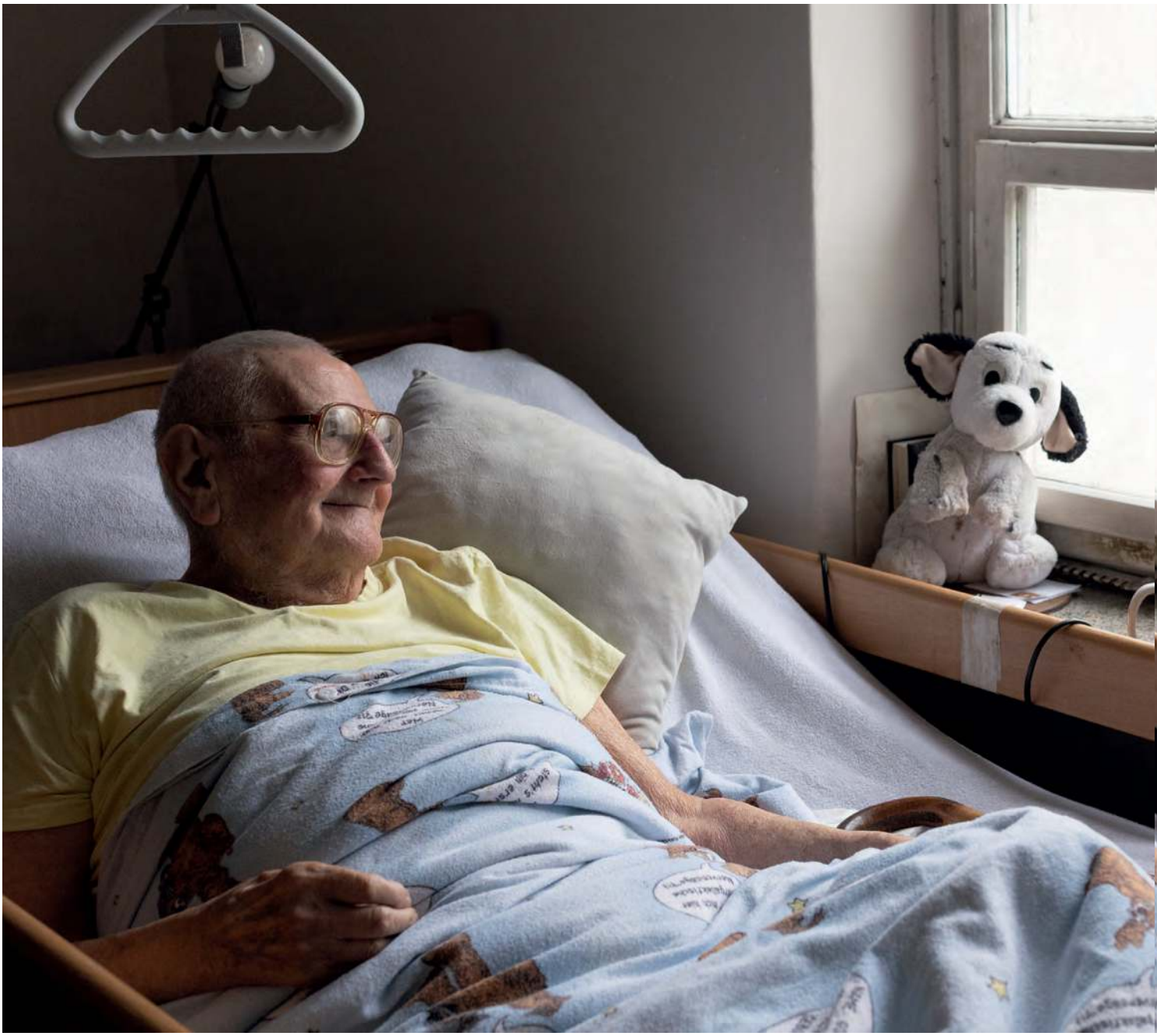

PAN JERZY. Ma 96 lat. Urodził się w Tarnowie i to tam „zbierał pierwsze dwóje". Kolejne dostawał już w Krakowie. Choć chyba przesadza, przecież w końcu został geologiem. Miał żonę, ale zmarła dawno temu. Dzieci nie miał nigdy. Nigdy też nie był za granicą. Żeglował, choć patentu nie zdobył. Jeździł na motorze – ponoć do dziś stoi w jakimś garażu. Pan Jerzy do czasu i wydarzeń podchodzi dosyć swobodnie: przeszłość, wspomnienia, teraźniejszość i historie zasłyszane splata niby w warkocz.

Okna ma drewniane i mało co przez nie widzi – ledwie kawałek pobliskiego bloku. To, co najważniejsze, ma jednak przed oczami: na korkowej tablicy naprzeciwko łóżka wiszą przypięte zdjęcia osób, które go odwiedzają i piją z nim herbatę (on sam wyłącznie gorącą). Są to głównie wolontariusze z Projektu a Paulo. To grupa młodych ludzi skupiona wokół duszpasterstwa akademickiego działającego na terenie krakowskiej dzielnicy Krowodrza. Od lat otaczają regularną opieką około 30 starszych, niesprawnych ludzi ze swojego sąsiedztwa. Jeśli trzeba – posprzątają mieszkanie, wymienią żarówki czy zrobią nieduży remont. Pieniądze na swoją działalność pozyskują z budżetu obywatelskiego. Przede wszystkim jednak pozostają w stałym kontakcie ze „swoim" seniorem.

Pan Jerzy nie pamięta, od ilu lat nie wychodzi. Rok temu dwóch wolontariuszy wyniosło go z mieszkania, wsadziło na wózek i zabrało na spacer po okolicy. Wspomina to jako „przygodę".

eprasa.pl cab18af919

Więcej na ten temat posłuchasz
w audycji *Plac na Rozdrożu*
w aplikacji **Radia 357**.

eprasa.pl cab18af919

PANI MAŁGORZATA. Drzwi otwiera i zamyka pilotem. W zasięgu ręki ma ekspres kapsułkowy, air fryer do podgrzewania jedzenia, wodę w dużej butelce, dzbanek z herbatą. Ma też opaskę na rękę z urządzeniem, które mierzy jej puls i ciśnienie, a w razie potrzeby łączy z centrum teleopieki i pozwala szybko wezwać pomoc – taką usługę poznańskim seniorom sponsoruje miasto.

Przed sobą pani Małgorzata ma telewizor, a nad nim zdjęcia: wnuczka (zdaje maturę), wnuk (studiuje we Wrocławiu), mama, córka, syn, synowa, tata i mama razem, piątka rodzeństwa.

Dwa razy dziennie przychodzi do niej opiekunka. Przyjeżdża też córka, syn wpada co dwa tygodnie, bo mieszka daleko. Pani Małgorzata lubi to przychodzenie świata zewnętrznego. Czasami jest ono spektakularne: w ramach realizowanego przez Centrum Kultury Zamek w Poznaniu projektu „Zamek Otwarty: Kulturalne Domówki" wzięła udział w warsztatach ceramicznych – w swoim łóżku. Były też zajęcia z aromaterapii. No i koncert Johanna Sebastiana Bacha i Fryderyka Chopina, gdzie muzyczka grała tylko dla niej, a na koniec zaśpiewała pani Małgorzacie kolędy.

Pięć lat temu ustaliła z dziećmi, że kupi mieszkanie w nowoczesnym budynku z ogródkiem, do którego można wyjść bezpośrednio z salonu. Z bliskości chodnika, trawy i ulicy korzystała niedługo, bo nogi zupełnie przestały pełnić swoją funkcję, stały się bezwładne. Teraz „oprócz głowy nic nie funkcjonuje". Żalu o to nie ma do nikogo, z Panem Bogiem włącznie. Nie doświadczyła też w życiu depresji. Mówi, że to sprawka genów.

Przez lata była pilotką wycieczek po Europie i nadal jest ciekawa świata. Przez szparę w firankach obserwuje rośliny w ogródku. Sposobów pielęgnacji kwiatów doniczkowych, które ma obok łóżka, uczy się z internetu. Grudnik na przykład podlewa wodą, w której moczyła wcześniej skórkę banana. Nazwa tej rośliny nawiązuje do tego, że kwitnie zazwyczaj w okolicach grudnia. U pani Małgorzaty – od października aż do teraz.

eprasa.pl cab18af919

PANI MARIA. Dla siebie to zrobiłam – opowiada pani Maria. Wyprowadziła się z poznańskiej kamienicy, w której mieszkała 82 lata. Decyzję podjęła, gdy jeszcze mogła chodzić. Weszła kiedyś z zakupami na swoje trzecie piętro, rozpłakała się i wiedziała, że nadszedł czas na przeprowadzkę.

Mniejsze mieszkanie, ale w bloku z windą. Ta zatrzymuje się za wysoko od posadzki, ale zawsze coś – z ludzką pomocą jakoś się można wygramolić. Bała się zaprzyjaźnić z balkonikiem. Okazało się, że jest wygodny.

Ważnym słowem w jej życiu jest „plecaczek". Z czwórką przyjaciół przejechała kiedyś Indie, Chiny, Malezję i Turcję – właśnie z plecaczkiem. Jak najtaniej, jak najbliżej ludzi, jak najdalej od stereotypów. I teraz by pojechała, wziąwszy plecaczek, ale już się nie da. Obawia się, że z walizką, w wybranym przez biuro podróży hotelu poczułaby jedynie rozczarowanie.

Ma 84 lata. Chce, by mówić jej po imieniu. Dużo i zaraźliwie się śmieje. Ma bliskich sercu ludzi. O swojej obecnej kondycji mówi ze śmiechem: „Teraz to wszystko dupa" i uważa, że może pozwolić sobie na to słowo, bo w nim wszystko się mieści.

eprasa.pl cab18af919

eprasa.pl cab18af919

PANI TERESA. Jest niczym Feniks – zaprzecza pogłosce, którą straszą siebie wszyscy seniorzy jak Polska długa i szeroka: „Gdy człowiek raz się położy, to już nie wstanie". Pani Teresa ma moc odradzania się z popiołów. Pada, trafia do szpitala, potem miesiącami leży w łóżku. Podnosi się i zaczyna chodzić.

Znowu upada i znów szpital. Leży miesiącami. Wstaje. Chodzi. Co pół roku wpada fryzjerka, by jej zrobić trwałą.

Parę lat temu zamieszkała z nią córka Krystyna. Włącza swojej mamie w komputerze widok z miejskich kamer, żeby sobie na Gdynię popatrzyła. Może w ten sposób zajrzeć na plażę, do bocianiego gniazda, obserwować morze. Nie wychodzi z domu już dziewiąty rok (nie licząc niekończących się pobytów w szpitalach). Kiedy rodzina upiera się, że zniesie ją na spacer, pani Teresa odmawia, mówiąc: „Mam balkon".

Ona już się w życiu nachodziła i teraz odpoczywa. Urodziła się w 1935 roku jako dziecko panny. – Mama mnie kochała, nie skrzywdziła – podkreśla. Innymi słowy, pozwoliła jej przyjść na świat, który nie był łaskawy ani dla samotnych matek, ani dla ich córek.

eprasa.pl cab18af919

Mirosława Ikonowicza, legendarnego korespondenta

tekst MIROSŁAW WLEKŁY

DOSTAŁ MACZETĘ od Che Guevary. Leczył go Salvador Allende. Towarzyszył Janowi Pawłowi II. Oto życie, którym można by było obdarzyć kilka osób – i żadna nie narzekałaby na nudę.

Na początku września 2025 roku, dwa miesiące przed swoimi 94. urodzinami, wyrywał się na drugi koniec Polski, do Boruszyna leżącego 60 kilometrów od Poznania. Miał być gościem specjalnym Pleneru Podróżniczego im. Kazimierza Nowaka i inauguracji projektu „Dzienniki Rowerowe", reporterskiej sztafety przez jego ukochaną Amerykę Południową. Szczegóły ustalaliśmy tuż po jego nocnym dyżurze w Polskiej Agencji Prasowej (PAP pracuje całodobowo, zbierając informacje z kraju i zagranicy), gdy raportował o procesie byłego brazylijskiego prezydenta Jaira Bolsonaro, wyborach trwających w Boliwii i tych zbliżających się w Chile. Opowiadał mi o tym wszystkim z niegasnącą od dziesięcioleci ekscytacją. Chciał jechać sam, bo uwielbia prowadzić samochód. Potem miał zawieźć go syn, ale ostatecznie wyjazdu zabronił lekarz – z powodu przeziębienia i osłabienia dziennikarza po niedawno przebytym covidzie.

Znaleźliśmy na to sposób: z Boruszyna połączyliśmy się z jego domem, ja zadawałem pytania, a on tak malował przed nami opowieści z Ameryki Łacińskiej, że można było poczuć, jakbyśmy tam z nim byli. Nikt z obecnych nie dawał wiary, że słucha rekordzisty w fachu dziennikarza: czynnego zawodowo od 78 lat (z czego 72 lata w PAP-ie) korespondenta zagranicznego na Kubie, w Brazylii, Hiszpanii, Gruzji i Watykanie, świadka sześciu rewolucji.

Kilka miesięcy później odwiedziłem go ponownie, tuż po moim powrocie z Brazylii, gdzie na własne oczy oglądałem rozruchy po najkrwawszej operacji policyjnej w historii Rio de Janeiro. Po ataku nad ranem na bazy gangu Czerwone Komando w fawelach Complexo do Alemão i Penha zginęły 122 osoby. Oczywiście opisywał te zdarzenia dla agencji. – Bywałem w tych fawelach, zawsze w towarzystwie miejscowego księdza, zakonnika. W takich miejscach był największym gwarantem bezpieczeństwa – zaczyna kolejną opowieść. Bo Mirosław Ikonowicz ma w zanadrzu takie historie z wielu zakątków świata.

Wysoki, postawny, z błyskiem w oku. Głos, choć stłumiony dawną chorobą, ma pełen entuzjazmu. W pogoni za wydarzeniami i opisywaniem świata nie uznaje przystanków.

PIERWSZĄ OSOBĄ spoza Europy, którą poznaje, jest właściciel wileńskiej cukierni Pan, emigrant z Syrii, choć bardziej od pochodzenia cukiernika małego Mirka interesuje wtedy smak bozy, białego, słodko-kwaśnego napoju, w którym specjalizuje się lokal.

Jest chorowitym dzieckiem, we francuskim przedszkolu łapie gruźlicę gardła, pół roku spędza w sanatorium w Rabce-Zdroju.

Pewnego wieczora poznaje słowo „eksmisja". Na placyk pod domem Ikonowiczów podjeżdżają wtedy ciągnięte przez konie trzy furgony. Wyniesione z nich meble ustawiono na trawie. Pośród nich rozsiada się bezradnie zabiedzona rodzina. Matka Halina musi tłumaczyć synowi, co dzieje się z ludźmi, których nie stać na mieszkanie. – Bardzo byłem tym poruszony – opowiada mi wiele dziesięcioleci później. – Chłopcy z tej rodziny byli moimi podwórkowymi kolegami. Był to jeden z wczesnych impulsów, który wpłynął potem na moje lewicowe przekonania.

Tak różne od posiadanych przez jego ojca Jana, radcy prawnego w wileńskiej dyrekcji PKP, który nigdy nie uwierzył w socjalizm,

eprasa.pl cab18af919

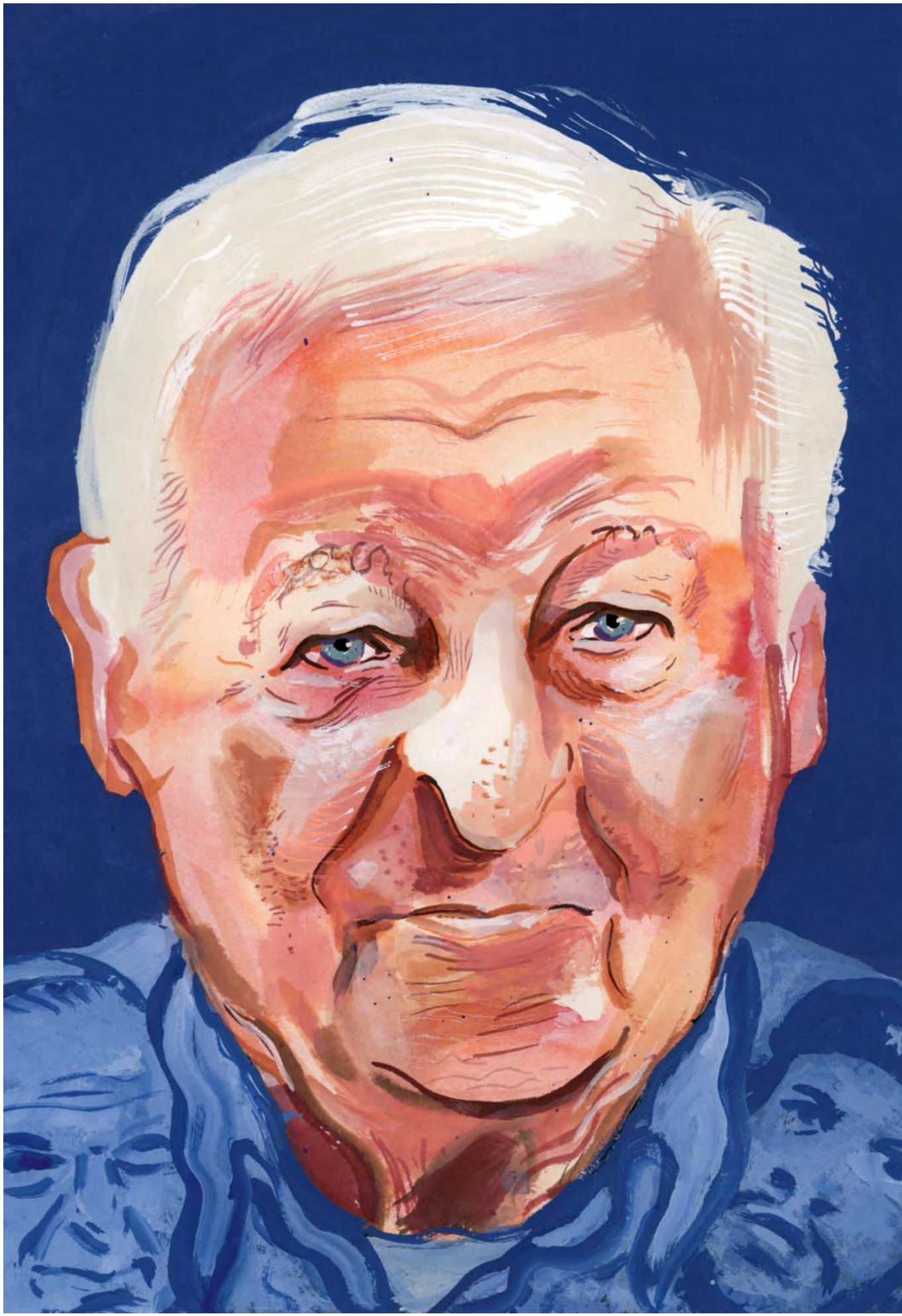

rysunki ARTUR BLUSIEWICZ

eprasa.pl cab18af919

MIROSŁAW WLEKŁY, reporter, pisarz, scenarzysta. Autor książek, m.in. *Tu byłem. Tony Halik* i *Nie nasz papież. Pontyfikat Jana Pawła II na świecie*. Współautor (wraz z Katarzyną Szyngierą i Marcinem Napiórkowskim) dokumentalnych spektakli, w tym *1989*. Autor pierwszego sezonu Śledztwa Pisma oraz audioserialu *Spiskowa teoria wszystkiego*.

choć wtedy pomógł tamtej rodzinie znaleźć zastępcze lokum. – Niezależnie od poglądów był człowiekiem odważnym i prawym – uważa dziś Ikonowicz.

Wakacje Jan i Halina spędzają z dziećmi (mają jeszcze młodszą córkę, Marysię) w Tatrach. Po skończeniu pierwszej klasy w jezuickiej podstawówce Mirek jedzie tam na całe lato 1939 roku. Mama zabiera go na Gubałówkę. Wrzucają monetę do lunety, oglądają szczyty. Chłopcu dwukrotnie udaje się dostrzec wspinającego się w oddali ojca. Raz pod krzyżem na Giewoncie, drugi – opuszczającego się po linie ze Świnicy (umówili się wcześniej, gdzie i kiedy go wypatrywać). Za trzecim razem widzi po słowackiej stronie mundury w kolorze *feldgrau*. To niemieccy żołnierze grupujący się przed inwazją na Polskę.

Wracając z wakacji, rodzina wsiada do półsalonki, która należała się ojcu jako wysoko postawionemu pracownikowi kolei. Na dworcu w Warszawie zadowolony ośmioletni Mirek wcina parówki i lody, w przedziale rodzice otulają go wełnianym kocykiem, dalej wszyscy jadą luxtorpedą – cztery godziny i 20 minut. Pierwszego września dojeżdżają do Wilna.

„Tam na peronach zobaczyliśmy zapłakane kobiety żegnające poborowych powołanych do wojska" – opowiadał mi Ikonowicz osiem lat temu, w wywiadzie opublikowanym w „Dużym Formacie". Od tego czasu regularnie się z nim spotykałem, zbierając materiały do tego portretu.

—

OD DZIECKA ciągnie go do prasy. Zaczytuje się w „Walusiu", przedwojennym piśmie dla dzieci. Wącha gazety i książki, w brzuchu czuje wtedy miły skurcz. W czasie niemieckiej okupacji kupuje tygodnik Wehrmachtu „Signal". W domu czytają i interpretują komunikaty. „Rosjanie się cofają"? Czyli posuwają się do przodu.

Na początku wojny odwiedza z rodzicami krewnych w Kownie. Kiedy mijają tablicę z napisem „Kaunas", uderza go myśl: „To moja pierwsza podróż za granicę!". „To chyba wtedy powziąłem postanowienie, że wybiorę sobie taki zawód, abym mógł w życiu dużo podróżować" – napisze w autobiograficznej książce *Pohulanka*.

– Prawdziwym wędrowcem zostałem jednak nieco później, kiedy mój ojciec musiał uciekać do lasu – opowiada.

Jan Ikonowicz, który w czasie wojny został oficerem Armii Krajowej, ukrywa się z partyzantką po nieudanej akcji na hurtownię zaopatrującą Wehrmacht wiosną 1943 roku. Odtąd 12-letni Mirek, pomagając mamie i siostrze przetrwać wojnę, przemierza Puszczę Rudnicką rozciągającą się na południowy zachód od Wilna. Najpierw sprzedaje wzięte z domu motki bawełny. Za zarobione pieniądze kupuje kolejne towary. Z miasta bierze części do maszyn rolniczych, na wsiach wymienia je na sadło, które sprzedaje na wileńskim targu. W drodze jest po trzy, cztery dni, śpi po wioskach. Raz w mieście ucieka Wehrmachtowi, kiedy zatrzymują go za nielegalny handel biletami do kina.

Po wojnie będzie biegać dla sportu, zostanie szkolnym mistrzem Pomorza Zachodniego na 1500 metrów. W wieku 94 lat powie mi, że taki tryb życia w młodości rzutował na dobrą formę przez całe życie.

W lipcu 1944 roku Wilno atakuje Armia Czerwona. Z matką, siostrą i sąsiadami uciekają za miasto, na zboczu wzgórza wykopują ziemiankę, ukrywają się w niej przez dwa tygodnie. Na zmianę chodzą osiem kilometrów do studni po wodę. Kiedy idzie Mirek, nadlatują sztukasy. Słyszy modły ludzi, którzy ukryli się w stodole. Sam chowa się w zbożu, a bomba trafia w budynek. Odtąd do panicznego strachu, bardziej od bombardowań, doprowadzają go stłoczeni i głośno modlący się w ukryciu ludzie.

Najgorsze przeżycie wojenne: 13 lipca 1944 roku, dzień, w którym kapituluje niemiecka załoga Wilna. – Rosjanie łapali mężczyzn, choć miałem dopiero 13 lat, oddzielili mnie od matki, bo byłem rosły, wyższy od rówieśników. Każdy dostawał wiosło czy kij, żeby spychać z nurtem trupy.

Rzeką płyną ciała Niemców: zastrzelonych i tych, którzy próbowali uciekać, lecz pochłonęła ich woda. Sine lub czarne, spuchnięte jak nadmuchane gumowe lale, tak je zapamiętał Ikonowicz. – Niewyobrażalna była liczba tych ciał – zawiesza głos.

Pytam, czy w trakcie kariery dziennikarskiej widział gorsze okropności. – Nie. Druga wojna światowa dobrze przygotowała mnie do roli korespondenta.

Twierdzi, że potem już się nie bał.

—

OJCIEC WYCHODZI Z LASU w lipcu 1944 roku. Pół roku później cała rodzina siada na lodowatej podłodze wagonu towarowego „Transportu rapatriacyjnego numer 17" wiozącego ich na Kujawy. Zamieszkują u dalekiego kuzyna w części jego pałacu w Świerczynie. Zjeżdżają się też inni krewni, między innymi Mikołaj Kozakiewicz, kolejny kuzyn ojca, późniejszy marszałek sejmu po wyborach w 1989 roku. W pałacu bywają też partyzanci konspiracyjnych Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ).

– Pistolet mi zaproponowali, później się okazało, że nienaładowany, ale to mi zaimponowało – przyzna Ikonowicz po latach. Bez wiedzy rodziców wstępuje do NSZ. Ma 14 lat i jest jednym z najmłodszych żołnierzy. Gdy Jan dowiaduje się o decyzji syna, roztropnie wysyła go do ciotki w Sieradzu. Dowódca jego oddziału po aresztowaniu przez władze i pokazowym procesie zostaje krótko potem rozstrzelany.

Po roku Ikonowiczowie przeprowadzają się do Słupska, do pięciopokojowego mieszkania Wolfanga Lesera, dowódcy U-Boota zatopionego w 1943 roku na Atlantyku. Dzielą je z jego żoną i dziećmi, dopóki ci nie zostali wysiedleni. – Z pół roku razem mieszkaliśmy, nie było rozmów o wojnie – wspomina. – Moja mama dobrze dogadywała się z wdową po niemieckim dowódcy, a ja próbowałem pocałować jego córkę, za co mnie spoliczkowała.

Wyjeżdżając, młoda Niemka zostawia mu srebrną łyżeczkę z napisem „Ingrid, 27.9.1931".

W Słupsku Jan Ikonowicz zostaje prezesem sądu. Aby przedwojenny urzędnik wysokiego szczebla mógł objąć taką posadę w Polsce Ludowej, musiała zadziałać protekcja – w tym przypadku znajomy z Wilna, mający dojście do ministra sprawiedliwości Henryka Świątkowskiego.

Halina od dziecka marzyła o własnej cukierni. Otwiera ją w Słupsku. Dwupiętrowa „Pionierka" przy ulicy Dworcowej była przestronna, świetnie zaopatrzona i ekskluzywna jak na tamte czasy i możliwości.

eprasa.pl cab18af919

Kuzyn Haliny, kapitan żeglugi morskiej, ma znajomości, więc do „Pionierki" kawa trafia prosto z krajów arabskich, chałwa z Turcji, a przyprawy – z Bliskiego Wschodu. Odkąd w 1949 roku wicepremier Hilary Minc wypowiada wojnę prywatnym inicjatywom, matka Mirosława wydaje większość zarobku na zapłatę domiaru, dodatkowego podatku nakładanego przez władze komunistyczne na prywatnych przedsiębiorców. Wreszcie „Pionierkę" musi zamknąć, domiar będzie spłacać latami.

W 1947 roku Mirek wraz z dwoma kolegami z liceum postanawiają zostać dziennikarzami. – Wypisaliśmy na kartkach tytuły 27 regionalnych dzienników, wrzuciliśmy je do kosza i każdy wylosował po dziewięć – przypomina sobie Mirosław Ikonowicz. – Zaproponowaliśmy tym redakcjom, że zostaniemy ich korespondentami z Pomorza Zachodniego. Wieku nie zdradzaliśmy. Prawie wszystkie się zgodziły.

Ikonowicz ma wtedy 16 lat i zarabia przynajmniej połowę pensji rodziców. Każdy dzień kończy z chłopakami na dworcu, wrzucając do wagonu pocztowego korespondencje. Marzą jednak o własnej gazecie. Piszą do wydawnictwa Czytelnik. Przyjeżdża sam prezes, chłopcy pokazują mu poniemiecką drukarnię, dostają dotację na „Kurier Słupski. Pismo repolonizacyjne Ziemi Słupskiej".

Dziennikarzy jest siedmiu. Najstarszy, Janusz Graczyk, już po szkole średniej, jedzie do portu w Szczecinie pisać o przemytnikach. Ginie zadźgany nożami. – Byliśmy prawdziwymi reporterami, to było rasowe dziennikarstwo – podkreśla Ikonowicz.

W grudniu 1948 roku telefon z Gdańska: „Co wyście są za organ?". Ikonowicz odpowiada, że są pismem repolonizacyjnym. Dwa miesiące później władza zamyka „Kuriera" i otwiera gazetę partyjną.

—

W 1950 ROKU rodzice kupują Ikonowiczowi garnitur i zegarek, po czym wysyłają do Warszawy. Ma znaleźć pracę i rozpocząć studia. Zdaje na historię na Uniwersytecie Warszawskim. „Wynik: bardzo dobry – mówi mu prorektor – ale cię nie przyjmujemy. Oszukaliście Polskę Ludową, ukryliście w ankiecie, że wasza matka to kapitalistka". Rodzice Mirka załatwiają mu u dawnych znajomych miejsce na historii w Toruniu, gdzie trafiła przedwojenna kadra Uniwersytetu Stefana Batorego z Wilna. Uczy się tam przez rok, nim udaje mu się przenieść do Warszawy.

Chodzi po stolicy i szuka zatrudnienia w dziennikarstwie. Wstępuje do baru na piwo, a obok siada dziennikarz Polskiego Radia, który zwalnia właśnie etat i zachęca młokosa, żeby się zgłosił. Mirek biega więc z mikrofonem po Warszawie i nagrywa relacje z jej odbudowy w ramach audycji *Korespondenci robotniczo-chłopscy donoszą*. O robotniczo-chłopskie pochodzenie nikt go nie pyta.

W radiu przy Myśliwieckiej poznaje realizatorkę dźwięku. Ma długie, jasne włosy, zielone oczy i Olga na imię. Są w tym samym wieku. Ona nie zwraca jednak uwagi na – jak sam przyzna – „przeraźliwie chudego 19-latka z wielkim nosem". Ale zaproszenie na lody przyjmuje. – To ona z ojca zrobiła człowieka lewicy. Ojciec miał charakter, ale pochodził z drobnomieszczaństwa, bliżej mu było sanacji – skomentuje po latach ich syn.

„Biuletyn Specjalny", dostępny tylko komunistycznym aparatczykom wyższego szczebla, miał obszerne i niecenzurowane teksty z adnotacją „Nie do przedruku w prasie".

– On był z bardzo katolickiego domu, zawsze głęboko wierzący i taki jest do dzisiaj – mówi z kolei córka. – A mama przeciwnie: zawsze była bardzo lewicowa. Uczyła go dyplomatycznych zachowań, bo był raptusem i cholerykiem, zawsze mówił to, co myślał. Przy niej nauczył się być w każdej sytuacji korekt.

Z Olgą Łucek Mirek pobiera się w 1952 roku, ma 21 lat. Rok później rodzi im się Magdalena, a po kolejnych trzech latach – Piotr.

W radiu weryfikują pracowników. Mirosław głos ma zachrypnięty, stłumiony (zostało mu to do dziś), bo zdarty w młodości gruźlicą gardła. Nie dostaje tak zwanej karty mikrofonowej i musi szukać nowej pracy. Z radia kierują go do Katedry Historii Powszechnej Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (KC PZPR). Pozbywają się go stamtąd – jak zapamięta – za „drobnomieszczański zwyczaj dyktowania tekstów maszynistce". Szef jest jednak na tyle wyrozumiały, że dzwoni do znajomego, kierownika działu zagranicznego Polskiej Agencji Prasowej. Michał Hofman zaprasza studenta, a wiedząc o jego poprzednim zatrudnieniu, przedstawia go zespołowi jako „towarzysza z KC". Nic nie daje tłumaczenie, że nie należy do partii. Jest na trzecim roku studiów, gdy dostaje angaż, który trwa do dziś.

Piotr Ikonowicz: – To matka go uczyniła dziennikarzem. Zmuszała do pisania, wręcz zamykała go w łazience, aż nie napisze, co musi. Bo ojciec nie miał talentu, który miała ona.

Wierszówkę co miesiąc osobiście wypłaca szefowa PAP-u, żona wicepremiera, Julia Minc. Ikonowicz część wypłaty pakuje do koperty i wysyła do Słupska. Halina pieniądze od syna przeznacza na spłatę domiaru, który nałożył na nią wicepremier Minc.

Na studiach Mirek poznaje o cztery miesiące młodszego Ryszarda, który na korytarzach uczelni recytuje koleżankom wiersze Majakowskiego. Olga chodziła z nim do stołecznego liceum Staszica i oboje pokpiwają z kresowej polszczyzny Mirka, imiesłowów i archaizmów, nadmiernie używanych „przeto" i „azaliż". – Swój swego od razu rozpozna – wspomina Ikonowicz. Ten z Wilna, tamten z Pińska. Z Kapuścińskim zwiążą go poza studiami: praca dla Polskiej Agencji Prasowej, wojny, wyjazdy i wydarzenia na świecie.

—

KIEDY IKONOWICZ kończy studia, nastaje gomułkowska odwilż 1956 roku; z więzienia wychodzą prymas Stefan Wyszyński i inni duchowni oraz więźniowie polityczni, PZPR częściowo liberalizuje politykę wewnętrzną. W Bułgarii tymczasem komunistyczny reżim nie odpuszcza. Dotychczasowa korespondentka Krystyna Zielińska za zbyt krytyczne podejście do bułgarskiego stalinizmu zostaje wydalona z Sofii i PAP

eprasa.pl cab18af919

szuka zmiennika. – Dla mnie była to duża szansa i pierwszy prawdziwy wyjazd za granicę – wspomina po latach Ikonowicz. Pytam go o znajomość języka. – W tym wieku człowiek uczył się mówić w dwa tygodnie – przyznaje. – Słowiańskiego w szczególności. Rosyjski i cyrylicę znałem od czasów wojny, co ułatwiało sprawę.

Syn Piotrek w momencie wyjazdu ma trzy miesiące. Zaczynając mówić, uczy się obu języków naraz. Kiedy nad kołyską pojawia się mama, szczebiocze po polsku; gdy opiekunka – po bułgarsku. Z dziećmi są utrapienia, mają dużo energii. Magda, pierworodna Ikonowiczów, dzisiaj Gessler, wspomina, że rodzice w końcu montują w oknie ich pokoju kratę, licząc, że samowolnie się z niego nie wydostaną. Razem z Piotrem wychodzą, odsuwając dębową szafę, przez zastawione nią drzwi.

– Bywał rygorystyczny – mówi o ojcu Magda – kiedy miał czas w ferworze swojej pracy przypomnieć sobie o roli ojca. Jeszcze w Polsce zajmowali się mną dziadkowie. Ojciec kończył studia, które łączył z pracą, i praktycznie zaczęłam go lepiej poznawać dopiero w Sofii.

Przy wyjeździe szef działu zagranicznego PAP-u sugeruje debiutującemu korespondentowi zapisanie się do partii. – Ociągałem się, ale Hofman w tej sprawie dopytywał, wydzwaniał też ktoś z KC. W końcu wypełniłem polecenie w nadziei, że nie przyjmą mnie przez babcię obszarniczkę – tłumaczy Mirosław. Przyjęli.

– Traktuję to jako zło konieczne – ucina moje dalsze dopytywanie.

W Bułgarii skończy jednak jak jego poprzedniczka. W 1958 roku sofijscy studenci fetują odwilż w Polsce. Bułgarskie władze usuwają z uniwersytetu ponad 500 z nich. Wszyscy zostają oskarżeni o to samo: bycie „gomułkowcami", czyli o odchylenie rewizjonistyczne. Ikonowicz wysyła korespondencję do PAP-u. Doniesienia o studenckiej walce z reżimem publikuje „Biuletyn Specjalny", dostępny tylko komunistycznym aparatczykom wyższego szczebla, z zazwyczaj obszernymi i niecenzurowanymi tekstami opatrzonymi adnotacją „Nie do przedruku w prasie".

W dziale zagranicznym „Sztandaru Młodych" pracuje wówczas Ryszard Kapuściński. Może przez nieporozumienie, a może umyślnie publikuje zakazane doniesienia z Sofii. Dalej przedrukowuje je francuski „Le Monde". Kilka tygodni później Ikonowicz dostaje wezwanie do gabinetu bułgarskiego wiceministra spraw zagranicznych. Miłko Tarabanow złowieszczo zwraca się do niego per *gospodine* („panie"), nie *drugariu* („towarzyszu"). Zaprasza do środka, ale nie proponuje kawy, co w tamtych stronach świata zwiastuje kłopoty. Zadaje za to pytanie: „Czy jesteście korespondentem Polskiej Agencji Prasowej, «Sztandaru Młodych», czy też może «Le Monde»?". Ikonowicz za mimowolną współpracę z kapitalistyczną prasą musi Bułgarię opuścić. – A ja nie miałem zielonego pojęcia, że stałem się poczytnym korespondentem francuskiej prasy – mówi mi dziś.

Z Ryszardem Kapuścińskim zwiążą go: studia, praca dla PAP-u, wojny, wyjazdy i wydarzenia na świecie.

Przed wyjazdem dostaje polecenie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych (MSZ), by jeszcze obsłużyć wizytę w Sofii Władysława Gomułki i premiera Józefa Cyrankiewicza.

– Zdążyłem podczas wolnego dnia zagrać w brydża z Cyrankiewiczem, bo brakowało mu partnera. Co zaskutkowało po powrocie do kraju przydziałem mieszkania.

– Czy to było etyczne? – pytam.

– Żona, dwoje dzieci, nie mieliśmy gdzie mieszkać – odpowiada Ikonowicz. – Poza tym nie spodziewałem się, że niepozorna gra w karty może tu zadziałać.

Po powrocie do Warszawy przez pięć lat pracuje w redakcji PAP-u. Zostaje kierownikiem „Biuletynu Specjalnego". – Mieliśmy nieskrępowany dostęp do źródeł, jako jedyni w Polsce dziennikarze mogliśmy czytać doniesienia zachodnich agencji prasowych – podkreśla. – Publikowaliśmy dla partyjnych elit gołe, szczegółowe informacje, zagraniczne komentarze, właściwie zero propagandy. Ale zdarzało się, że na Bazarze Różyckiego „Biuletyn Specjalny" sprzedawano spod lady już następnego dnia. Rozochociliśmy się tam, korzystając ze swobody, i staraliśmy się coraz więcej przepchnąć.

„Fiasko wizyty Leonida Breżniewa w RFN" – takiego zdania w korespondencji już jednak władza nie toleruje. Samochód milicyjny zatrzymuje transport wydruków do radzieckiej ambasady. Nakład idzie na przemiał.

—

W 1963 roku w PAP-ie szukają kogoś z hiszpańskim. Ikonowicz uczciwie przyznaje, że uczył się sam, nie mówi biegle.

Alina Kurkus, jego późniejsza koleżanka z PAP-u, szefowa działu zagranicznego w latach 2003–2017 (z przerwą w latach 2013–2015, kiedy była wiceszefową), wreszcie bliska przyjaciółka: – Redakcja zagraniczna była wyjątkowo zgranym zespołem ludzi, przyjaciół, serdecznych wobec siebie i Mirek zawsze świetnie się w tym odnajdywał, był powszechnie lubiany. Wszyscy zarabiali niewiele, a największą nagrodą były wyjazdy zagraniczne. Ale też to, że w czasach „słusznie minionych" mieliśmy dostęp do wszystkich najważniejszych agencji światowych, czego nie mieli dziennikarze w innych redakcjach. Wystarczyło znać języki i można było mieć dostęp do informacji z całego świata. A Mirek jako korespondent sprawdzał się znakomicie, szybko nawiązywał kontakty, znał języki, a jeśli jakiegoś nie znał, błyskawicznie się go uczył. Potrafił wszędzie dotrzeć.

Do Kuby, na pierwszą pozaeuropejską placówkę, Ikonowicz jedzie w 1963 roku onieśmielony. Zmienia tam Leopolda Ungera, który obsługiwał ten kraj w czasie kryzysu rakietowego i amerykańskiej inwazji w Zatoce Świń, a jego korespondencje były cennym źródłem informacji nie tylko dla bloku wschodniego, ale i całego świata.

Mirosław ma szczęście. W pierwszych dniach pobytu poznaje ministra komunikacji, Enrique Oltuskiego, syna żydowskiego szewca z Kobrynia. Dzięki przyjaźni z krajanem Ikonowicz zyskuje dojście do Che Guevary, który sprawuje tekę ministra przemysłu. W dniu umówionego wywiadu siada naprzeciwko Che i próbuje zadać pytania. Wejścia do gabinetu nie strzeże sekretariat, więc każdy może bez problemu zajrzeć. Che przyjmuje kolejnych interesantów i, zamiast odpowiadać dziennikarzowi, wypala: „Miro, a może pojedziesz ze mną w niedzielę na zafrę? – Nieoczekiwanie

eprasa.pl cab18af919

więc proponuje mu wspólną pracę przy żniwach. – Będziemy z całym ministerstwem w czynie społecznym ścinać trzcinę. Popracujemy i pogadamy”.

W niedzielę w prowincji Pinar del Río Ikonowicz dostaje maczetę. Z początku nie dorównuje Guevarze. Ale szybko nabiera wprawy, wyprzedza swojego rozmówcę, a ten zaczyna znikać w gąszczu trzciny. Z niebieskim aparacikiem, z którego coś wstrzykuje sobie do ust. – Ja wtedy nie miałem pojęcia, że on choruje na astmę – przyznaje Ikonowicz.

W czynie społecznym towarzyszy im też polski ambasador na Kubie. Po pracy pyta Guevarę, czy na pamiątkę nie podarowałby mu swojej maczety i rękawic. Che, człowiek prostolinijny, wypala prosto z mostu: „Pan, panie ambasadorze, przez cały czas się obijał. Naprawdę pracował *compañero* Ikonowicz. Jeśli przyjmie ode mnie maczetę i rękawicę, to proszę bardzo”. – Wiedziałem, że w ambasadzie narażam się na ostracyzm, ale przyjąłem upominek – opowiada mi Ikonowicz w swoim warszawskim mieszkaniu, pokazując mi tę maczetę.

Po zafrze w spokoju siadają na polu, kończą rozmowę. – Bardzo duży był to wywiad, który nigdzie się nie ukazał – mówi. – Tam był taki passus, który opowiadał o wizycie Che i Fidela w Moskwie. Po rozmowach dyplomatycznych zdecydowali się poza oficjalnym protokołem na spacer po mieście. Idą z Kremla przez Plac Czerwony, ulicą Gorkiego, dalej w górę. Wstąpili do lokalu po drodze, napili się szampana. Kiedy przyszło do płacenia, nikt z towarzyszących im członków radzieckiego biura politycznego nie miał przy sobie rubli. Sprawę uratował szef ochrony, który zapłacił rachunek. „Oni żyją w prawdziwym komunizmie, nawet pieniędzy już nie potrzebują” – miał skomentować Che Guevara.

Ikonowicz maluje go we wspomnieniach jako fascynującą postać, za to kompletnie pozbawioną zmysłu praktycznego. Szefa resortów przemysłu i finansów, na których kompletnie się nie znał. Idealistę, fantastę i utopistę, który całkowicie odrzucał dobra materialne. Ikonowicz wspomina na przykład wspólne czekanie w długiej kolejce do alergologa z Aleidą March, żoną Guevary, i ich dziećmi. – Czekali jak wszyscy. Che nie darowałby jej, gdyby tej kolejki próbowała uniknąć.

Jak dorastanie na Kubie wspominają Magda i Piotr?

– Kraj był świeżo po rewolucji, pełen kolorów, muzyki, miłości i pięknych ludzi. Jeszcze trwał w poamerykańskim luksusie. Takiego tropikalnego piękna i smaku nie widziałam już nigdzie potem, a namiastkę tego spotkałam tylko w kolumbijskiej Cartagenie – mówi Magda. – Od wczesnej młodości czułam, że urodziłam się i dorastałam w wyjątkowej rodzinie i miejscach. Mieliśmy dostęp do świata, do nietuzinkowych gości, którzy nas odwiedzali, do smaków i miejsc. Nie znam ludzi, którzy żyją tak intensywnie i pięknie, jak robili to moi rodzice.

– Ojciec a to pojawiał się nagle i zabierał nas do kina samochodowego z porządną wyżerką, a to wpadał i zabierał na basen do Soroa – wspomina Piotr, brat Magdy. – Zawsze spadał z nieba i coś niesamowitego wymyślał. Ale zawsze to było wieczorami, a nawet nocami. Ojca widywałem z rzadka, bo był fanatycznym pracoholikiem.

Mirosław twierdzi, że syn od najmłodszych lat wyrastał na polityczne zwierzę. Zaczęło się właśnie na Kubie. Miał tam sporo kolegów, ale najlepszym przyjacielem był leciwy czarnoskóry śmieciarz. Piotrek wchodził na murek, z murku na konia, znikali

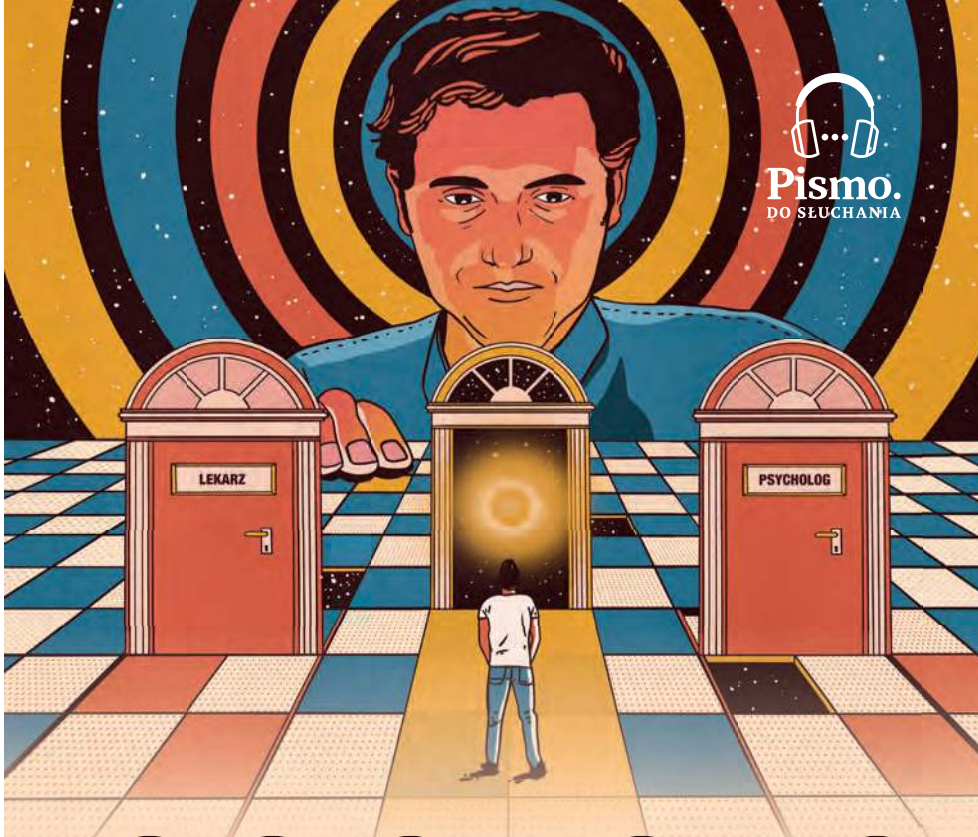

PSYCHOWASH!NG

Jak się nie nabrać na psychościemę?
Posłuchaj audioserialu.

PRODUCENT:
Pismo.
PARTNER DYSTRYBUCYJNY:
RADIO 357

eprasa.pl cab18af919

razem na całe godziny, odwiedzając ubogie dzielnice Hawany. Po roku w amerykańskiej szkole sam załatwił sobie przeniesienie do kubańskiej. – Bardzo się skubanizował – uważa dziś ojciec Piotra. – Przeszedł tam szkołę lewicowości, zauroczył się Ameryką Łacińską.

Fidel Castro, a może też Che bywają u Ikonowiczów.

– Ja widziałem nogi, drelichy *verde olivo* i kabury, a u góry brody. I to był mój zasięg postrzegania tych wizyt – przyznaje Piotr. – Na pewno bywał Fidel, nie do końca wierzę w legendę wizyt Che. Choć matka genialnie gotowała, więc lubili przychodzić różni ludzie.

Kiedy Piotr dorośnie, rodzice będą mu jednak opowiadać, jak Che sadzał go sobie na kolanach. – To wymyślanie świata od początku, ubarwianie wspomnień, odziedziczyła po ojcu moja siostra. Już nawet podobno mamy jakichś włoskich przodków, co według mnie wcale nie jest prawdą – mówi Piotr. Według rodzinnej legendy jego prababcia, Maria Elena Scipioni, mieszkała w małym miasteczku u stóp Wezuwiusza. Nie wszyscy krewni dają temu wiarę. Jednak po latach, gdy Mirosław Ikonowicz jako korespondent we Włoszech wstąpi po papierosy do trafiki w Neapolu, przy kasie zobaczy perfekcyjną sobowtórkę swojej matki. „Byłem tak wstrząśnięty, że zamiast zacząć rozmawiać, natychmiast stamtąd wyszedłem" – powie we wspomnianym już wywiadzie dla „Dużego Formatu".

– Ja bywałem u Che, nas odwiedzał tylko Fidel. – Ostatecznie rozstrzyga wątpliwości Mirosław Ikonowicz. I potwierdza, że na pewno brał na kolana Magdę.

– A ja odpalałam mu kolejne cygara – zapamiętała ona. – Mama potrafiła przekonywać i rozgrywać ludzi jedzeniem. Kuchnia była w naszym domu kluczowa. A dzięki gościom, którzy dali się jej zwabić, ojcu nigdy nie brakowało wiedzy o aktualnych wydarzeniach.

Owocem pobytu Ikonowicza na Kubie w latach 1963–1969 jest książka *Wyspa nadziei*. W polskim Komitecie Centralnym twierdzą, że obraźliwa dla Kuby, więc cenzura zmienia sens wypowiedzi Fidela. Castro po wkroczeniu do Hawany, podczas pierwszego przemówienia do tłumów, mówił: „*Compañeros*, będziemy jedli mało, ale będziemy jedli wszyscy". W druku ukazuje się natomiast: „Będziemy jedli masło, ale będziemy jedli wszyscy". Z książki wylatuje również strona z opowieścią Enrique Oltuskiego o jego pustej lodówce. Bo na Kubie członkowie rządu, tak jak pozostali mieszkańcy wyspy, robili zakupy na kartki. Tymczasem cenzor w Polsce grzmi: „Czy pan sugeruje, że skoro wysoki rangą polityk kierownictwa kubańskiego ma pustą lodówkę i wyjada z pańskiego zapasu, to – jeśli mamy w Polsce przejściowe problemy aprowizacyjne – towarzysz Gierek też powinien mieć pustą lodówkę?".

W 1972 roku Fidel Castro przyjeżdża z wizytą do bratniej Polski. Jakby na złość PZPR-owskim towarzyszom kierownictwo Polskiej Agencji Prasowej mianuje Ikonowicza szefem obsługi tych odwiedzin. Jeżdżą z Fidelem po kraju, w Katowicach w nocy grają w ping-ponga.

W dniu odlotu delegacji kubańskiej rząd dyplomatów stoi na lotnisku, gra orkiestra Ludowego Wojska Polskiego, a Fidel wywołuje Ikonowicza: „Miroslaw, *ven acá*!". Spacerują po płycie lotniska, a towarzysze z Biura Politycznego gromadzą się i pytają, co się stało. „To jest Miro Ikonowicz – tłumaczy Fidel. – Wydał najuczciwszą książkę o rewolucji kubańskiej, jaka się ukazała w obozie socjalistycznym".

—

BRAZYLIĄ RZĄDZI prawicowa junta wojskowa. Kiedy w drugiej połowie lat 60., a więc podczas pobytu Ikonowicza na placówce w Hawanie, PAP wysyła go do Brazylii, przezornie prosi w ambasadzie, by nie wbijali mu wizy powrotnej na Kubę. Wbijają, a on nie zdaje sobie z tego sprawy. Przylatuje do Rio de Janeiro, zatrzymuje się w hotelu przy plaży Leblon i wychodzi na spacer. Po powrocie zastaje pokój w nieładzie, rzeczy wyciągnięte z walizki, rozrzucone po pokoju. Ambasada proponuje dla bezpieczeństwa kwaterę w swojej siedzibie. Tego samego dnia Mirosław dostaje zaproszenie na przyjęcie. – I ja, frajer, jadę tam ochoczo i opowiadam z entuzjazmem młodym ludziom o rewolucji kubańskiej. O drugiej nad ranem zacząłem umierać.

Ambasada wzywa lekarza, powojennego emigranta z Polski, który stwierdza u Ikonowicza silne zatrucie. Potem przez tydzień Mirosław dochodzi do siebie. – I to był pierwszy z pięciu zamachów na moje życie w rządzonej przez juntę wojskową Brazylii. Piekielne szczęście, że wszystkie przeżyłem.

Piotr: – Na Kubie nocami pracował, w dzień zasypiał na słońcu, potem rozgrzany wskakiwał do basenu. Już nic głupszego nie mógł robić. Potem się przez to pochorował. A teraz jest ta legenda o pięciu

eprasa.pl cab18af919

zamachach na jego życie. Nie komentuję. Ale legenda jest ładna.

Ciągnę syna za język, a on mi tłumaczy, że zawsze w tych relacjach ojca, jak we wszystkich opowieściach awanturniczych, występują piękne kobiety, które potem okazują się agentkami. – Ja bym nie wymyślił takich opowieści kryminalnych, jakie on nam serwuje.

Dlaczego nie dawać im wiary? Piotr: – Część z tego z pewnością jest prawdą, ale trudno się dowiedzieć, jaka. Bo między strachem, przemęczeniem a faktem pozostaje cały ocean dla wyobraźni. A ojciec był wtedy wykończony nieustanną pracą. Miał skoki ciśnienia spowodowane wyczerpaniem. Kiedy wrócił do Polski, był tak wychudzony, że go nie było widać. Jak trafił do szpitala, to żegnał się z życiem.

Alina Kurkus: – Potwierdzić historii o zamachach nie jestem w stanie, znam je jedynie z barwnych opowieści Mirka.

Po zdarzeniach w Brazylii korespondent wraca przez Argentynę i Chile. W Santiago wystaje przed gabinetem Salvadora Allende, przyszłego prezydenta, wówczas przewodniczącego senatu. – Czekałem 10 godzin, aż wyjdzie i udzieli mi wywiadu. Ciągle wychodził jego sekretarz i mówił, że Chile jest bardzo długim krajem i do stolicy wszystkim jest daleko, dlatego tak długo trwa przyjmowanie kolejnych delegacji.

Ma zostawić wizytówkę. Allende się z nim skontaktuje. Ikonowicz wraca do swoich gospodarzy w Santiago, gdzie zwala go z nóg choroba. Kiedy drzemie, pod willę podjeżdża limuzyna z chilijskim proporcem. Wysiada niewysoki mężczyzna, w ręku ma kuferek jak przedwojenni polscy lekarze. „Gdzie jest ten pacjent?" – mówi w progu. To przewodniczący senatu, z wykształcenia doktor medycyny. Odprawił już delegacje, teraz może leczyć. – Tak się zaczęła moja znajomość z Salvadorem Allende – puentuje Ikonowicz.

—

OD 1969 ROKU znów pracuje w redakcji w Warszawie. W 1971 roku na trzy tygodnie wysyłają go do Hiszpanii, pierwszego kapitalistycznego kraju w jego życiu. Zbiera materiał do książki *Hiszpania bez kastanietów*. Wicepremier Eugeniusz Szyr, kombatant „Dąbrowszczaków", weteran wojny hiszpańskiej, wzburzony nazywa ją „panegirykiem na cześć Franco". Dwa lata później, mimo krytyki, PAP wysyła Ikonowicza na placówkę do Madrytu. W tamtejszym MSZ szef protokołu dyplomatycznego przegląda jego teczkę, karci spojrzeniem i mówi: „Może pan zapomnieć o akredytacji, napisał pan największy paszkwil na generała Franco, jaki się ukazał w obozie socjalistycznym".

Jest jednocześnie korespondentem z Portugalii i z Hiszpanii. Kiedy i jak nauczył się portugalskiego? Ikonowicz chwilę się zastanawia: – Gdzie się go nauczyłem? Języki szybko wchodziły mi do głowy. Kiedyś posługiwałem się jedenastoma, dziś dziesięcioma. Bo zapomniałem litewskiego. Chyba.

Nie znam ludzi, którzy żyją tak intensywnie i pięknie, jak robili to moi rodzice – mówi Magda Gessler, córka Mirosława Ikonowicza.

Po kolei: polski, francuski, rosyjski, białoruski, bułgarski, serbski, hiszpański, portugalski, angielski i włoski. – Aha – przypomina sobie – i jeszcze grecki.

Na placówce w Hiszpanii przypadkowo w tranzystorowym radiu nastawia Lizbonę, grają *Grandola vila morena* – pieśń o braterstwie i ludzie, który najlepiej sam potrafi się rządzić. Potem puszczają same marsze wojskowe. Żadnych wiadomości, zero słów. Dzwoni do konsulatu generalnego Portugalii w Madrycie. W tle znowu marsze. „Nie ma u nas żadnej rewolucji" – ucina konsul.

Pierwszego dnia rewolucji goździków w Portugalii, 25 kwietnia 1974 roku, jedzie tam jako jedyny dziennikarz zza żelaznej kurtyny. Wraz z Volkhartem Müllerem ze „Spiegla", swoim późniejszym zięciem, oraz Walterem Haubrichem z „Frankfurter Allgemeine Zeitung", później chrzestnym swojego wnuka. Towarzyszy im Piotr, dla którego to będzie najważniejsze męsko-dziennikarskie przeżycie z ojcem. Niemcy – przedstawiciele Zachodu – na granicy portugalskiej nie mają problemu z wjazdem. Agenci faszystowskiej policji politycznej PIDE (*Polícia Internacional e de Defesa do Estado*) nie chcą jednak wpuścić Ikonowicza z synem. Tamtego wieczora nadaje do Warszawy z hiszpańskiego Badajoz.

Nazajutrz znowu próbuje na granicy. – Po południu podjeżdżają wojskowe samochody, wysiadają mundurowi w komandoskich beretach, w klapach mają czerwone goździki, aresztują agentów PIDE, mnie pytają, jak wypisać wizę. Tłumaczę, wojskowy robi to odręcznie w moim paszporcie. Kwitnie portugalski kwiecień, najpiękniejszy tam miesiąc. Mknę do Lizbony sto dwadzieścia na godzinę jak uskrzydlony.

W tym czasie w stolicy Portugalii nie ma jeszcze wielu zagranicznych dziennikarzy. Ikonowicz jest jedynym z Polski. – Piękna rewolucja, bo ofiar właściwie tam nie było. Prawie bezkrwawa. Prawie, bo policja polityczna tak się wystraszyła, że zaczęła ostrzeliwać radujących się na ulicach Lizbony ludzi.

Ginie czterech cywilów.

– Poza tym nie sprawiało to w ogóle wrażenia rewolucji, czerwone goździki, dziewczyny rzucające się na szyje żołnierzy. To była rewolucja przeciwko wojnie. Rewolucja kapitanów, którzy dosyć już mieli prowadzenia krwawych walk w koloniach.

W Lizbonie z początku mieszka w pięciogwiazdkowym hotelu Altis, jednym z niewielu, który w mieście dysponuje teleksem dla gości, i tanim, bo zaraz po rewolucji nie ma w Portugalii turystów. To tutaj poznaje Felipe Gonzáleza, lidera ruchu antyfrankistowskiego, późniejszego premiera Hiszpanii. Ten udziela mu ekluzywnego wywiadu, choć do drzwi dobijają się przedstawiciele „New York Timesa" i innych amerykańskich gazet.

Na madryckiej placówce nie zna dnia ani godziny kolejnego zlecenia. Depesze z Warszawy brzmią na przykład: „Dostań się jakoś do Gwinei Bissau i napisz o uroczystościach ogłoszenia jej niepodległości jako pierwszej kolonii portugalskiej w Afryce. Odbędą się 10 września w stolicy. Liczymy na kilka korespondencji. Podaj, jak się z tobą łączyć w Bissau, powodzenia".

Rodzina mieszka w Madrycie, Ikonowicz kursuje średnio raz w miesiącu służbowym polskim fiatem do Lizbony.

– Moje dzieci też najwyraźniej mają cechy wędrowców – mówi mi. Niektórym trudno uwierzyć, że Magda Gessler i Piotr Ikonowicz (ikony: ona – polskiej gastronomii,

eprasa.pl cab18af919

on – polskiej lewicy) to rodzeństwo z tych samych rodziców. Jednak według Mirosława jego dzieci charakteryzuje podobna wrażliwość. Tylko każde z nich przejawia ją w inny sposób.

Magda skończyła Królewską Akademię Sztuk Pięknych św. Ferdynanda w Madrycie. – To był czas mojej największej bliskości z ojcem. Oboje czuliśmy się twórcami. W nocy malowałam, a o piątej rano spotykaliśmy się na kawie. On pisał artykuły, ja pokazywałam mu swoje prace. Był zafascynowany moim malarstwem, wyjątkowo je doceniał. Najpiękniejszy okres w moim życiu – wspomina Magda.

Dla Piotra najważniejszy – zdaniem jego ojca – okres jego życia wydarzył się wtedy, gdy do Madrytu nie pojechał, tylko został w szarym kraju. Najpierw, by wspierać socjalizm, a potem, by dołączyć do opozycji. „Ja tu jestem socjalistą, zostaję, nie będę dzieckiem placówkowym" – buntował się. Miał 17 lat, zamieszkał u babci.

Piotr Ikonowicz: – Czekała tam na mnie jazda konna, pięć języków, tenis – ale to nie było dla mnie. Rodzice obcięli mi kasę, licząc, że się nawrócę. Nie nawróciłem się, bo tu czułem wolność.

Kiedy Piotr odwiedza rodziców w Hiszpanii, jeździ na tajne spotkania komunistów. Ojciec ma zaufanie do syna. Wyjeżdżając na urlop, zostawia 19-latkowi obowiązki korespondenta. Piotr idzie więc rano do kubańskiego baru na *desayuno obrero* (śniadanie robotnika), wertuje prasę, nadaje korespondencję, pisze tekst do „Trybuny". Nikt nie wie, że to nie ten Ikonowicz.

—

„JEŚLI ZAAKCEPTUJEMY pojęcie wojen sprawiedliwych, to znalazłem się po dobrej stronie frontu" – pisze Mirosław Ikonowicz w książce *Angola Express*. Ma na myśli towarzyszenie na froncie wyzwoleńczemu Ludowemu Ruchowi Wyzwolenia Angoli (Movimento Popular de Libertação de Angola – MPLA), wspieranemu przez ZSRR i Kubę, który po wyzwoleniu kraju z portugalskiego kolonializmu w 1975 roku przekształcił się w partię polityczną.

– Piszemy obiektywnie, ale piszemy z przekonaniem. – Ikonowicz wyłuszcza mi swój dziennikarski dogmat.

Z Kapuścińskim umawiają się na zmiany: jeden zjeżdża do Europy, w Angoli zastępuje go drugi. Ikonowicz nieraz musi podejmować błyskawiczne decyzje. Jak wtedy, gdy najprawdopodobniej wzięty za sanitariusza, wsiada do helikoptera i trafia na front do Katangi, separatystycznej prowincji Demokratycznej Republiki Konga, gdzie nie ma prawa dostać się żaden dziennikarz.

W książce *Angola Express* wspomina: „Zdążyłem pomyśleć, że sprawy przyjmują zły obrót, gdy w tej samej sekundzie od północnej strony nadlatują z przeraźliwym wizgiem silników dwa odrzutowce i powietrze nad polaną pęka od wybuchów. Dwie eksplozje niemal jednocześnie wyrzucają w górę czerwono-czarne fontanny, jak w wojennym komiksie – przemknęła mi przez głowę niedorzeczna myśl. Gnany odruchem nabytym podczas wojennego dzieciństwa, biegnę kilkanaście kroków, a za mną Kubańczyk. Wskakujemy do świeżego, głębokiego leja wypełnionego kwaśnym, drapiącym w gardle swądem trotylu. Zasada: tam, gdzie spadła bomba, prawie na pewno nie spadnie po raz drugi".

Kapuściński śmieje się, że gdyby coś im się z Ikonowiczem stało, ich rodziny przynajmniej dostałyby duże odszkodowanie. „Nie byliście ubezpieczeni" – odpowiada ich szef.

W Angoli Mirosław omal nie umiera na cholerę, która przyplątała mu się, gdy zabrakło sprawdzonej żywności. Kiedy po przyjeździe obu korespondentów na Boże Narodzenie 1975 roku Michał Czarnecki, ówczesny szef działu zagranicznego PAP-u, wypytuje o wrażenia z Angoli, mówią, że tam niewesoło. Kapuściński śmieje się, że gdyby coś im się stało, ich rodziny przynajmniej dostałyby duże odszkodowanie. „Nie byliście ubezpieczeni" – odpowiada Czarnecki.

Czy w domu Ikonowiczów czuć było strach o ojca? – To bardzo dziwne, ale byliśmy do tego przyzwyczajeni – opowiada Magda. – Z zagrożenia zawsze zdawałam sobie sprawę. Rodzice przyzwyczaili nas do ekstremalnych sytuacji. A mama była genialną partnerką, żoną i matką, w ogóle mądrą kobietą i mogliśmy się z nią czuć bezpiecznie.

Piotr: – Dla mnie tata był takim nieśmiertelnym bohaterem. Jemu nie mogło nic się stać, bo tyle razy wychodził z opresji, że gdzieś musiał mieć zaklepane, że mu się uda. I ja się nie bałem o niego, po prostu wiedziałem, że wróci. Poza tym specjalnie nas nie straszył. Bagatelizował każdy wyjazd, z opowieściami kozakował dopiero, gdy wracał.

Na lotnisku wojskowym w Kabindzie Mirosław pojawia się spóźniony i omija go lot. Rosyjscy lotnicy zapraszają go pod skrzydła swojego AN-26. Na stoliku turystycznym półtoralitrowa butelka ukraińskiej wódki. Podają mu szklankę. „Najpierw wypij" – odpowiadają, gdy Ikonowicz pyta, jaka jest okazja. „Niech im ziemia lekką będzie" – mówią po wychyleniu pierwszej. Okazuje się, że załoga samolotu czekała na Ikonowicza kwadrans, w końcu odleciała. Wszyscy zginęli zaraz po starcie. Do katastrofy przyczyniły się zaniedbania przy ładowaniu pojazdu pancernego do samolotu. „Dwie były za poległych. Tak każe zwyczaj – mówią radzieccy po drugiej szklance. – Trzecia jest za ciebie, za to spóźnienie! Na szczęście!"

—

LATA 80. to czas opozycyjnej działalności syna Ikonowicza. Wojciech Jagielski, późniejszy korespondent wojenny, który w 1986 roku przyszedł do działu zagranicznego PAP-u na staż, wspomina: – Raz w tygodniu docierały do nas wieści o jego zatrzymaniach. Wymyślał spektakularne akcje.

Na przykład taką, jeszcze sprzed pojawienia się Jagielskiego w PAP-ie. Piotra władze zatrzymują w piątym dniu stanu wojennego, a ojciec, wówczas na placówce w Rzymie, musi się tłumaczyć. Piotr: – Wchodziłem z Edkiem Idzikowskim na komin huty. Ale na szczyt się nie wdrapałem, bo ten komin na wysokości się kołysał i w połowie zlazłem. Ale z tym samym Edkiem weszliśmy na budynek KC.

Z gzymsu jednego z okien pokazują transparent: „Uwolnić więźniów politycznych". Ludzie na dole biją brawo. Alina Kurkus: – W redakcji zagranicznej panowały

eprasa.pl cab18af919

dość liberalne stosunki, a w sytuacjach konfliktowych szefowie PAP-u zawsze byli po stronie dziennikarzy. Kiedy Piotrka zatrzymywali za działalność opozycyjną, wszyscy w redakcji przyjaźnie z tego żartowali. Nie przypominam sobie, by Mirek miał w związku z tym jakieś nieprzyjemności. Najwyżej ktoś go informował: „Patrz, twój ancymonek na KC wymachuje flagą", bo z redakcji mieliśmy widok na budynek KC.

Piotr twierdzi jednak, że jego działalność mogła się kłaść cieniem na karierze ojca. – A on nigdy nawet się nie zająknął, żebym odpuścił. Był dumny. Bo mój ojciec to bardzo porządny człowiek, mimo... No właśnie. Gdyby nie zapisał się do partii, byłby dziś zwykłym szarakiem, nie miałbym tak fascynującego życia, a ty nie miałbyś dziś z kim robić wywiadu. Oni wszyscy musieli, jak Kapuściński, być zakotwiczeni w tej władzy, żeby jej się wymknąć.

Bo Mirosław Ikonowicz, jak zauważa jego syn, to urodzony pod szczęśliwą gwiazdą pieszczoch systemu: – Szef PAP-u wysłał go na rekonesans do Madrytu, zalecił napisanie książki i obiecał, że jak będą wkrótce otwierać placówkę, będzie pierwszy na liście. No, stary, trudno powiedzieć, że to nie jest pieszczota. A to mieszkanie uzyskane podczas gry w brydża z Cyrankiewiczem w Sofii, kiedy powiedział mu, że nie ma dokąd wracać?

– A co sprawiało, że był takim pieszczochem?

– Po pierwsze, ma sporo wdzięku osobistego – wylicza Piotr Ikonowicz. – Po drugie, to taka kariera z czasów, kiedy brakowało pomordowanej w czasie wojny inteligencji. Przecież on został dziennikarzem, nie mając jeszcze matury. Poza tym gdy Hofman go przedstawiał załodze, to obwieścił, że to towarzysz z KC. I ojcu została taka maniera powoływania się na wpływy. Najpierw na towarzyszy z KC, potem na papieża i prawie został naczelnym katolikiem. Nie było w tym niecnych zamiarów, on był bardzo elastyczny i umiał się dostosować, bo chciał robić to, co kochał: być dziennikarzem.

– Jest konformistą?

– Konformizm kojarzy mi się z kimś słabym i lękliwym, a on był raczej bezczelny. Nigdy się politycznie nie ześwinił. Suchą nogą przechodził przez te grzęzawiska.

Pismo. MAGAZYN OPINII

ZACHĘTA

100 powodów by

czytać × oglądać × poczuć × zrozumieć

Barbara Kasten

POST ABSTRAKCJA

13.03–7.06.2026

Zachęta — Narodowa Galeria Sztuki
Plac Małachowskiego 3, Warszawa
zacheta.art.pl

eprasa.pl cab18af919

Bardziej igrał z systemem i go przechytrzał, niż system go sobie podporządkowywał. Wiedział, że wszyscy są tak zalęknieni, że czasem wystarczy trochę warknąć. Mam to zresztą po nim – stwierdza Piotr Ikonowicz.

Wstąpienie do partii w 1958 roku Mirosław Ikonowicz nazywa ceną, jaką płaciło się za zostanie zagranicznym korespondentem. – Można się zastanawiać, w jakim stopniu ta jego współpraca była formalnością, a w jakim była aktywnym działaniem – zauważa jego syn. – Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem, uszanowałem, że to jego historia, niczego by to nie zmieniło.

W 1973 roku, w związku z wyjazdem na placówkę do Madrytu, Służba Bezpieczeństwa (SB) składa Mirosławowi propozycję nie do odrzucenia. Jako kontakt operacyjny (pseudonim „Metrapaż") ma informować o sytuacji w Hiszpanii i Portugalii, a potem także we Włoszech. Trzynastego grudnia Ikonowicz podpisuje się pod zdaniem: „Zobowiązuję się do zachowania ścisłej tajemnicy faktu i treści współpracy z wywiadem PRL". Ustala się hasło do nawiązania z nim kontaktu w Madrycie: „Chciałbym panu przekazać pozdrowienia od don José" i odzew: „Dziękuję, widziałem go ostatnio w Barcelonie". Współpraca polega na informowaniu przez Ikonowicza o sytuacji na Półwyspie Iberyjskim i, jak się wydaje, nie różni się zbytnio od doniesień dziennikarskich.

– Nie miałem wyboru: albo się godzę, albo nie będę korespondentem zagranicznym – opowiada po latach. – W „Biuletynie Specjalnym" było znacznie więcej, niż na odczepnego wysyłałem im w ramach tego zobowiązania.

W 1975 roku Ikonowicz żali się kontaktowi w Madrycie, „iż nie chciałby, aby traktowano go jako człowieka do wszystkich poruczeń. Ponadto dawał do zrozumienia, że PAP ostrzega go, iż zbytnie związanie się z «Rakowiecką» [ulica w Warszawie, przy której mieściła się siedziba SB – przyp. red.] może się odbić negatywnie na jego karierze pisarza i dziennikarza". W kolejnym z raportów chwalą go za przekazywanie cennych informacji, szczególnie o porewolucyjnej Portugalii, jednak zaznaczają, że brak jest w tej współpracy rezultatów na polu rozpracowywania źródeł informacyjnych.

Zuzanna Dąbrowska, późniejsza szefowa działów politycznych polskich dzienników, publicystka radiowej Jedynki, wreszcie wicenaczelna PAP-u, działa wówczas w opozycji. We Wrocławiu jest kurierką działaczy opozycji demokratycznej Barbary Labudy i Władysława Frasyniuka, bierze udział w akcjach ulotkowych, publikuje w podziemnej prasie. Mirosława Ikonowicza poznaje, mając 21 lat, kiedy zachodzi w ciążę z jego synem. Jest schyłek lat 80., w komunistycznej Polsce ona nawet nie myśli o karierze dziennikarskiej, uważa, że wciąż jest na wojnie. Tym bardziej nie po drodze jej z przyszłym teściem, reżimowym dziennikarzem. Który – musi to przyznać – jednocześnie jest źródłem wiedzy o świecie, a ta była przecież wtedy w Polsce limitowana.

– Zetknięcie ze znanym korespondentem zagranicznym było zaskakujące. Ale dla mnie to był ojciec Piotra, a on był jeszcze bardziej zaangażowany w opozycję niż ja. Skoro Piotr szanował swoich rodziców, oznaczało to dla mnie, że nie są złymi ludźmi. Byli więc dla mnie rodzicami ukochanego i tyle. Poza tym ich tu wtedy nie było, akurat przebywali w Rzymie. Na akcję ulotkową pewnie bym się z nim nie umówiła, za to bardzo ciekawiły mnie opowieści o papieżu czy kulisy powstawania „Biuletynu Specjalnego". Mirek cieszył się zaufaniem Watykanu, to też miało znaczenie. I myślę, że gdyby było coś nie tak w jego życiorysie, nie byłoby go przy papieżu. Bo ostatecznie decydował o tym Watykan, nie państwo polskie.

„Metrapaż", mimo że bezpieka ma go za dyspozycyjnego, stara się unikać kontaktów z agentami. W listopadzie 1987 roku SB kończy z nim współpracę i kieruje akta do archiwum.

Dąbrowska: – Myślę, że Mirek ma w sobie jednocześnie zgodę na kompromis i ukierunkowanie na własną karierę, ale z drugiej strony nie przekracza granic przyzwoitości. Czyli: „Ok, mogę napisać do «Biuletynu Specjalnego», zapewne po powrocie zdam relację, gdzie byłem", ale żadnych historii o donoszeniu nie było.

—

MIROSŁAW IKONOWICZ właściwie się nie zastanawia, dlaczego – po takiej przeszłości, kontaktach z Fidelem Castro i Che Guevarą – nagle zostaje zaufanym korespondentem w Watykanie i między 1981 a 1994 rokiem jeździ z Janem Pawłem II na 23 pielgrzymki. Alina Kurkus podejrzewa, że mogło to wynikać z otwartości Ikonowicza: – Potrafi się świetnie dogadywać nie tylko z tymi, których ceni, ale także z ludźmi o innych poglądach. Jana Pawła II nie tylko bardzo cenił, ale też darzył wyraźną sympatią, a z kardynałem Stanisławem Dziwiszem miał bardzo dobre kontakty.

eprasa.pl cab18af919

W 1983 roku jedzie z papieżem w wielką podróż po Ameryce Środkowej i Karaibach. Odwiedzają Kostarykę, Nikaraguę, Panamę, Salwador, Gwatemalę, Honduras, Belize i Haiti. – Papież, będąc po stronie najuboższych, bał się wpływów marksizmu w kościele latynoamerykańskim. Zachowywał więc pewną rezerwę wobec tamtejszej lewicy, także w sferach kościelnych – broni Jana Pawła II Ikonowicz, choć nie od dziś wiadomo, że papież z Polski wykazywał się wyjątkowym niezrozumieniem problemów Ameryki Łacińskiej i niechęcią do teologii wyzwolenia. W stolicy Nikaragui odprawił najbardziej niespokojną mszę swojego pontyfikatu.

– Wzywano go, by solidaryzował się z tymi, którzy walczą z amerykańskimi najemnikami, by politycznie zaangażował się przeciwko interwencji [USA wspierały siły związane z odsuniętym od władzy prawicowym dyktatorem w walce z lewicowym rządem sandinistów – przyp. red.] – wspomina Ikonowicz. – W pierwszych rzędach siedziały matki i żony poległych. Chcieli zmusić papieża do zaangażowania, do zajęcia określonego stanowiska po jednej stronie.

„Cisza!" – wybucha Wojtyła. W depeszy Ikonowicz pisze o zajściach. Po powrocie do Watykanu podchodzi do niego Dziwisz. – Powiedział, że czytali wszystkie moje korespondencje i wszystkie im się podobały. A tej z Nikaragui nie przeczytali. Oczywiście przeczytali, tylko była im niewygodna.

—

CZY KIEDY go pani poznała, był już dla pani dziennikarskim emerytem? – pytam Dąbrowską. W 1994 roku, gdy Ikonowicz kończył pracę w Rzymie, można się było spodziewać, że to jego ostatnia placówka.

– On nigdy nie dawał się traktować jak emeryt, to nie ten typ. Dla mnie nie był postacią, którą trzeba odstawić na pomnik, tylko żywą, ciepłą osobą, z którą się fajnie gada, która ma swoje sprawy i na pewno bardzo długo się będzie nimi zajmowała.

W 2008 roku Ikonowicz jedzie na swoją ostatnią wojnę. W Tbilisi dziennikarze z całego świata stacjonują w hotelu Mariott przy Alei Rustawelego. „Siedzieli przy komputerach i hotelowych drinkach, czekali, aż wrócą z frontu ekipy telewizyjne, bo byli to jedyni, którzy musieli jechać na miejsce działań wojennych. Ta młodzież przeważnie nie jeździła. Na miejscu wydarzeń była tylko mała grupka starych korespondentów wojennych z kilku krajów, wśród nich Wojtek Jagielski" – opowiadał mi Ikonowicz w wywiadzie dla „Dużego Formatu".

Jagielski: – To w PAP-ie, przy ludziach takich jak Mirek, nauczyłem się, że najważniejsze w dziennikarstwie to widzieć na własne oczy to, co się opisuje.

I zachwyca się intuicją Ikonowicza. Kiedy wszyscy poszli na wiec Micheila Saakaszwilego, prezydenta Gruzji, i Lecha Kaczyńskiego; on, niemal osamotniony, wybrał się na konferencję, podczas której francuski prezydent Nicolas Sarkozy... ogłosił zakończenie wojny.

Nigdy się politycznie nie ześwinił. Suchą nogą przechodził przez te grzęzawiska. Bardziej igrał z systemem i go przechytrzał, niż system go sobie podporządkowywał – mówi syn dziennikarza, Piotr Ikonowicz.

Alina Kurkus: – Jest typem pracoholika, bez dziennikarstwa życia sobie nie wyobraża. Poza PAP-em życie dla niego nie istnieje. Zwykliśmy żartować, że „nie wierzy w życie pozapapowskie".

W redakcji krąży anegdota, że gdy Rosja w 2014 roku zaatakowała Krym, Ikonowicz zgłosił się do wyjazdu i nikt nie wiedział, w jaki sposób mu odmówić.

W grudniu 2025 roku Marta Fita, koleżanka z PAP-u, stwierdza: – Kto wie, czy tak nie było. Gdyby teraz Donald Trump zaatakował Wenezuelę, to Mirek od razu by się tam wyrywał. Jak ja przyszłam do redakcji, on już był w zaawansowanym wieku, a jednocześnie miał tę młodzieńczą fascynację i ciekawość świata. Taki niespotykany model.

Półtora miesiąca później, w styczniu 2026 roku, następuje amerykański atak na Caracas, więc sprawdzam, co zrobił Ikonowicz. – Nie, tym razem już nie pytałem. Nie przesadzajmy – śmieje się. – Czy ty w ogóle wiesz, ile mam lat?! – Chyba po raz pierwszy w trakcie naszych rozmów nawiązuje do swojego wieku.

—

W MAŁŻEŃSTWIE Ikonowiczów nie było miejsca na dwie kariery. Olga jechała na Kubę z umową na realizację filmów dokumentalnych. Za swój debiut, film *Vaca, vaca* (*Krowa, krowa*) o pasterstwie na wyspie, dostała nagrodę Telewizji Polskiej. – Ale była kolejnym przykładem kobiety, która poświęca się karierze męża – przyznaje ich syn. – Dzisiaj to brzmi strasznie, ale nie bądźmy ahistoryczni, wtedy to była norma. Mama była bardziej predystynowana do zrobienia kariery, bo miała wielki talent. Czego się nie tknęła, wszystko się udawało. Ale nie miała okazji wielu rzeczy tknąć. A ojciec trochę się sam oszukiwał. To była taka pusta czułość. Dzisiaj mnóstwo takich związków kończy się rozwodami.

– Musi pan napisać, że ojciec miał słabość do pięknych kobiet – mówi w pewnym momencie rozmowy Magda Gessler. – Inaczej nie pokaże pan o nim prawdy.

Piotr potwierdza, że jego ojciec nie był typem wiernego małżonka. – I matka w pewnym momencie zaczęła zostawać z tyłu, chorować, leki uspokajające, papierosy, których nie umiała rzucić – dodaje.

Pytam o to Mirosława Ikonowicza. Wychwala talent radiowy i filmowy zmarłej żony. – Potem już nie miała na to czasu – przyznaje. – Oczywiście zdawałem sobie sprawę, ile mi poświęca.

– Także zdrowie?

– Olga była słabego zdrowia. Jeszcze zanim się poznaliśmy, przeszła ciężką gruźlicę. Umarła na płuca. Ja paliłem trzy paczki dziennie, ale gdy skończyłem pięćdziesiątkę, przestałem. Ona paliła do końca.

Pytam też o romanse, kontakty z licznymi kobietami. – Podejdźmy do tego inaczej – odzywa się po chwili zadumy. – To mnie podrywały wszystkie te dziewczyny. A ja kochałem żonę. Zobacz, za tobą jedno jej zdjęcie, na ścianie drugie. Poza tym gdziekolwiek się człowiek pojawił, podstawiali mu agentki. Starałem się nie dać wkręcić.

Magda Gessler: – Po powrocie z placówki w Rzymie ich relacja zaczęła się sypać. Mama ciepiała na głęboką depresję. Nie potrafiła odnaleźć się na nowo w polskich realiach.

eprasa.pl cab18af919

Coraz bardziej załamywało ją, kiedy on znów się zakochiwał i znikał. W ich małżeństwie role było podzielone, po powrocie do Polski nie czuła się potrzebna. Była uzależniona od niego i jego decyzji, często bezradna, samotna w tym wszystkim. Całe życie poświęciła jemu. Tata mamę mocno uszkodził. Uważałam to za naganne, ale na takie sprawy nie ma ubezpieczenia.

Piotr Ikonowicz: – Tkwiła w tym domu i tylko robiła te pyszne obiady. Kiedy on cały czas żył, zasuwał, romansował. I w końcu udusiła się. Umarła na przewlekłą obturacyjną chorobę płuc.

—

IKONOWICZ SIEDZI na kanapie, łasi się do niego kotka Kasia, a on przymila się do niej. Kiedy z covidem trafił do szpitala, przez całe dnie leżała sztywna pod kanapą. Odżyła, gdy w szpitalu zaczęło mu się poprawiać, a po jego powrocie do domu wróciła do dawnej formy.

Kiedy odwiedzam go po raz kolejny, właśnie wysłał depeszę o przygotowaniach do wyborów w Chile w połowie grudnia 2025 roku. Na biurku włączona lampka. Obok zdjęcie stryja, księdza Mikołaja Ikonowicza, i stos notatek po hiszpańsku. Nad biurkiem: Matka Boska Częstochowska i zdjęcie roześmianej Olgi podczas urlopu w Zakopanem.

Magda Gessler: – Od młodości imponowało mi, jak ciężko pracował mój ojciec. Był człowiekiem, który bezwzględnie realizował swoją pasję. Jego praca była dla niego całym światem, ponad wszystko. A ja jestem jego nieodrodną córką.

Zuzanna Dąbrowska, obecnie szefowa Mirosława Ikonowicza: – Pracuje w nocy, żeby przygotowywać depesze z Ameryki Łacińskiej. W domu. Nie ma powodu, by wymagać od niego przychodzenia do redakcji w nocy, zresztą nie mamy tu takiego zwyczaju. I bywa, że Mirek się denerwuje, bo nocny edytor nie nadąża czytać jego depesz. Poza tym rano jest świetny *prime time*, by je wrzucić na stronę. Mirek potrafi pisać teksty od poważnej polityki po superciekawe ludzkie historie, więc nigdy nie brakuje mu tematów.

Znajomi opowiadają, że ma nadzwyczajne zdolności regeneracji – potrafi zasnąć nawet wjeżdżając na swoje siódme piętro w windzie.

– Robi coś dziwnego, bo ciągle żyje. I ciągle pracuje – zauważa z przymrużeniem oka jego syn, Piotr. – Dzwoni nieraz rano i opowiada z pasją, że przesiedział całą noc nad wydarzeniami w Meksyku czy Brazylii. Dyżuruje nocami, kiedy życie dzieje się w Ameryce Łacińskiej, i to jest jego przewaga, że rano ma dla agencji świeże informacje. Dzwonię do niego i za każdym razem w słuchawce odzywa się jakiś młody facet pełen wigoru.

Piotr przyznaje, że z ojcem zaprzyjaźnił się dopiero na jego starość. – Bo on całe życie gdzieś biegał i nigdy nie miał czasu. Kilkanaście lat temu, po śmierci mamy, zbliżyliśmy się do siebie i zbliżamy coraz bardziej. A teraz odwiedzam go kilka razy w tygodniu. I nie dlatego, że tak wypada, tylko bo strasznie lubię z nim gadać.

Zuzanna Dąbrowska: – Kiedy rozstałam się z Piotrem, Mirek powiedział mi, że może rozwodzę się z jego synem, ale rozwodu z teściem nie będzie i pozostanie nim dla mnie na zawsze. No i trwamy, obecnie w relacji szefowa i teść, która, jakkolwiek byłaby ona skomplikowana, jest bardzo fajna.

Dąbrowska przyznaje, że przekonanie Mirka o tym, jak wygląda PAP, na pewno już nie do końca jest aktualne. – Bo świat się zmienia, zmieniają się środki przekazu. Ale daje radę, wciąż pisze, cieszy się i entuzjazmuje, że coś z jego doniesień trafia na nasz pasek, zupełnie jakby wciąż miał 16 lat i pracował w gazecie w Słupsku.

Marta Fita: – W jego życiu wszystko jest ciekawe: od początku do teraz. Mnie się w ogóle w głowie nie mieści, ile on ma lat. Zdarzają mu się powtórzenia w tekstach, ale daj Boże zdrowie tak pisać w takim wieku. To człowiek nieustannie napędzany swoją ciekawością świata i pasją. To chyba jego przepis na długowieczność i niegasnące moce intelektualne.

Zapytany o ten przepis, mówi: – Wykonuję zawód, który lubię. Niechętnie wychodziłem z redakcji, niechętnie kończę dyżur. Nigdy nie popadaliśmy w rutynę. Wszystko cały czas się zmieniało: krajobraz, ludzie, sytuacje, miejsca. Nie można było utknąć w miejscu. Oczywiście dziennikarz może też pracować w redakcji. A myśmy ciągle byli w ruchu.

– Byłeś brawurowym czy zachowawczym korespondentem wojennym?

– Mającym dobrego Anioła Stróża – odpowiada niemal bez zastanowienia. I dodaje: – Powiedzenie „Obyś miał ciekawe życie" to podobno przekleństwo. Czy ja wiem?

Pismo.

Powody do radości

MAGDALENA KICIŃSKA z bieżących wydarzeń wybiera te, które przywracają wiarę w lepsze jutro.

Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/powody-do-radosci i zapisz się do newslettera.

eprasa.pl cab18af919

TO JEST O AKCEPTACJI
O TEJ METAFIZYCZNEJ WIĘZI Z KIMŚ KOGO POZNAŁEŚ MINUTĘ WCZEŚNIEJ
O TYM ŻE TRZYMA CIĘ W RAMIONACH KTOŚ KTO KOCHA CIĘ NAJBARDZIEJ NA ŚWIECIE
I KOGO TY TEŻ KOCHASZ

fragment adaptacji Jakuba Skrzywanka i Jana Czaplińskiego

REQUIEM DLA SNU

SELBY JR. × SKRZYWANEK × CZAPLIŃSKI × MASECKI

PREMIERA WARSZAWSKA:
17 KWIETNIA 2026

PREMIERA KRAKOWSKA:
25 KWIETNIA 2026

STUDIO teatrgaleria

instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

NARODOWY STARY TEATR

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl cab18af919

O miłości

tekst KATARZYNA KASIA

PIĘKNA JEST MYŚL o tym, że miłość jest jedna i jako taka nie musi być zarezerwowana dla jakiegoś konkretnego rodzaju relacji, na przykład właśnie związków romantycznych.

Podczas tamtej kolacji usiadłam obok Pino całkowitym przypadkiem. Starszy pan, przesympatyczny neapolitański profesor filozofii.

– Posłuchaj – powiedział. – Pewnego dnia szedłem sobie polną drogą i czytałem. Wiem, że to dziwne, ale uwielbiam czytać podczas chodzenia. Dopiero w rytm kroków opowieści nabierają właściwego tempa. Czuję je w ciele. Szedłem, czytając. I nagle coś wyrwało mnie z zaczytania, coś mi przerwało. Wiesz, poczułem taką emocję, że nie mogłem już dalej iść, zatrzymałem się.

Przerwał, oczy miał pełne łez, ja też nagle poczułam wielkie, całkowicie nieoczekiwane wzruszenie.

– Co się stało, Pino? Co cię zatrzymało?

– Zapach – westchnął. – Nagle stanąłem jak wryty, z wrażeniem, że doświadczam najczystszej prawdy. Poczułem zapach ziemi, po której szedłem. I zanim jeszcze zrozumiałem dlaczego, już płakałem, już na niej klęczałem, w głębi serca już wiedziałem: ta ziemia pachniała mną. Ta ziemia miała mój własny, najbardziej intymny zapach. Nigdy wcześniej nie poczułem się tak bardzo częścią świata, nigdy wcześniej tak mocno nie doznałem uczucia, że należę do jakiegoś miejsca, że jestem skądś.

Nie wiedziałam, czemu moje oczy nagle zrobiły się mokre. Patrzyłam na tego – jeszcze pięć minut wcześniej obcego – człowieka z bardzo głębokim wzruszeniem, wyobrażając sobie ten jego spacer i moment, w którym nagle ziemia zapachniała nim.

– Kiedy masz urodziny? – zapytałam.

– 31 stycznia – odpowiedział.

Tak jak ja.

Moment był kluczowy, ponieważ kilka miesięcy przed tamtym mistycznym doświadczeniem Pino, oficjalnie profesor Giuseppe Ferraro, przeżył poważny kryzys. Bo nagle, po wielu latach, zrozumiał, że filozofia jest całkowicie zbędna. Chociaż poświęcił jej kawał życia, mnóstwo zainteresowania i wiele emocji, tak naprawdę jest nieprzydatna. Komu i do czego mogłaby służyć filozofia? Czy nie jest wyłącznie spisem problemów i tęsknot pierwszego świata, który ma za dużo czasu i pieniędzy na to, by konfrontować się z rzeczywistością? Najpierw chciał więc filozofię porzucić. Potem pomyślał jednak, że warto dać jej ostatnią szansę. Zabrać ją ze sobą w podróż i przetestować w kontekście realnych problemów, wśród zwykłych ludzi. Tak trafił z wykładami do więzień włoskiego regionu Kampania.

I wiecie co? Filozofia się obroniła. Okazało się, że dalej może nieść wsparcie, że jest w stanie być pocieszeniem. Nawet tam, gdzie – mogłoby się wydawać – istnieją mocne podstawy do tego, by porzucić wszelką nadzieję. Więźniowie odnajdowali siebie w opowieściach o filozofach, dylematy moralne sprzed dwóch tysięcy lat były dla nich aktualne. Okazało się, że zdziwienie pozostaje czymś, co budzi człowieka do namysłu, a ten z kolei potrafi nadać sens życiu. Filozofia świetnie dała sobie radę. Ale, co najważniejsze: jasne stało się, że Pino mógł ją dalej kochać.

eprasa.pl cab18af919

rysunek JOANNA GROCHOCKA

eprasa.pl cab18af919

KATARZYNA KASIA, filozofka i publicystka. Wykładowczyni Wydziału Badań Artystycznych i Studiów Kuratorskich stołecznej Akademii Sztuk Pięknych. W Radiu Nowy Świat współprowadzi podcast *Poszukiwacze politycznego złota*, a w TVP program *Kwiatki polskie*. Autorka książek: *Rzemiosło formowania. Luigiego Pareysona estetyka formatywności* oraz *Doświadczenie estetyczne i wspólnota spektaklu*.

Filozofia jest tak naprawdę o miłości. W samej nazwie ma przecież właśnie „umiłowanie", „miłość mądrości". Niektórzy uważają, że zawarty jest w tym brak implikujący niemożliwe do zrealizowania dążenie. Ja myślę, że miłość oznacza o wiele więcej. Także konieczność poddawania – jak to robił Pino – swojego przedmiotu testom i torturom, sprawdzania go w praktyce, wychodzenia poza pojemne ramy. Miłość nie musi być łatwa. Kiedy byłam na studiach, mój ukochany profesor Marek Siemek zawsze nam powtarzał, że „kocha się wbrew, a nie za coś", bo miłość miała być w jego dialektycznej wersji filozofii oparta na dynamice przezwyciężania sprzeczności, a nie prostej, może nawet banalnej zgodności.

Przeczytałam ostatnio u Adama Phillipsa, że według Iris Murdoch filozofowie powinni mniej mówić o tym, czego się boją, a więcej o tym, co kochają. Myślę, że sporo w tym racji, zwłaszcza że przecież, jak wyżej napisałam: u początków filozofii leży kochanie właśnie. Może stąd się zresztą bierze potęga myśli starożytnej? Może to właśnie ona była najbliżej tego pierwotnego źródła? I to nie w znaczeniu heideggerowskim – bo dla Martina Heideggera punktem wyjścia była Prawda Bycia, do której myśliciele greccy mieli najbliższy, bo najbardziej bezpośredni dostęp – ale w samej swojej dynamice, która wpisywała się w porządek relacji o mocnym ładunku emocjonalnym. Miłość z całym swoim wewnętrznym napięciem, z porządkiem aproksymacji, ze wszystkim, co wynika z faktu, że się czegoś pragnie, dawała napęd, którego później aż w takim natężeniu trudno szukać. Chyba że u Friedricha Nietzschego, Henriego Bergsona, bell hooks. I wielu innych, no dobra. Może głównym problemem jest to, co uznamy za przedmiot miłości? Co będziemy kochać? Mądrość? Życie? A może, jak chcieli filozofowie chrześcijańscy, Boga, którego – według Świętego Augustyna – wystarczy kochać, żeby móc robić, co się chce. *Ama et fac, quod vis* – „kochaj i rób, co chcesz".

To bardzo miłe zdanie, które mogłoby się stać naczelną maksymą wszelkiego przyzwolenia, wyraża w gruncie rzeczy restrykcyjną zasadę – właśnie dlatego, że odnosi się do nadludzkiej Istoty, która wymaga od człowieka bezwarunkowej miłości i to na wyłączność. Przecież chodzi o to, że masz nie mieć nikogo ważniejszego, masz kochać i żyć zgodnie z tym, czego obiekt kochania od ciebie oczekuje. Nie masz prawa do samego siebie. Jeśli twoje działanie, jakiekolwiek by ono było, wymknie się z porządku całkowitego oddania, nieuchronnie wpadniesz w pułapkę grzechu. Na to wszystko dość ponurym cieniem kładzie się augustyńska doktryna łaski mówiąca, w dużym skrócie, że Bóg od początku świata wie, kto będzie zbawiony, a kto wręcz odwrotnie – strącony w otchłań potępienia. I ta miłość, ona właśnie, jest przejawem łaski. Albo może nawet więcej: jest jej całością, jej najpełniejszą ziemską manifestacją, darem od Boga dla tych, z którymi będzie ucztować w Wieczności. Jak ją masz, to znak, że należysz do Państwa Bożego. Jeśli ci jej natomiast brakuje, to pewnie i tak możesz sobie robić, co chcesz, bo nie z powodu uczynków Bóg zbawia, ale z wiary, z miłości – z łaski. I nikt nie jest w stanie sobie na to zapracować.

Kiedy myślę o tych różnych życiowych konstelacjach, to sprawa miłości pojawia się bardzo często. Ile w niej jest przypadkowości? W kulturze chrześcijańskiej, do dzisiaj czerpiącej wiele od św. Augustyna i innych ojców oraz doktorów Kościoła, którzy w pocie i znoju wykuwali zręby dogmatów, miłość pozostaje w przestrzeni usytuowanej poza ludzkim wpływem. Jeśli rozciągniemy myślenie o bożej łasce miłości na inne przestrzenie, okaże się, że ta wizja wywarła bardzo silny wpływ na miłość ludzką, romantyczną. Bo tak samo jak łaska, miłość w naszej kulturze na nas spada. Wydarza nam się. Popadamy w nią. Nie możemy z nią dyskutować.

Pamiętam swoje nastoletnie wyczulenie na to, że może gdzieś, tuż za rogiem właśnie na mnie czeka. Modliłam się, żeby przyszła. Żeby była jak jakiś totalny, wszystko pokrywający filtr, dzięki któremu zobaczę świat na nowo i siebie w tym świecie też. Wierzyłam, że to właśnie ona nadaje sens. Że da mi możliwość odnalezienia siebie dzięki przejrzeniu się w oczach tego właściwego człowieka. W ciągłym niepokoju, między poczuciem rozczarowania a kolejnymi, przeważnie na wyrost, zachwytami, zachowywałam nieustanną czujność. Pisałam opowiadania, nie spałam po nocach, godzinami analizowałam z przyjaciółkami te wszystkie najważniejsze kwestie: co, kto, komu, kiedy, jak i co to właściwie znaczyło. Byłyśmy ekspertkami od wróżenia z fusów, interpretowania półsłówek i krzywizny spojrzeń. Wszystko to w pełnym przekonaniu, że chociaż los nie zależy od nas, to bardzo mało, okropnie mało trzeba, żeby się właśnie z naszej winy, przez proste przegapienie, nie dopełnił.

Pamiętam, że napisałam takie opowiadanie o mijaniu się, oczywiście w pierwszej osobie: siedziałam na jakiejś malutkiej stacyjce kolejowej, czekając na pociąg, i miałam świadomość, że to czekanie potrwa raczej długo (nawiasem mówiąc, ten motyw czekania na pociąg wrócił do mnie później w studiach Heideggera nad nudą, ale wtedy jeszcze nie miałam o tym pojęcia, bo nie znałam opisów bezczasowego oczekiwania z *Podstawowych pojęć metafizyki*). W opowiadaniu czekałam na tej stacji i z rezygnacją kontemplowałam zarastającą ją roślinność, jakieś smętne, wysuszone badyle, suche trawki. Było bardzo, bardzo gorąco. Upał – tak napisałam – „pozbawił mnie resztek sił, które chciałam zachować sobie na zapas". Byłam na tym peronie kompletnie sama. Postanowiłam, że zapalę papierosa. Przeszukałam torbę i znalazłam paczkę, ale nie mogłam znaleźć

eprasa.pl cab18af919

zapalniczki. Jej poszukiwania tak mnie wciągnęły, że nawet nie zauważyłam, jak na stację wjechał pociąg. W drzwiach wagonu stał chłopak (w opowiadaniu to jesteś właśnie ty), który nie miał w ręku zapalniczki. Zanim zdążyłam jakkolwiek się ogarnąć, odjechał. A ja zostałam z niezapaloną fajką, nie wsiadłszy do pociągu, na który tak długo czekałam. Opowiadanie kończyło się figurą absolutnej rezygnacji i skierowaniem ostrza ironii prosto we własne serce: „No to sobie, kurwa, poczekam". Niedługo potem zobaczyłam *Chungking Express* Wong Kar-Waia. To było absolutne olśnienie. Film właśnie o tym, co tak bardzo mnie wtedy dręczyło. O mijankach, o lekkich otarciach się ramieniem o tę jedyną właściwą osobę, o pójściu nie w tę stronę, w którą trzeba było pójść. O tym, jak jakiś jeden malutki trybik, jeden nieistotny szczególik w kosmicznej strukturze zaburza całość nanokosmosu, który każde z nas niesie w sobie. Nie zliczę, ile razy nas to dotknęło: niespotkanie. Odwrócenie głowy w niewłaściwą stronę.

Ale jest jeszcze oczywiście opcja numer dwa. Czyli może się zdarzyć taka konstelacja, w której trajektorie się przetną. Co się wtedy dzieje? W świecie miłości romantycznej powinien to być początek szczęścia, życia długo i szczęśliwie. Zlepienie dwóch połówek pomarańczy i jeden wielki pląs po różanych płatkach. Problem, czego najprawdopodobniej niestety nie muszę nikomu tłumaczyć, polega na tym, że nie zawsze (delikatnie mówiąc) tak jest. Czasem to się kończy jakąś obietnicą. Czasem niestety wraca św. Augustyn ze swoją maksymą. Bo „kochaj i rób, co chcesz" bardzo często interpretuje się w tym ludzkim ujęciu jako przyzwolenie na to, żeby to z kochaną osobą zrobić wszystko, co się chce. Na przykład „dla jej dobra" albo „bo ja wiem lepiej". To zdanie bardzo łatwo może stać się przyczyną odebrania temu, kogo się rzekomo kocha, podmiotowości. Miłość jest jak notarialny akt własności albo raczej: zawłaszczenia. Kocham cię, więc nie protestuj. Kocham cię, więc mając to w pamięci, nie próbuj wymknąć się spod mojego światłego kierownictwa, co z tego, że jego struktura pozostaje do głębi przemocowa.

Wydaje mi się, że tej prawdy w jakiś bardzo trafny, chociaż brutalny sposób dotyka Lars von Trier w filmie *Nimfomanka*. Ta dwuczęściowa, mroczna opowieść koncentruje się na historii kobiety (genialna rola Charlotte Gainsbourg) szukającej seksu, która jest w stanie zrobić sporo, żeby do niego doszło. Szybko jednak okazuje się, że ta pozornie niebezpieczna przestrzeń przygodnych kontaktów, jednonocnych przygód, pospiesznych zbliżeń i zazdrosnych małżonek pojawiających się znienacka wraz z latoroślami jest w gruncie rzeczy przewidywalna. Jakoś nawet urocza, ekscytująca i przede wszystkim możliwa do ogarnięcia. Wychodzi na to, że, paradoksalnie, nawet w najciemniejszych zakamarkach perwersji obowiązuje zasada zgody. Wszystko może być konsensualne, uzgodnione, osadzone w konkretnych ramach – do momentu, kiedy na horyzoncie wyrasta nie wiadomo skąd ta podobno cudowna, wyczekiwana, upragniona miłość. Bo niesie ona za sobą obietnicę wzajemności i bezpieczeństwa zagwarantowanego bez słów. I człowiek przez chwilę czuje, że może odsłonić miękkie podbrzusze, pozwolić komuś zbliżyć się do siebie naprawdę, a nie tylko w seksie. To właśnie miłość oznacza podatność na największe zranienie. Ktoś mnie kocha, więc może ze mną zrobić wszystko, co chce.

Myślę, że częściowo dlatego wiele osób niesie w sobie lęk przed wielką miłością. Nic przecież nie boli bardziej. To nieprawda, że ta akurat emocja zmazuje całe zło, wprowadzając człowieka w stan niemożliwego do zmącenia szczęścia. Jeśli wyrośnie z niej to augustyńskie poczucie uprawnienia do drugiej osoby, to – mam poczucie – musimy znaleźć się na równi pochyłej. Bo albo dojdzie do utraty podmiotowości przez jedną ze stron, albo do niekończącego się konfliktu, walki na śmierć i życie o to, kto, komu, co, jak i kiedy. Walki na duże kwantyfikatory: „nigdy", „zawsze", „za każdym razem". Dojdzie do sporów o drobiazgi i o sprawy najważniejsze. Problem polega na tym, że w codziennym amoku bitewnym strony tracą orientację i nie wiedzą już, co jest czym ani które to które. Kończy się tak, że zamiast poprosić przy obiedzie o sól, mówisz „pół życia mi zmarnowałeś". Ale oczywiście najgorsze, że te zapasy, bez końca ciągnące się mecze bokserskie, mają bardzo wierną publiczność. Pół biedy, jeśli są nią kwiatki w doniczkach (choć i one potrafią zwiędnąć), gorzej, gdy na stanowiskach jurorów zasiadają dzieci. Do 15. roku życia wciąż powtarzałam w głowie prośbę do bliżej niezidentyfikowanych sił wyższych: żeby moi rodzice wreszcie się rozwiedli.

Wracając na pole filozofii: wiele osób do dzisiaj śmieje się z Immanuela Kanta i jego wielkiego dystansu do kwestii miłości. Mnie z kolei śmieszą te wszystkie plotki o jego relacjach a to z gosposią, a to z wiernym lokajem Lampem. Śmieszą mnie o wiele bardziej niż legendarnie uporządkowany styl życia filozofa, który nigdy nie opuścił rodzinnego Królewca. Widzę w nim osobę o wybitnej przenikliwości. I sądzę, że skoro potrafił zmonopolizować uwagę gości, opowiadając na przyjęciach o dalekich podróżach, których nigdy nie odbył, to w jego wypadku motorem napędzającym refleksję niekoniecznie musiało być doświadczenie. W *Uzasadnieniu metafizyki moralności* (jeśli mielibyście przeczytać jedną książkę Kanta, niech to będzie właśnie ta!) pisze troszkę również o miłości, która wpisuje się w bardziej ogólną strukturę działania prawa moralnego. W bardzo dużym skrócie: Kant szuka podstaw dla naszej, ludzkiej etyki nie w tym, jak ludzie postępują. Nie stara się wyciągnąć żadnej średniej „właściwego zachowania". Nie szuka usprawiedliwienia

Maksymę św. Augustyna „kochaj i rób, co chcesz" często interpretuje się jako przyzwolenie na to, by z ukochaną osobą robić to, co się chce.

eprasa.pl cab18af919

takiego czy innego zachowania w tym, że inni zrobiliby w danej sytuacji właśnie to, a nie coś innego. Kantowska etyka nie ma nic wspólnego z teleturniejem, w którym wygrywa osoba, która właściwie odpowie na pytanie o to, jaka jest ulubiona zupa Polaków (pomidorowa! 67% ankietowanych odpowiedziało „pomidorowa"; ogórkowa na drugim miejscu, żurek na trzecim). Kant pisze wręcz, że nie można moralności zrobić gorszej przysługi, niż usiłując ją wywieść z przykładów. Jeśli twoje działanie ma mieć wartość moralną, to tylko dlatego, że wynika ono z poszanowania prawa moralnego, które – uwaga! – wszyscy mamy zainstalowane w głowach w ramach oprogramowania fabrycznego. Wszyscy. *By default*. Więc jeśli chcesz nadać temu, co robisz, wartość moralną, musisz poddać swoją decyzję testowi imperatywu kategorycznego, czyli zapytać sama siebie, czy chciałabyś, żeby zasada, według której działasz, stała się powszechnym prawem całej przyrody.

Ale teraz czas na miłość. Jej przecież także możemy nadać wartość moralną i zapytać, czy chcielibyśmy, aby kochanie się nawzajem było powszechnym prawem całej przyrody. Jeśli o mnie chodzi, to zdecydowanie tak! Chciałabym świata, w którym miłość rządzi. Jejku, jak bardzo, bardzo, bardzo bym go chciała! I jeśli moja miłość wynika z takiego rozumowania, to jest w porządku. Jeżeli natomiast kogoś pokocham, bo uznam go za moją brakującą połówkę, bo chcę z nim być, bo chcę jego, to – uwaga – zaczyna się patologia. Tak mówi Kant: miłość romantyczna to miłość patologiczna. W najlepszym wypadku może się skończyć kontraktem małżeńskim, czyli zawarciem przez dwie osoby umowy, w której zobowiązują się do zachowania dożywotniej wyłączności we wzajemnym użytkowaniu swoich organów płciowych.

Najserdeczniej przepraszam, ale tak właśnie brzmi kantowska definicja małżeństwa i Slavoj Žižek miał 100 procent racji, kiedy powiedział mojej ośmioletniej podówczas córce, że nie ma nic bardziej obrzydliwego. Chodziłam z nią razem na seminarium Žižka na uniwersytecie w Princeton, bo nie stać mnie było na nianię. Córka grzecznie sobie rysowała, a ja się pocieszałam, że jak już będzie starutką babuleńką, to otoczona wianuszkiem wnuków opowie im: „A wiecie, jak byłam z moją szaloną matką w Ameryce, to chodziłyśmy na seminarium takiego jednego słoweńskiego filozofa...", a wnuki z oczami jak spodki nie będą mogły uwierzyć, że babcia na własne oczy Žižka oglądała. Nie wiem, czy powinnam żałować, że właśnie w ramach tej przygody poznała Kanta. Tym bardziej że w całej tej dychotomii miłości, w dzieleniu jej na „obowiązkową" oraz „patologiczną" dla mnie ważne jest właściwie to, co zbliża Kanta do Greków: miłość ma sens jako uniwersalny napęd, a nie jako zawężenie perspektywy do jednego człowieka. Jeśli miłość ma nas nieść, to niech zostanie sokratejskim Erosem, czyli – jak mówi Sokrates w *Uczcie* Platona – dzieckiem Biedy i Dostatku, wiecznie pragnącym i dzięki temu pozostającym w ciągłym rozwoju, który – jasne – często bardzo boli, ale w całej przyrodzie nie ma niczego, co byłoby od niego ważniejsze.

Miłość według Kanta to nie jest uczucie. To świadoma decyzja, dotycząca relacji z innym człowiekiem.

W tym kontekście prawdziwą epifanią była dla mnie książka bell hooks *Wszystko o miłości*. Głównie chyba dlatego, że zaczyna się właśnie od braku, od oszustwa, od sytuacji, w której same sobie wmawiamy, że różne, bardzo dalekie od szczęścia doświadczenia są właśnie miłością albo są z miłości. Przebaczamy złe traktowanie albo obojętność, bo ktoś powiedział, że nas kocha. Wchodzimy bez żadnych zabezpieczeń w augustyńskie „rób, co chcesz", bo tak bardzo, bardzo nam zależy na wpisaniu się w romantyczny wzorzec lansowany przez kulturę Zachodu. Budujemy własną krzywdę, akceptujemy zachowania nie do przyjęcia. W ogromnym stopniu wynika to oczywiście z tego, co wynosimy z domu: jakie były relacje między naszymi rodzicami i jak traktowano nas, kiedy byliśmy dziećmi. Od tego, co psycholodzy nazywają „wzorcami przywiązania", hooks celowo oddziela miłość, bo zależy jej na ukazaniu złożoności tego fenomenu, który pełniąc w kulturze centralną rolę, jednocześnie pozostaje w niedopowiedzeniu i pozornej subiektywności.

Próbując odpowiedzieć na pytanie o to, czym miłość właściwie jest, hooks sięga po definicję z popularnego poradnika *Droga rzadziej przemierzana* napisanego w 1978 roku przez psychiatrę Morgana Scotta Pecka. W nawiązaniu do myśli Ericha Fromma stwierdza on, że miłość to „wola rozszerzenia własnego «ja» w celu pielęgnowania własnego lub cudzego rozwoju duchowego" (przeł. Tomasz Bieroń). Dodaje również, że miłość jest aktem woli, a ta z kolei implikuje wybór. Czyli zero przymusu, zero „strzały Amora". Decyzja. Peck pisze: „postanawiamy, że będziemy kochali", a – jak dodaje bell hooks – koktajl miłości składa się z wielu różnych składników, trzeba w nim połączyć czułość, troskę, zrozumienie, szacunek, zaufanie, szczerość, otwartość, prawdomówność. Z tej definicji jasno wynika, że Kant jednak miał – wbrew pozorom – nieco racji, bo miłość to nie jest uczucie. To świadoma decyzja dotycząca relacji z innym człowiekiem, w której nastawiamy się na wspieranie rozwoju duchowego zarówno swojego, jak i tej drugiej osoby. Można więc bez popadania w przesadę powiedzieć, że jest to decyzja moralna. Można się też dość szybko zorientować, że miłość to nie inwestycja – nie ma w niej żadnej stopy zwrotu, wymiany opartej na czystej ekonomii uczuć.

Za Peckiem hooks wprowadza pojęcie „kateksji", czyli takiej sytuacji, gdy wkładamy w kogoś wiele emocji i z tego powodu ta osoba staje się dla nas ważna. Łatwo pomylić kateksję z kochaniem, bo ma ona w sobie to, czym od dziecka karmi nas kultura wyrastająca z mitu

eprasa.pl cab18af919

romantycznej miłości, mającej być właśnie tym, o czym pisałam wcześniej: usprawiedliwieniem każdego draństwa. „Przeważająca większość z nas – pisze bell hooks – pochodzi z dysfunkcyjnych rodzin, w których wpajano nam, że jesteśmy nie w porządku, w których zawstydzano nas, poddawano przemocy fizycznej lub psychicznej i zaniedbywano emocjonalnie, choć też słyszeliśmy, że jesteśmy kochani. Zwykle po prostu boimy się przyjąć taką definicję miłości, która nie pozwoli nam odnaleźć jej we własnym domu. Wielu z nas trzyma się takiego jej rozumienia, które czyni krzywdę dopuszczalną albo, w najlepszym razie, pozwala nam uznać to, czego doświadczyliśmy, za nie aż tak złe" (przeł. Karolina Iwaszkiewicz). Myślę, że wiele w tym racji, bo uświadomienie sobie, że w rodzinie brakowało miłości, rozumianej jako decyzja o tym, że będziemy się nawzajem wspierać w swoim duchowym rozwoju, jest więcej niż trudne. Niestety w konsekwencji reprodukujemy wzorce zachowania, choć przecież dobrze wiemy, że nie wyniknie z nich żadne, nawet malutkie szczęście. Trzeba wielu lat pracy, żeby odróżnić to, co u hooks jest „kateksją", a u Maxa Schelera „zarażeniem emocjonalnym" od rzeczywistej relacji nie tylko opartej na trosce, ale także właśnie nastawionej na „wolę rozszerzania swojego JA" po to, żeby tę drugą, ważną osobę wspierać w jej rozwoju.

Napisałam wyżej, że książka hooks była dla mnie epifanią, i teraz wyjaśnię, skąd to słowo, którego staram się nie nadużywać. Otóż tak rozumiana miłość jest czymś, czego można się nauczyć. Jest nowym rodzajem otwartości, w której pojawia się możliwość spotkania z inną osobą na całkowicie nowym gruncie bliskości, zaufania, szacunku, otwartości, życzliwości, czułości i troski. Ważne było dla mnie ukazanie przez autorkę, że praktyka miłości wcale nie jest łatwa, bo wymaga wyeliminowania bardzo głęboko zakorzenionego lęku przed podjęciem ryzyka. Bo miłość w dobrej wzajemności potrzebuje czegoś na kształt skoku wiary, skoku ku drugiemu człowiekowi, a potem jest przestrzenią nieustannego dialogu z tą osobą, tak żeby nie blokować siebie nawzajem, ale żeby dawać sobie inspirację i napędzać się do duchowego wzrastania.

Piękna jest również myśl o tym, że miłość jest jedna i jako taka nie musi być zarezerwowana dla jakiegoś konkretnego rodzaju relacji, na przykład właśnie związków romantycznych. Cudownie byłoby oprzeć wychowanie dzieci na w pełni zrozumianej miłości – wyjść poza czułość i troskę (które są niezwykle ważne, ale nie są z miłością tożsame), skupiając się na tym, żeby rzeczywiście wspierać rozwój dziecka, a jednocześnie samej się duchowo rozwijać. Według hooks da się osiągnąć w tej duchowej praktyce mistrzostwo – pokochać samą siebie i zamiast nieustannie szukać powodów, dla których to czy tamto jest niemożliwe, skupić się na własnym rozwoju. Bez wyrzutów sumienia, bez poczucia straty czasu, bez oszukiwania się nową parą butów kupioną jako remedium na smutek.

Nie czytałam hooks jak mój przyjaciel Pino – chodząc. Ale podczas lektury towarzyszyło mi doznanie zmysłowe, dotykowe, bo naprawdę poczułam w jej opowieści ciepło przytulenia. Jakby ktoś mi wreszcie powiedział, że ta nieszczęsna miłość romantyczna, ta kantowska patologia nie jest jedynym dostępnym rodzajem kochania. Jeśli pozwolimy sobie na chwilę przy tej myśli zostać, okazuje się, że praktykowanie filozofii, które niewątpliwie sprzyja wspieraniu własnego duchowego rozwoju, jest tożsame z praktykowaniem miłości do siebie. A także do mądrości, co wcale nie jest łatwe, bo wciąż na nowo trzeba podejmować ryzyko, że wypadnie się poza wygodne ramy tego, co myślą wszyscy, chociaż nigdy nie zastanowili się dlaczego.

Fragment pochodzi z książki Katarzyny Kasi *Konstelacje*, która ukaże się w tym roku nakładem Wydawnictwa Literackiego.

Pismo. MAGAZYN OPINII

Zamów prenumeratę z darmową dostawą.

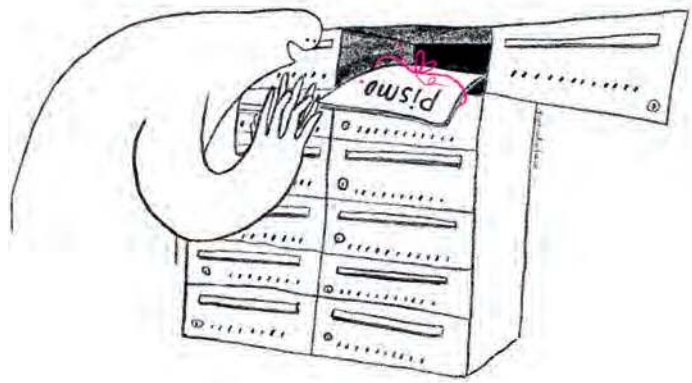

Zeskanuj kod QR lub wejdź na magazynpismo.pl/prenumerata i zamów roczną prenumeratę „Pisma". Dostęp online otrzymasz w prezencie.

eprasa.pl cab18af919

SZKIC

SETKA

rysunki FILIP ZAWADA

FILIP ZAWADA, prozaik, fotograf, malarz, a w „Piśmie" także rysownik żartów. Autor powieści: *Psy pociągowe* (nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia 2012), *Pod słońce było* (nominacja do Nagrody Literackiej Gdynia 2015), *Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek* (nominacja do Nagrody Literackiej Nike 2019) oraz *Zbyt wiele zim minęło, żeby była wiosna* (2021), *Weź z nią zatańcz* (2022) i *Gdyby nie czerń* (2025). Narysował artbooka *Z punktu widzenia ziemniaka* (2024).

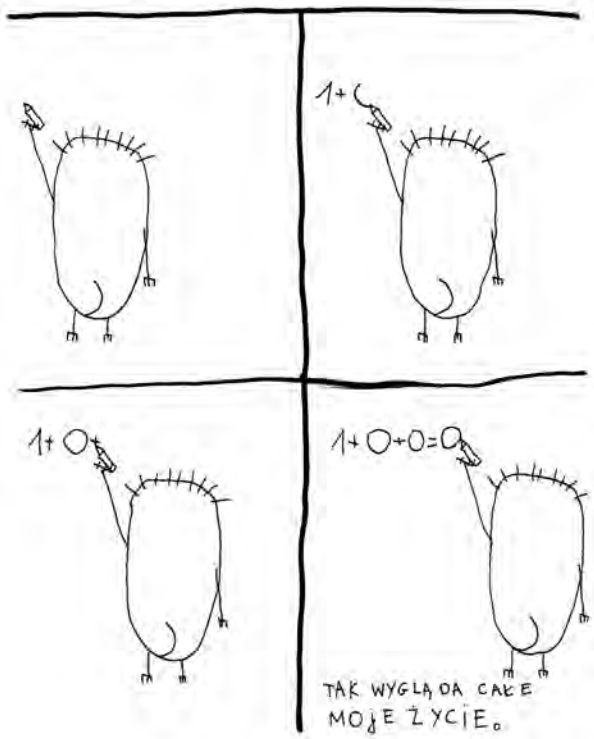

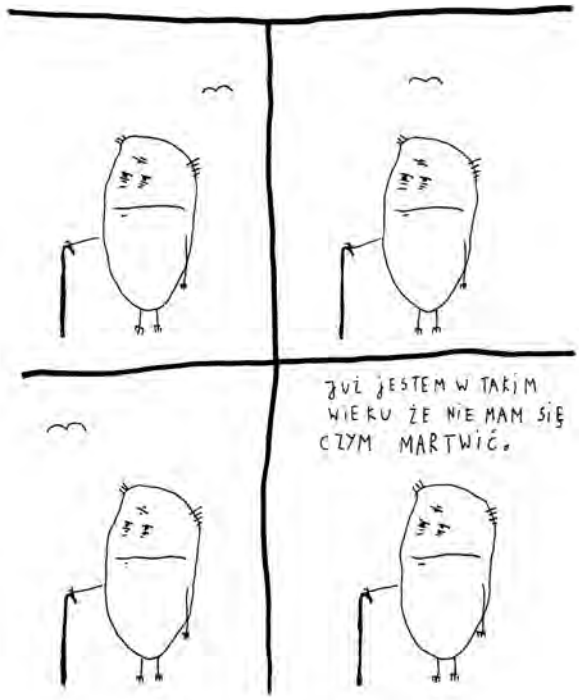

DOWCIP DNIA

eprasa.pl cab18af919

APTECZKA Kulturalny niezbędnik złożony z najważniejszych książek, reprodukcji obrazów, filmów i płyt, ale też wspomnień o miejscach, formujących doświadczeń. Moich rozmówców i rozmówczynie pytam o to, co przynosi im spokój, napędza do działania i ratuje w momentach kryzysu. Z czego składa się kulturalna apteczka brytyjskiej wokalistki i autorki tekstów piosenek JESSIE WARE?

Podaruję sobie kwiaty

JESSIE WARE, brytyjska piosenkarka, autorka tekstów i podcasterka. Zadebiutowała w 2012 roku albumem *Devotion*. Była wielokrotnie nominowana do BRIT Awards. Od 2017 roku wraz z matką, Lennie Ware, prowadzi popularny podcast kulinarno-rozrywkowy *Table Manners*. 10 kwietnia ukaże się jej szósty album *Superbloom*.

Mam wręcz niepohamowany apetyt na kulturę, dlatego moja apteczka wciąż pęcznieje. Trafiają do niej zarówno książki i spektakle teatralne, które coś we mnie poruszyły, jak i różnego rodzaju *guilty pleasures*, jak choćby maniakalnie oglądane przed snem programy rozrywkowe (z moim ulubionym *The Traitors* na czele). Do tego dochodzi dobre jedzenie i towarzyszące mu rozmowy przy stole – to właśnie z miłości do nich powstał podcast *Table Manners*, który od lat prowadzę wspólnie z moją mamą Lennie. Jest też muzyka. Ona pojawiła się w apteczce jako pierwsza.

Z nostalgią wspominam okres dorastania, kiedy zaczęłam poznawać swój głos, występując w szkolnych przedstawieniach. Śpiewając musicalowe standardy Cole'a Portera, odkryłam, że sprawia mi to ogromną przyjemność. Wtedy też pokochałam teatr. Duża w tym zasługa moich nauczycieli, którzy zabierali naszą klasę na spektakle teatru Complicité, kierowanego przez Simona McBurneya, oraz na pierwsze immersyjne przedstawienia grupy Punchdrunk, założonej przez Felixa Barretta. Dzięki tym wczesnym doświadczeniom zrozumiałam, że prawdziwy teatr to coś więcej niż odklepany przez aktorów na scenie tekst dramatu sprzed wieków – może być angażujący, czasem też zabawny, ale co najważniejsze, staje się ucieczką od rzeczywistości.

Ze wszystkich rodzajów teatru wciąż jednak najbardziej ekscytują mnie musicale. Uwielbiam je za dramatyzm, hojność formy i za to, że nie traktują siebie – a w konsekwencji także widzów – zbyt poważnie. Do moich ulubionych należą *West Side Story* i *Guys and Dolls*. Dopiero niedawno, za sprawą moich dzieci (które występują teraz w szkolnej wersji musicalu *Sweeney Todd: Demoniczny golibroda z Fleet Street*) przekonałam się do Stephena Sondheima. Ostatnio odkryłam też jego *Merrily We Roll Along* i już nie mogę się doczekać planowanej ekranizacji.

W musicalach najbardziej imponuje mi to, jak głos staje się nośnikiem historii. Dlatego tak bardzo cenię Barbrę Streisand, która jest nie tylko utalentowaną wokalistką, ale także znakomitą aktorką. Podziwiam ją też za wytrwałość. Wystarczy wspomnieć choćby film *Yentl* – nie dość, że go sfinansowała i wyreżyserowała, to jeszcze zagrała w nim główną rolę i zaśpiewała wszystkie piosenki. Spełnieniem marzeń byłoby gościć ją w naszym podcaście. Po tym, jak umarłabym ze stresu, gdyby żywa legenda, jaką jest Barbra Streisand, usiadła przy naszym stole, przeprosiłabym ją, że nie trafiłam we właściwą nutę w pierwszej zwrotce piosenki *The Way We Were*, gdy śpiewałam ją na tegorocznej gali rozdania Nagród BAFTA.

Barbra to nie jedyna muzyczna diwa, której mogłabym słuchać w nieskończoność. Zachwycam się też kontrolą wokalną Whitney Houston, intymnością w głosie Sade oraz pewnością siebie, jaka bije od Chaki Khan. Jest jeszcze Donna Summer – pionierka disco, która w swoim brzmieniu łączyła sensualność z niczym nieskrępowaną celebracją życia. Ze wszystkich wymienionych tu artystek to właśnie ona stała się moją największą inspiracją przy tworzeniu własnej scenicznej persony.

Jessie – królowa parkietu narodziła się sześć lat temu wraz z albumem *What's Your Pleasure*. Tworząc materiał na tę płytę, czułam, że mój czas w branży muzycznej dobiega końca. Od lat nie wypuściłam żadnego hitu; miałam wrażenie, że moja szczęśliwa passa się wyczerpała, a wraz z nią – cierpliwość słuchaczy. Los chciał, że *What's Your Pleasure* ukazało się w trakcie pandemii, kiedy wszyscy potrzebowaliśmy przenieść się w inne, szczęśliwsze miejsce i tańczyć, aż zabraknie nam tchu. Wtedy jedynie uchyliłam drzwi do tego świata.

Teraz, na albumie *Superbloom*, otwieram je szeroko i zapraszam wszystkich do rozkoszowania się tym, co oferuje mój ogród. Bo jak śpiewam w *I Could Get Used To This*: *It's not impossible to bloom and grow, 'cause everyone deserves their flowers* („Nie jest niemożliwe, by rozkwitać i wzrastać, bo każdemu należą się jego kwiaty"). Musiałam tylko przypomnieć sobie, że ja również zasługuję na to, by stać na scenie.

Rozmawiał i przełożył Mateusz Roesler

MATEUSZ ROESLER, kulturoznawca, dziennikarz, badacz komunikacji. Absolwent Gender Studies IBL PAN. W „Piśmie" odpowiada za koordynację projektów i współprace strategiczne. Autor podcastu *Trzaski i szmery*. Nawiązał długofalowe partnerstwo z żółwiem Herbertem. Instagram: @mm_roesler.

rysunki ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl cab18af919

Słuchaj swojego ciała

z URSZULĄ ZDANOWICZ *rozmawia* KRZYSZTOF ŁONIEWSKI

MĘŻCZYŹNI NAJCZĘŚCIEJ TRAFIAJĄ do mnie w momencie, kiedy wydarzy się coś poważniejszego, uraz, który całkowicie wyklucza ich z aktywności. Często długo ignorują sygnały ostrzegawcze. Kobiety zwykle przychodzą wcześniej – mówi doktor Urszula Zdanowicz, specjalistka ortopedii i traumatologii sportowej.

Ulu, znamy się od 15 lat. Czy przez ten czas Polacy zaczęli się bardziej interesować aktywnością fizyczną?
Tak, zdecydowanie. Jednak coraz rzadziej myślimy o ruchu jako o elemencie stylu życia, a coraz częściej jak o projekcie do zrealizowania czy wyzwaniu do odhaczenia. Widać postępującą polaryzację w sposobie, w jaki ludzie uprawiają sport. Z jednej strony przybywa osób, które w ogóle się nie ruszają, z drugiej – tych trenujących bardzo intensywnie, wręcz ekstremalnie. Coraz mniej jest natomiast takich „pośrodku", czyli podejmujących umiarkowaną, regularną aktywność fizyczną. A to właśnie ta grupa odnosi największe i najbardziej trwałe korzyści zdrowotne z ruchu.

Czyli co? Twoim zdaniem doszło do rozwarstwienia?
Tak, i z roku na rok widać to coraz wyraźniej. Wystarczy spojrzeć na media społecznościowe – dominują tam ultramaratony, maratony, biegi górskie. Ekstremalne wyzwania stały się czymś bardzo widocznym i mocno promowanym.

URSZULA ZDANOWICZ, specjalista ortopedii i traumatologii narządu ruchu. Należy do kadry naukowej McGowan Institute for Regenerative Medicine przy Uniwersytecie Pittsburskim. Autorka publikacji naukowych i rozdziałów w podręcznikach medycznych. Lekarz wielu kadr narodowych, członek misji medycznej Polskiego Komitetu Olimpijskiego podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Turynie w 2006 r.

Od razu przychodzą mi na myśl tak zwane Ironmany – prawie 4 kilometry w wodzie, ponad 180 kilometrów na rowerze i na zakończenie bieg na dystansie maratonu, czyli 42 kilometrów i 195 metrów.
Oczywiście, jeśli ambitne cele motywują kogoś do regularnego ruchu, jest to coś zdecydowanie pozytywnego. Problem zaczyna się wtedy, gdy najważniejsza staje się sama skala wysiłku. Ekstremalny trening nie zawsze oznacza większe korzyści zdrowotne, czasem może wręcz przynieść przeciwny efekt.
Najwięcej zdrowotnie zyskujemy na systematycznej, umiarkowanej aktywności dopasowanej do naszych możliwości. To jednak jest mniej *sexy*, mniej spektakularne, nie wygląda tak imponująco w mediach społecznościowych.

A co sądzisz o samym maratonie?
To naprawdę ekstremalny wysiłek. Jako lekarka przede wszystkim doceniam to, że tak ambitny cel pomaga wielu osobom utrzymać regularność treningów. Natomiast sam w sobie nie jest to wysiłek szczególnie prozdrowotny. Dodatkowo coraz częściej obserwuję pewnego rodzaju wyścig: kto przebiegł dalej, kto bardziej ekstremalnie, kto w trudniejszych warunkach, kto zaliczył więcej startów w ciągu roku. Powiem szczerze – rzadko spotykam zawodowych sportowców trenujących z takimi obciążeniami, jakie niejednokrotnie fundują sobie amatorzy. A to już powinno dawać do myślenia. Szczególnie widać to wśród osób pracujących na wysokich stanowiskach, w kadrze menedżerskiej czy w wymagających zawodach eksperckich.

eprasa.pl cab18af919

rysunki JAKUB KAMIŃSKI

eprasa.pl cab18af919

KRZYSZTOF ŁONIEWSKI, dziennikarz radiowej Trójki, przez lata związany z redakcją sportową. Entuzjasta zdrowego trybu życia, razem z prof. Markiem Postułą prowadzi radiową audycję *Kierunek długowieczność*. Sportowiec amator, z wykształcenia historyk.

W tej grupie często pojawia się silna potrzeba rywalizacji: kto więcej, kto dalej, kto dłużej, kto bardziej ekstremalnie.
Problem w tym, że w pewnym momencie przekracza to nie tylko granice zdrowego sportu, ale też zdrowego rozsądku. Mamy osobę, która przez większość dnia pracuje w stresie, spędza wiele godzin w pozycji siedzącej, śpi zbyt krótko, a potem próbuje nadrobić brak ruchu jednym, bardzo intensywnym treningiem.

To, co robią w korporacji, czyli ostra rywalizacja o wyniki w swojej branży, przekładają na świat sportu?
To osoby, które w życiu zawodowym funkcjonują w trybie „mam wygrywać" – i dokładnie tak samo podchodzą do treningu, są nastawione na osiąganie wyników i rywalizację. Co prawda współpracują z trenerami, inwestują w przygotowanie i chcą systematycznie poprawiać swoje rezultaty, ale mam wrażenie, że nie zawsze naprawdę słuchają zaleceń dotyczących odpoczynku. Trudno mi uwierzyć, że ich trenerzy nie podkreślają znaczenia regeneracji jako pełnoprawnej jednostki treningowej.
Do tego dochodzi deficyt snu – pobudki o czwartej rano na trening i zasypianie po północy. Tymczasem zawodowi sportowcy pracują w jasno zaplanowanych cyklach: jest faza intensyfikacji, ale jest też faza odpoczynku i regeneracji. Obciążenia są precyzyjnie rozłożone w ciągu dnia, tygodnia i całego sezonu.
Wśród amatorów często wygląda to inaczej. Słyszę: „To był mój czwarty, piąty maraton w roku". To już jest bardzo duże obciążenie dla organizmu, które prędzej czy później może skończyć się przeciążeniem – a nierzadko wizytą w gabinecie ortopedy.
Trzeba pamiętać o jednej rzeczy: organizm nie rozróżnia, czy obciążenie pochodzi z pracy zawodowej, stresu czy z treningu. To wszystko się sumuje. Jeśli nie możemy zmniejszyć ilości pracy i stresu, to tym bardziej powinniśmy rozsądnie modyfikować obciążenia treningowe. To musi się bilansować. Inaczej zamiast budować formę, systematycznie dokładamy organizmowi kolejny koszt.

Na dodatek ci sportowcy z korporacji są zazwyczaj 15–20 lat starsi od zawodowców.
A nasze ciało się zmienia. Około 40. roku życia – czasem trochę wcześniej lub trochę później – wiele osób zaczyna wyraźniej odczuwać upływ czasu i pojawia się silna motywacja, żeby „wziąć się za siebie". Problem w tym, że często odbywa się to w sposób zero-jedynkowy: z braku aktywności przechodzimy nagle do bardzo dużych, a nawet zbyt dużych obciążeń.
Do tego dochodzi wspomniany już siedzący tryb pracy. Jeśli ktoś przez osiem, dziesięć godzin dziennie pozostaje w pozycji siedzącej, a potem oczekuje, że te same mięśnie, ścięgna i stawy będą od razu elastyczne i gotowe na intensywny wysiłek, jest to po prostu nierealne. W krótkiej perspektywie organizm może jeszcze dać radę, ale tkanki nie są przygotowane na tak gwałtowną zmianę. I to bardzo często nie kończy się dobrze.

Co wobec tego powinien zrobić człowiek, który siedzi osiem godzin każdego dnia w pracy, nie robił nic przez ostatnich kilka czy kilkanaście lat i chciałby wejść w świat sportu amatorskiego w zdrowy sposób?
Oczywiście nie chodzi o to, żeby każdy, kto chce zacząć się ruszać, od razu kompletował wokół siebie pełny sztab medyczny. Aktywność fizyczna powinna być czymś naturalnym i łatwo dostępnym, a nie przedsięwzięciem wymagającym rozbudowanego zaplecza specjalistów.
Natomiast jeśli mamy jakieś współistniejące problemy zdrowotne albo planujemy naprawdę intensywny wysiłek, rozsądnie jest wcześniej zasięgnąć porady specjalisty. To pozwala dobrać bezpieczną formę aktywności i uniknąć błędów, które mogą skończyć się kontuzją lub pogorszeniem stanu zdrowia.
Wiele osób około 40. roku życia ma już pewne problemy zdrowotne, na przykład ortopedyczne. Dlatego warto również skonsultować się z lekarzem prowadzącym, żeby ocenić, jaka forma aktywności będzie bezpieczna. Jeśli ktoś ma zmiany zwyrodnieniowe kolana czy uszkodzenia chrząstki, długodystansowe bieganie może nie być najlepszym wyborem, znacznie rozsądniejszą opcją będzie jazda na rowerze.
Kolejna osoba może mieć zaburzenia rytmu serca, nadciśnienie czy inne problemy kardiologiczne. Często w tym samym czasie pojawia się też nadwaga, którą ktoś

eprasa.pl cab18af919

chce zbić intensywną aktywnością. I to ma sens – pod warunkiem, że odbywa się to według jasno określonych zasad i pod kontrolą specjalisty.
Bez takiej kontroli często dochodzi do dwóch równoległych, gwałtownych zmian: skokowego zwiększenia obciążeń treningowych i jednoczesnego drastycznego ograniczenia podaży energii. Organizm zaczyna wydatkować znacznie więcej, a dostaje za mało paliwa. I to przestaje się bilansować.

Czyli ważna jest też opieka dietetyka?
Tak. Kompetencje dietetyków często nie są w pełni doceniane, a przecież to specjaliści po kilkuletnich studiach, którzy uczą się, jak dostosowywać sposób żywienia do chorób, obciążeń treningowych i konkretnych celów.
Mamy więc fizjoterapeutów, trenerów przygotowania motorycznego, lekarzy i dietetyków. Każdy z nich patrzy na organizm z innej perspektywy. Skorzystanie z ich wiedzy nie jest przesadą, tylko inwestycją w bezpieczeństwo i zadbaniem o długofalowe efekty. Wtedy cały ten proces ma szansę być spójny, przemyślany i naprawdę prozdrowotny, a nie oparty na przypadku.

Takie combo?
Tak, to zdecydowanie najzdrowsze podejście. Tyle że wizyta u kardiologa, ortopedy czy rozmowa z diabetologiem o własnym zdrowiu nie wydaje się *cool*. Często wypieramy fakt, że czas płynie i że nasze ciało się zmienia. A przecież nie ma w tym nic wstydliwego. To naturalne, że wytrzymałość organizmu z wiekiem jest inna niż kilkanaście lat wcześniej. Sama w głowie wciąż czuję się tak, jakbym miała 20 lat. Ale kiedy dwie nieprzespane noce odbijają się na mnie dużo mocniej niż kiedyś, to jest jasny sygnał, że organizm funkcjonuje już inaczej. I to nie jest powód do frustracji, tylko do większej uważności.

Jak oceniasz wiedzę swoich pacjentów na temat tego, jak trenować w sposób zdrowy?
Ich wiedza technologiczna zdecydowanie wzrosła. Korzystają z zegarków sportowych, aplikacji, coraz bardziej zaawansowanego sprzętu. Swobodnie operują pojęciami, takimi jak VO_2 max [pułap tlenowy, czyli maksymalna ilość tlenu, jaką ciało może pobrać, transportować i wykorzystać podczas intensywnego wysiłku – przyp. red.] czy HRV [zmienność tętna, czyli zmiana czasu między kolejnymi uderzeniami serca – przyp. red.].
Natomiast moja obserwacja jest taka, że wciąż brakuje powszechnego zrozumienia biologii organizmu. Niewiele osób ma świadomość, że ścięgna, chrząstka czy układ hormonalny adaptują się znacznie wolniej niż mięśnie. To, że nasza wydolność rośnie i „na zegarku wszystko się zgadza", nie oznacza, że tkanki są gotowe na kolejne zwiększenie obciążeń.
Postęp technologiczny jest czymś bardzo dobrym – pozwala monitorować parametry i śledzić postępy. Mam jednak wrażenie, że nie zawsze potrafimy właściwie interpretować te dane i wyciągać z nich rozsądne wnioski.

Twoi pacjenci mają świadomość, jak wszechstronne korzyści przynosi aktywność fizyczna?
Myślę, że w ostatnich latach nastąpił tu bardzo duży postęp. Dzięki mediom – także społecznościowym – znacznie więcej mówi się o aktywności fizycznej i zdrowym stylu życia. Coraz więcej osób zaczyna rozumieć, że 60 lat to nie jest żaden wyrok – że można w tym wieku świetnie wyglądać, dobrze się czuć i pozostawać sprawnym.
Zmieniło się też podejście do dbania o siebie. To już nie tylko branża *beauty* – maseczki, botoks czy chirurgia plastyczna [pisała o tym Oktawia Kromer, „Pismo" nr 1/2026 – przyp. red.] – ale również troska o sylwetkę, siłę mięśniową i sprawność. Bo jeśli mamy nadwagę, niedobór masy mięśniowej czy pogłębiającą się zgarbioną postawę, to – niezależnie od tego, jak wygląda nasza twarz – będziemy postrzegani jako starsi, niż w rzeczywistości jesteśmy.
Dodatkowo pojawia się coraz więcej badań naukowych pokazujących, że systematyczna aktywność fizyczna realnie wydłuża życie. Z różnych metaanaliz wynika, że osoby regularnie aktywne żyją nawet do czterech–siedmiu lat dłużej niż te nieaktywne – i to po uwzględnieniu innych czynników ryzyka, takich jak palenie tytoniu czy choroby przewlekłe.
Co jeszcze ważniejsze, aktywność poprawia nie tylko długość, ale i jakość życia. Bo czym jest długowieczność, jeśli nie jesteśmy w stanie samodzielnie wstać z fotela, pójść na spacer, uprawiać swojego hobby czy po prostu cieszyć się codziennością?

Rzadko spotykam zawodowych sportowców trenujących z takimi obciążeniami, jakie nieraz fundują sobie amatorzy. A to już powinno dawać do myślenia.

Bo właśnie tak trzeba postrzegać długowieczność. O tym z profesorem kardiologiem Markiem Postułą trąbimy od lat: chodzi o to, żeby w ósmej czy dziewiątej dekadzie życia być samodzielnym, a nie uzależnionym od dzieci i wnuków.
Tak, absolutnie. Dla mnie długowieczność to też przede wszystkim samodzielność – możliwość podejmowania decyzji, poruszania się, realizowania swoich pasji i bycia niezależnym. Sam wiek metrykalny ma mniejsze znaczenie niż to, w jakiej kondycji do niego dochodzimy. Ja najbardziej boję się niedołężności. Kiedyś bardziej obawiałam się tej fizycznej, dziś chyba jeszcze bardziej tej intelektualnej – utraty pamięci, jasności myślenia, sprawczości.
Na szczęście mamy coraz więcej danych pokazujących, że również na to mamy realny wpływ. Regularna aktywność fizyczna zmniejsza ryzyko rozwoju choroby

eprasa.pl cab18af919

Alzheimera i innych form otępienia. Ruch chroni nie tylko mięśnie i serce, lecz także mózg. I to jest chyba jeden z najmocniejszych argumentów za tym, żeby traktować aktywność jako inwestycję w swoją przyszłość. Najprościej powiedziałabym tak: zadaj sobie pytanie, czy to, co robisz dziś, pozwoli ci swobodnie się poruszać za 20–30 lat.

Aktywnością fizyczną zapobiegamy ubytkowi masy mięśniowej, czyli sarkopenii.

Tak. Proces utraty masy mięśniowej zaczyna się już około 30. roku życia. Początkowo postępuje powoli, ale po pięćdziesiątce wyraźnie przyspiesza. Jeśli nic z tym nie robimy, konsekwencją może być spadek siły, pogorszenie stabilności, większe ryzyko upadków i utrata samodzielności.

Dlatego tak ważne jest, aby oprócz aktywności wytrzymałościowej wprowadzić do planu treningowego ćwiczenia siłowe i oporowe. Nie chodzi o kulturystykę, ale o systematyczne dostarczanie mięśniom bodźców do pracy. To mogą być proste formy: ćwiczenia z własnym ciężarem ciała, takie jak przysiady, wykroki, pompki czy deski; trening z gumami oporowymi, ćwiczenia z wolnymi ciężarami – hantlami czy kettlami; trening na maszynach na siłowni, dobrany indywidualnie do możliwości.

Regularny trening oporowy dwa–trzy razy w tygodniu to inwestycja w sprawność na kolejne dekady. Bez niego trudno mówić o zdrowym starzeniu się.

Czy twoi pacjenci, ci sportowcy amatorzy przychodzący do gabinetu ortopedki, to w większości mężczyźni?

To się zmienia. Jeszcze kilka lat temu rzeczywiście dominowali mężczyźni, dziś kobiet systematycznie przybywa, a proporcje stają się znacznie bardziej wyrównane. Mężczyźni najczęściej trafiają do mnie w momencie, kiedy wydarzy się coś poważniejszego – uraz, który całkowicie wyklucza ich z aktywności. Często długo ignorują sygnały ostrzegawcze i zgłaszają się dopiero wtedy, gdy „już się nie da". Kobiety zwykle przychodzą wcześniej, bardziej profilaktycznie. Ale w ich grupie również widzę pewien problem – część z nich trenuje bardzo intensywnie, czasem aż za bardzo. Przy niskim poziomie tkanki tłuszczowej i dużych obciążeniach organizm zaczyna reagować obronnie, pojawiają się zaburzenia hormonalne czy przeciążenia.

Nasza fizjologia działa inaczej.

Kluczowa różnica polega na tym, że u kobiet niski poziom tkanki tłuszczowej niesie znacznie poważniejsze konsekwencje niż u mężczyzn. Tkanka tłuszczowa u kobiet pełni istotną funkcję w regulacji gospodarki hormonalnej. W dużym uproszczeniu: jeśli kobieta je zbyt mało, ma bardzo niski poziom tkanki tłuszczowej i jednocześnie generuje ogromne obciążenia energetyczne treningiem, jej organizm może uznać, że to nie są bezpieczne warunki do prokreacji. Dochodzi wtedy do zahamowania osi podwzgórze–przysadka–jajnik, spada poziom estrogenów i pojawia się brak miesiączki.

To wcale nie jest rzadkie zjawisko wśród kobiet intensywnie trenujących przy niskiej masie ciała. A oznacza, że sytuacja jest już poważna. Niedobór estrogenów wpływa nie tylko na płodność, lecz także na gęstość kości, metabolizm kolagenu, stan skóry i funkcjonowanie mózgu. Pojawia się ryzyko złamań zmęczeniowych, spadku gęstości mineralnej kości, a w konsekwencji nawet przedwczesnej osteoporozy. Widziałam młode kobiety z poważnymi złamaniami przeciążeniowymi – w tym złamaniami miednicy wywołanymi bieganiem. Do tego dochodzą wahania nastroju, obniżenie samopoczucia, czasem objawy depresyjne. Estrogeny mają ogromny wpływ na funkcjonowanie ośrodkowego układu nerwowego, więc ich gwałtowny spadek nie pozostaje bez konsekwencji.

Z zewnątrz wszystko może wyglądać idealnie: brak używek, zdrowa dieta, regularny ruch. Problem polega na tym, że jeśli doprowadzamy do przewlekłego deficytu energii i zaburzeń hormonalnych, organizm prędzej czy później zacznie wysyłać sygnały alarmowe. A wtedy urazy i powikłania są często tylko wierzchołkiem góry lodowej.

Ruch chroni nie tylko mięśnie i serce, lecz także mózg. I to jest jeden z najmocniejszych argumentów za tym, żeby traktować aktywność jako inwestycję w swoją przyszłość.

Jakie mogą być dalsze konsekwencje?

W pewnym momencie organizm staje się bardziej podatny na urazy. Dochodzi do kontuzji, pojawia się leczenie, czasem operacja – i nagle ta osoba musi przestać trenować. A trening był dla niej bardzo ważny.

Jeśli dodatkowo jest aktywna zawodowo i praca stanowi drugi filar jej tożsamości, okres okołooperacyjny często oznacza również przerwę w pracy. I wtedy pojawia się kolejny trudny moment – konfrontacja z faktem, że świat się nie zatrzymał, że ktoś inny przejął obowiązki, że jesteśmy zastępowalne. To bywa bardzo obciążające emocjonalnie i może pogłębiać obniżenie nastroju. Do tego dochodzi aspekt biologiczny. Regularny, intensywny wysiłek fizyczny stymuluje wydzielanie endorfin. Organizm funkcjonuje w pewnym sensie na podwyższonych obrotach, w stanie stałej stymulacji. Gdy nagle trening znika, mózg zostaje odcięty od tego bodźca. Pojawia się wyraźny spadek nastroju, rozdrażnienie, poczucie pustki. To mechanizm, o którym rzadko się wspomina, a ma on ogromne znaczenie.

Oczywiście mówimy tu o sytuacjach skrajnych. Regularny, umiarkowany trening jest czymś bardzo dobrym. Cały czas to podkreślam: problem zaczyna się przy ekstremach. Warto jasno powiedzieć, że brak miesiączki u trenującej kobiety nigdy nie jest normą ani oznaką świetnej formy. W medycynie nazywamy to zespołem RED-S, od

eprasa.pl cab18af919

relative energy deficiency in sport – względnym niedoborem energii w sporcie. I coraz częściej dotyczy on nie zawodowych sportsmenek, ale ambitnych amatorek.

Kogo jest najwięcej wśród twoich pacjentów – biegaczy, triatlonistów, kolarzy?

Zdecydowanie najwięcej jest biegaczy. Wynika to w dużej mierze z charakteru samej dyscypliny – bieganie jest wysiłkiem dość jednowymiarowym i bardzo powtarzalnym. Wiele osób uważa bieganie za najprostszą formę ruchu – „zakładam buty i biegnę". Tymczasem to aktywność bardzo wymagająca pod względem biomechanicznym. W trakcie biegu na stawy kończyn dolnych działają siły reakcji podłoża sięgające nawet dwu-, trzykrotności masy ciała przy każdym kroku. A tych kroków w czasie jednego treningu są tysiące.

Wielu biegaczy nie uzupełnia treningu innymi formami aktywności. Rzadko wprowadzają trening siłowy, ćwiczenia stabilizacyjne czy pracę nad mobilnością. Często pokonują wyłącznie kolejne kilometry.

Przy częstych treningach nawet niewielkie zaburzenia – drobne asymetrie, nieprawidłowe wzorce ruchowe, ograniczenia zakresu ruchu czy współistniejące problemy zdrowotne – zaczynają się kumulować. To, co przy mniejszym obciążeniu nie dawało objawów, w pewnym momencie staje się klinicznie istotne i zaczyna generować przeciążenia. I wtedy pojawiają się urazy.

Warto jednak jasno powiedzieć: kontuzje doznawane podczas biegania nie wynikają z tego, że bieganie jest złe. Są one skutkiem niedopasowania obciążenia do możliwości tkanek. W ortopedii mówimy o tym jako o klasycznym problemie: zdolność adaptacyjna organizmu nie nadąża za aplikowanym obciążeniem. Jeśli dokładamy je szybciej, niż struktury są w stanie się przystosować, przeciążenie jest tylko kwestią czasu.

A z jakimi problemami przychodzą triatloniści?

Przy jednoczesnym trenowaniu trzech dyscyplin: pływania, jazdy na rowerze, biegania – i to każdej na wyśrubowanym poziomie – zwyczajnie zaczyna brakować czasu na realną regenerację. Tydzień ma określoną liczbę godzin. Jeśli większość z nich wypełniają trening, praca zawodowa i życie rodzinne, to regeneracja spada na koniec listy.

U wielu pacjentów, którzy trafiają do mojego gabinetu, wywiad dotyczący początku dolegliwości jest stosunkowo krótki – „boli od kilku tygodni". Natomiast badania obrazowe bardzo często pokazują, że proces przeciążeniowy trwał miesiącami, a czasem nawet latami. Tkanki długo potrafią się adaptować, kompensują, można powiedzieć, że wiele wybaczają.

Dopiero w pewnym momencie zostaje przekroczona cienka czerwona linia tolerancji obciążenia. To moment,

Potrzebujemy dziennikarstwa opartego na faktach i danych.

Wspieramy „Pismo".

mbridge.pl

mbridge AGENCJA DIGITAL MARKETINGU

eprasa.pl cab18af919

w którym pojawiają się objawy. Problem nie zaczyna się wtedy – on tylko w końcu staje się odczuwalny.

Kolarze?

Rower to naprawdę wspaniała forma ruchu. Szczególnie dlatego, że nawet osoby z zaawansowanymi zmianami zwyrodnieniowymi, które nie są już w stanie chodzić na długie spacery czy biegać, często nadal mogą bez problemu na nim jeździć.

To aktywność o niewielkim obciążeniu osiowym dla stawów, a jednocześnie dająca ogromne możliwości regulowania intensywności. Na rowerze można wykonać bardzo wymagający trening wytrzymałościowy czy interwałowy, ale można też po prostu spokojnie się poruszać, poprawiając krążenie i ogólną sprawność. Dlatego rower jest świetnym narzędziem zarówno w profilaktyce, jak i w rehabilitacji – pod warunkiem, że jest odpowiednio dopasowany do możliwości i potrzeb danej osoby.

Czyli możemy jeździć tempem listonosza z torbami?

Oczywiście. I to jest zupełnie w porządku. Problem zaczyna się, kiedy ktoś zdecydowanie przesadza z czasem poświęcanym na trening czy jego intensywnością. Wtedy w pakiecie pojawiają się przeciążenia kolan, bioder, ścięgna Achillesa czy kręgosłupa.

Kluczowe jest dopasowanie roweru do siebie – do swojej postury, proporcji ciała, zakresów ruchu. I tu ogromne znaczenie ma tak zwany *bike fitting*, czyli profesjonalne ustawienie roweru pod konkretną osobę. Obejmuje to określenie wysokości i przesunięcie siodełka, ustawienie kierownicy, wybór długości mostka, a nawet ustawienie bloków w butach kolarskich. Ludzie mają różną budowę ciała i różne ograniczenia – do tego czasem dochodzą wcześniejsze urazy czy zmiany zwyrodnieniowe. To nie musi być przeciwwskazaniem do jazdy na rowerze, ale warto to uwzględnić.

Odpowiednie dopasowanie sprzętu i intensywności treningu sprawia, że jazda jest nie tylko efektywna, lecz także przede wszystkim zdrowa. Bo nic nie jest mniej przyjemne niż kontuzja, leczenie i – w najgorszym przypadku – operacja, której można było uniknąć.

Czyli jeśli ktoś ma nadwagę i chce zacząć uprawiać sport po to, żeby schudnąć, to zamiast biegania doradzasz raczej rower?

Zdecydowanie tak. Przy większej masie ciała bieganie generuje bardzo duże obciążenia dla stawów, zwłaszcza kolan i stóp. Dlatego bezpieczniej i rozsądniej jest zacząć od aktywności o mniejszym obciążeniu osiowym.

Rower to bardzo dobry wybór, podobnie jak pływanie. Te formy ruchu pozwalają poprawić wydolność i rozpocząć redukcję masy ciała bez nadmiernego przeciążania układu ruchu. Z czasem, gdy waga się zmniejszy, a mięśnie wzmocnią, można stopniowo wprowadzać inne formy aktywności, w tym bieganie.

Oczywiście wszystko zależy od konkretnej osoby. Nadwaga może wyglądać bardzo różnie. Jedna osoba waży 90, inna 140 kilogramów. Znaczenie mają wzrost, skład ciała [czyli proporcje tkanki tłuszczowej, mięśniowej, kostnej i wody w organizmie – przyp. red.], a także wcześniejsza aktywność – czy ktoś nigdy się nie ruszał, czy po prostu miał kilkunastoletnią przerwę, bo tak mu się potoczyło życie.

Osoby z większą masą ciała rzadko nie mają żadnych współistniejących problemów zdrowotnych [przeczytacie o tym w tekście Beaty Szady, „Pismo" nr 2/2025 – przyp. red.]. Często pojawiają się insulinooporność, stan przedcukrzycowy albo cukrzyca, nadciśnienie, zmiany miażdżycowe, czasem początki niewydolności serca. I to wszystko warto wziąć pod uwagę przy planowaniu aktywności fizycznej.

Najrozsądniej jest dobrać formę ruchu do realnych możliwości organizmu i aktualnego stanu zdrowia. Rozmowa ze specjalistą naprawdę niczego nikomu nie ujmuje, przeciwnie – pozwala uniknąć błędów i zacząć trening w sposób bezpieczny i przemyślany. Bo chodzi o to, żeby sport rzeczywiście dawał zdrowie, a nie był powodem do późniejszego komentarza: „no tak, sport to zdrowie...", wypowiadanego z przekąsem w gabinecie lekarskim.

Co najbardziej zaniedbują twoim zdaniem sportowcy amatorzy?

Na pierwszym miejscu zdecydowanie sen. To absolutna podstawa regeneracji, a jednocześnie element

Pismo.

1,5%

Wesprzyj nas, abyśmy mogli dalej podejmować ważne społecznie tematy, których brakuje w innych mediach.

KRS 0000689263

eprasa.pl cab18af919

najczęściej poświęcany na rzecz pracy, treningu czy obowiązków domowych.
Poza snem zaniedbywane są też inne formy regeneracji – dni lżejsze, przerwy w cyklu treningowym, realny odpoczynek. Często brakuje też regularnych badań kontrolnych, które pozwoliłyby wychwycić nieprawidłowości, zanim staną się problemem klinicznym.
Często zapomina się o treningu siłowym. Wiele osób trenuje, wyłącznie biegając. Tymczasem, żeby dobrze biegać i unikać kontuzji, trzeba wzmacniać mięśnie, pracować nad stabilizacją i kontrolą ruchu. Samo powtarzanie tej samej aktywności nie buduje trwałej sprawności i nie chroni przed przeciążeniami.
I wreszcie nie można nakładać na siebie obciążeń treningowych większych niż zawodowcy, jednocześnie pracować na pełen etat i uważać, że nie są potrzebne żadne kontrole lekarskie.
Sportowcy wyczynowi – mimo że koncentrują się wyłącznie na sporcie i są znacznie młodsi niż większość amatorów – pozostają pod stałym nadzorem lekarzy, fizjoterapeutów i całych zespołów medycznych. To właśnie dlatego mogą bezpiecznie trenować na najwyższym poziomie. Ignorowanie profilaktyki medycznej przy wysokich obciążeniach treningowych to nie przejaw siły czy determinacji, lecz brak odpowiedzialności za własne zdrowia.

Sam byłem takim zawodnikiem.
Pamiętam, że mówiłeś kiedyś, że bieganie to najprostsza i najbardziej dostępna forma ruchu – że właściwie każdy może zacząć. I to prawda. Tyle że w pewnym momencie zacząłeś biegać za dużo, bez uzupełniania tego treningiem wzmacniającym. I to niestety szybko się na tobie odbiło. Chyba nawet trochę się o to pokłóciliśmy.

Uszkodziłem łękotkę. Miałem artroskopię kolana. Trafiłem do dobrze ci znanego doktora Remigiusza Rzepki na końcówkę rehabilitacji i on mi uświadomił, dlaczego miałem tę kontuzję. Treningiem motorycznym zmienił o 180 stopni moje podejście do sportu. Zrozumiałem, na czym polega mądry trening.
I właśnie tego nie chcemy proponować czytelniczkom i czytelnikom – żeby musieli dojść do ściany, przejść operację i dopiero wtedy zacząć się zastanawiać. Lepiej wyciągać wnioski z cudzych doświadczeń niż na sali operacyjnej.

Drodzy czytelnicy, drogie czytelniczki, bądźcie mądrzejsi i mądrzejsze ode mnie. Zanim zaczniecie biegać, pójdźcie do mądrego trenera przygotowania motorycznego. A po takiej wizycie pewnie przestaniecie skupiać się na bieganiu. Istnieją ciekawsze aktywności. Ale wracając do popełnianych przez nas błędów: do czego może doprowadzić w skrajnych przypadkach nadmierny trening?
Przede wszystkim do urazów przeciążeniowych. To nie są nagłe, spektakularne kontuzje, tylko efekt długotrwałego przekraczania możliwości adaptacyjnych organizmu. Tkanki przez pewien czas się bronią, ale jeśli obciążenie stale przewyższa ich zdolność regeneracji, w końcu pojawiają się ból i realne uszkodzenie. Najczęściej są to złamania zmęczeniowe, różnego rodzaju tendinopatie, przewlekłe zespoły bólowe czy stany zapalne tkanek miękkich.

Co to są tendinopatie?
To przewlekłe uszkodzenia ścięgien wynikające z przeciążenia. Dochodzi do mikrouszkodzeń włókien kolagenowych, z których zbudowane jest ścięgno. Organizm próbuje je naprawić, ale ścięgno jest strukturą słabo unaczynioną, z niewielką liczbą komórek – z natury przystosowaną do wytrzymywania dużych obciążeń, a nie do szybkiego gojenia.
Gdy proces przeciążenia trwa, ścięgno zaczyna się przebudowywać – często pogrubia się, zmienia swoją strukturę. Aby wspomóc naprawę, organizm wpuszcza do niego nowe naczynia krwionośne. Problem polega na tym, że razem z nimi wrastają zakończenia nerwowe. I wtedy pojawia się ból.
Z biologicznego punktu widzenia to bardzo mądry mechanizm. Jeśli jakaś struktura zaczyna się uszkadzać, ból ma nas zmusić do ograniczenia aktywności, żeby dać tkankom czas na regenerację. Dlatego tak ważne jest stopniowe zwiększanie obciążeń i uważne słuchanie sygnałów organizmu. Powtarzający się ból to sygnał ostrzegawczy – coś w rodzaju ręcznego hamulca bezpieczeństwa, który natura nam wbudowała.
Niestety wiele osób to ignoruje. Gdy zaczyna boleć ścięgno Achillesa czy kolano, sięgają po tabletki przeciwbólowe, żeby móc dalej trenować, zamiast zastanowić się, skąd ten ból się wziął. A prawda jest taka, że ból bywa naszym sprzymierzeńcem – informuje nas, że przekroczyliśmy granicę i trzeba coś zmienić, zanim dojdzie do poważniejszego uszkodzenia.

Gdybyś miała dać naszym czytelnikom i czytelniczkom jedną, najważniejszą radę?
Największym błędem sportowców amatorów nie jest to, że trenują za mało, tylko że wstydzą się odpoczywać.

Powtarzający się ból to sygnał ostrzegawczy – coś w rodzaju ręcznego hamulca bezpieczeństwa, który natura nam wbudowała.

Więcej na ten temat przeczytasz lub wysłuchasz na **magazynpismo.pl/sport**

eprasa.pl cab18af919

Rosalía – między flamenco a operą

tekst JAKUB KNERA

OBDARZONA NIEPOWTARZALNYM głosem Rosalía, 33-latka z Hiszpanii, pokazuje, że granice w muzyce pop dla niej nie istnieją. Flamenco łączy z trapem, klasyczną operę z elektroniką, a jej najnowszą płytę można odbierać zarówno jako opowieść o złamanym sercu, jak i teologiczną inkantację.

Do Baru Mlecznego Rusałka wchodzi się prosto w brzęk talerzy, zapach zupy pomidorowej i smażonego schabowego. Właśnie tam, między boazerią a kafelkami pamiętającymi minioną epokę, pojawiła się Rosalía. Wizytę, z krótkim opisem historii barów mlecznych, zrelacjonował Tapas – popularny w Hiszpanii portal kulinarny – przypominając, że niedrogie *bares de leche* powstały w Polsce u schyłku XIX wieku dla robotników, pracujących w zakładach bez stołówek, ale też by wyżywić ubogie społeczeństwo.

14 października 2025 roku na instagramowym koncie artystki pojawiły się: pomidorowa z makaronem, barszcz oraz kotlet schabowy z ziemniakami i kapustą. Schabowego Rosalía złapała w rękę, trochę jak zdobycz. Wpatrując się prosto w obiektyw, zdawała się mówić do niemal 27 milionów obserwujących ją osób: „Patrzcie, gdzie jestem – zgadujcie, co tu zrobiłam".

Do dziś post Rosalíi zebrał milion polubień i 8 tysięcy komentarzy, także polskich fanów i fanek, którzy z dumą reagowali na wizytę artystki w tak prozaicznym miejscu. Obsługa – jak relacjonowały później media – początkowo nie zorientowała się, kim jest. Rosalía w Warszawie była „po prostu klientką". Bez czerwonego dywanu, bez błysku fleszy, ubrana jak zwyczajna dziewczyna. Tylko przykryty szklaną taflą obrus, sztućce i danie dnia. W Rusałce, miejscu, które nie pojawia się w modnych przewodnikach, wydarzyło się coś symbolicznego: globalna pop diwa zetknęła się z kwintesencją lokalności. Bez egzotyki i dystansu. Szczerość i zwyczajność. *Sacrum i profanum*. Cała Rosalía.

GDY PÓŹNIEJ w teledysku do *Berghain* zobaczyliśmy Warszawę służącą jako tło wewnętrznej przemiany Rosalíi, stało się jasne, że wizyta w barze mlecznym to pierwszy kadr większej historii. Obraz wyreżyserowany przez Nicolása Méndeza, zdobywcę Latynoskiej Nagrody Grammy za najlepsze krótkometrażowe wideo muzyczne w 2020 roku, został pomyślany jako wizualny prolog czwartego studyjnego albumu artystki, *LUX*. Wiele mediów na całym świecie, w tym „The Guardian" i portal The Quietus, uznało zarówno klip, jak i sam utwór za najlepsze w 2025 roku.

Główna bohaterka teledysku to kobieta ze złamanym sercem. Widzimy ją najpierw w mieszkaniu. Towarzyszy jej Warsaw Impressione Orchestra (na albumie partie do utworu zarejestrowała London Symphony Orchestra): w łazience, gdy pierze, w pokoju, gdy prasuje – przy najzwyklejszych domowych obowiązkach, jakby muzyka była nierozerwalnie związana z jej stanem psychicznym. Ten motyw bezpośrednio przywołuje film *Trzy kolory: Niebieski* Krzysztofa Kieślowskiego, w którym bohaterkę graną przez Juliette Binoche prześladuje muzyka – nie jako tło, lecz jako autonomiczny język emocji. W filmie polskiego reżysera kompozycje Zbigniewa Preisnera są głosem pamięci i bólu, którego nie da się wyciszyć. Podobnie w *Berghain* słyszymy chóralnie zaśpiewany po niemiecku tekst:

Seine Angst ist meine Angst
Seine Wut ist meine Wut

eprasa.pl cab18af919

rysunek PATRYK MOGILNICKI

eprasa.pl cab18af919

JAKUB KNERA, dziennikarz i kurator. Twórca Noweidzieodmorza.com. Publikuje w The Quietus, „Polityce", Dwutygodniku, Mint Magazine i Radiowym Centrum Kultury Ludowej. Współzałożyciel Fundacji Palma, współorganizator Sea You 3City Music Showcase.

Seine Liebe ist meine Liebe
Sein Blut ist mein Blut
(„Jego strach jest moim strachem
Jego gniew jest moim gniewem
Jego miłość jest moją miłością
Jego krew jest moją krwią")

Orkiestra materializuje wewnętrzne napięcie. Momentami wygląda to surrealistycznie, bo muzycy ledwo się mieszczą wokół wokalistki. Rosalía cytuje słynną scenę z filmu Krzysztofa Kieślowskiego z kostką cukru zanurzaną w kawie, przejmując od polskiego reżysera ideę muzyki jako wewnętrznego, nieusuwalnego impulsu emocjonalnego. Potem wychodzi na warszawską ulicę, jedzie autobusem (a orkiestra razem z nią). Trafia do gabinetu lekarskiego, w którym poddaje się badaniu EKG. Odwiedza jubilera, jakby próbowała naprawić pęknięte serce. Rzemieślnik bezradnie rozkłada ręce.

Warszawa jest pokazywana przez zwykłe miejsca, ale jednocześnie poprzez znaki wysokiej kultury i katolickiej ikonografii. Krzyże w przestrzeni, detale przypominające o religijnej tradycji, zestawione z miejską codziennością, tworzą napięcie między *sacrum* a *profanum*. Ta gra kontrastów odpowiada założeniu całego projektu *LUX*. Warstwa kostiumowa wprowadza kolejną płaszczyznę znaczeń. Rosalía nosi stroje Alexandra McQueena, Givenchy czy Balenciagi z przełomu XX i XXI wieku. W jednym z ujęć widzimy jej sandały zrobione z różańca.

W drugiej części teledysku *Berghain* znika realizm mieszkania, gabinetu lekarskiego i ulicy, a pojawia się świat rodem z baśni. Artystka ma włosy przewiązane czerwoną wstążką – to detal ikoniczny dla disneyowskiej wersji *Królewny Śnieżki*. Pojawiają się zwierzęta, które reagują na jej obecność jak w klasycznej animacji: nie są zagrożeniem, lecz towarzyszami. W filmie Disneya scena w lesie ma w sobie coś z koszmaru – drzewa wyciągają gałęzie jak ręce, przestrzeń się deformuje, świat staje się projekcją lęku bohaterki. U Rosalíi podobny efekt został osiągnięty światłem i kadrowaniem: atmosfera jest chłodna, niepokojąca, momentami niemal gotycka; z oczu sarny cieknie krew. To nie bezpieczny las, tylko miejsce inicjacji.

W disneyowskiej narracji Śnieżka jest niewinna i reaktywna – w klipie Rosalía nie przypomina księżniczki czekającej na ratunek, przejmuje kontrolę nad obrazem. Jej spojrzenie jest świadome, obecność – silna. Nicolás Méndez dokonuje reinterpretacji kobiecych archetypów: od służebnej i niewinnej do autonomicznej, przechodzącej własny rytuał przemiany. Wbrew powszechnemu odczytaniu tytuł *Berghain* wcale nie odnosi się do berlińskiego klubu o tej nazwie, słynącego ze starannej selekcji, jednego z najważniejszych miejsc muzyki elektronicznej na świecie. Słowo w języku niemieckim oznacza „górski gaj". „To las myśli, w którym można się zgubić" – skomentuje w wywiadzie dla wiosennego wydania magazynu „Vogue" artystka.

Berghain to najbardziej gwałtowny utwór albumu, na którym poza hiszpańską gwiazdą i londyńską orkiestrą słychać także Björk i Yves'a Tumora. Działa jak uderzenie obuchem w twarz.

—

W DZIECIŃSTWIE Rosalía Vila Tobella nie lubi swojego imienia. Jak wspomina w tekście opublikowanym na platformie blogowej Substack, woli być Marią, Heleną, Paulą, Sandrą – kimkolwiek innym. Imię wydaje jej się zbyt oryginalne, zbyt ciężkie. Z czasem to się zmieni.

Ze swojego dzieciństwa pamięta babcię Lucrecię, która w dniu urodzin wsuwa jej do kieszeni banknot – trochę po kryjomu, jakby to był ich mały sekret. Skóra babci jest miękka, pachnie pudrem i perfumami przypominającymi Chanel No. 5, choć zostały kupione w zwykłej drogerii. Na jej dłoniach wyraźnie rysują się żyły. Ten gest ma w sobie czułość i rytuał, który powtarza się co roku. Urodziny w jej domu nie istnieją też bez ciast. Jej druga babcia, Rosalía, po której przyszła piosenkarka otrzymuje imię, co roku jeździ do francuskiej miejscowości Caussade. Przywozi stamtąd *gâteau breton* ze śliwkami i orzechami, zapakowane w drewniane pudełko.

Rosalía dorasta w miasteczku Sant Esteve Sesrovires na obrzeżach Barcelony. Nieustannie biega po lesie – jej rodzinne okolice to miejsce z jednej strony otoczone naturą i zielenią, z drugiej widać przemysłowy krajobraz fabryk. W jej domu flamenco nie jest czymś powszechnym. Nikt nie gra na instrumentach ani nie jest zawodowo związany z muzyką. Matka, Pilar, prowadzi małą firmę produkującą metalowe tabliczki i plakietki. Ojciec, José Manuel, pracuje w budownictwie przemysłowym. Rodzina funkcjonuje w rytmie pracy związanej z fabrykami i konstrukcjami, nie z artystycznym środowiskiem.

Ale to nie znaczy, że muzyki nie ma wcale – w weekendy w domu słychać Davida Bowiego, Queen i Prince'a. Matka włącza Rosalíi także Kate Bush – na początku nie docenia tej muzyki, ale z czasem zaczyna

Pismo.

Wybór zagraniczny

Co w prasie zagranicznej zaciekawiło MARCINA CZAJKOWSKIEGO, redaktora i *fact-checkera* „Pisma"?

Zeskanuj QR kod lub wejdź na magazynpismo.pl/wybor-zagraniczny i zapisz się do newslettera.

eprasa.pl cab18af919

rozumieć jej emocjonalną głębię. Jedna z piosenek, opowiadająca o porozumieniu z Bogiem, zawsze ją wzrusza i doprowadza do łez. Chodzi oczywiście o *Running Up That Hill*. „Muszą istnieć inne sposoby tworzenia muzyki pop. Björk to udowodniła, Kate Bush to udowodniła" – powie w październiku 2025 roku Joemu Coscarelliemu i Jonowi Caramanice w wywiadzie dla „New York Timesa". Rosalía dorasta w świecie, w którym flamenco ciągle pojawia się w jej najbliższym otoczeniu. Już jako małe dziecko ma w sobie naturalną potrzebę śpiewania i tańczenia. Chodzi po domu, nuci, porusza się w rytmie melodii, jakby instynktownie szukała ekspresji. Aż w końcu pojawia się *duende*.

We flamenco *duende* oznacza tajemniczą, niewytłumaczalną zdolność poruszania emocji słuchających osób – siłę, która sprawia, że śpiew staje się czymś więcej niż tylko dźwiękiem. Rosalía w swoim życiu kilka razy doświadcza *duende*.

Pierwsze wydarza się, gdy ma siedem lub osiem lat. Podczas rodzinnego spotkania ojciec prosi ją, by zaśpiewała. Dziewczynka zamyka oczy i wykonuje prostą piosenkę, której nauczyła się z telewizji. Sama uważa ją za zupełnie niepozorną. Kiedy kończy i otwiera oczy, widzi, że wszyscy są poruszeni, cała rodzina płacze. W tamtym czasie nie rozumie, dlaczego tak się dzieje, ale to doświadczenie staje się jednym z pierwszych sygnałów, że muzyka może być jej życiową drogą. W wieku dziewięciu lat rozpoczyna lekcje gry na gitarze. Poznaje kompozycje Paco de Lucíi, jednego z największych mistrzów flamenco, które wchodzi do jej edukacji muzycznej bocznymi drzwiami.

Sceny z życia Rosalíi widać w jej teledyskach. Kierowcy ciężarówek w *Pienso en tu mirá* to ukłon w stronę rodzinnego miasta, otoczonego magazynami i fabrykami samochodów. A podrasowane, importowane auta w *Malamente* to otoczenie, w jakim jako nastolatka spędza popołudnia w parku ze znajomymi. Szeroko otwarte drzwi Hond, głośna muzyka, słuchają flamenco. W takiej scenerii – kiedy ma 13 lat – wydarza się drugie *duende*.

Słyszy głos Joségo Monge Cruza znanego jako Camarón de la Isla, legendarnego cantaora (to andaluzyjskie słowo określające wykonawcę flamenco). Jego śpiew dobiega donośnie z samochodowego radia kolegi, a Rosalía myśli, że to jeden z najbardziej prawdziwych głosów, jakie kiedykolwiek słyszała. To przeżycie sprawia, że chce studiować flamenco. Słucha albumów Camaróna, śpiewa razem z nagraniami, uczy się intuicyjnie. Flamenco staje się jej światem.

—

UDZIAŁ w *Tú Sí Que Vales* (*Jesteś tego warty/warta*) trudno nazwać *duende*, ale na pewno jest momentem przełomowym, chociaż w inny sposób, niż można byłoby to sobie wyobrazić. To hiszpański talent show, w którym Rosalía bierze udział w wieku 15 lat, bo wie, że to jedyna droga do show-biznesu. „Jestem pewna, że zostanę artystką" – mówi na wizji. Na scenę wychodzi w butach na szpilkach, obcisłych dżinsach i podkoszulku bez rękawów. Gra na gitarze akustycznej, z medalionem Matki Boskiej na szyi. Śpiewa *Como en un Mar Eterno* Hanny, flamenco w bardziej soulowej odsłonie. Sędziowie wyglądają na znudzonych. Jeden z nich mówi, żeby „pokazała więcej charakteru i więcej głosu – tu i teraz", więc dziewczyna spontanicznie śpiewa *No One* Alicii Keys. Przechodzi dalej, ale odpada z programu przed finałem. Trzynaście lat później podczas 62. ceremonii rozdania nagród Grammy Keys przedstawi ją jako „hiszpańską sensację, która budzi świat". Sama Rosalía w wywiadzie dla „New York Timesa" w 2025 roku powie, że są dwa rodzaje pewności: pierwsza nastawiona na sukces i druga – na brak strachu przed porażką. Dlatego nieobecność w finale *Tú Sí Que Vales* nie kończy jej przygody z muzyką.

W wieku 8 lat Rosalía podczas rodzinnego spotkania wykonuje prostą piosenkę, której nauczyła się z telewizji. Kiedy kończy i otwiera oczy, widzi, że cała rodzina płacze. To doświadczenie staje się jednym z pierwszych sygnałów, że muzyka może być jej życiową drogą.

Po udziale w talent show dowiaduje się, że istnieje ktoś, kto może wyszkolić ją na prawdziwą cantaorę – José Miguel Vizcaya znany jako El Chiqui de la Línea. Pochodzi z Kadyksu, z tej samej części Andaluzji co Camarón. Jego ojciec śpiewał flamenco w barach i na prywatnych spotkaniach, a on sam zaczął występować jako młody człowiek. W latach 70. podpisał kontrakt z Los Tarantos, jednym z najstarszych barcelońskich klubów flamenco, gdzie w szczycie sezonu śpiewał nawet cztery razy dziennie. Od 2002 roku uczy w prestiżowej Escola Superior de Música de Catalunya w Barcelonie, która zwykle przyjmuje tylko jednego studenta rocznie na specjalizację ze śpiewu flamenco. Prowadzi także zajęcia w Taller de Músics – szkole, do której mogą zapisać się nastolatki.

Flamenco okazuje się dla Rosalíi sztuką wymagającą bezwzględnej dyscypliny: gatunkiem o setkach lat historii, ściśle skodyfikowanym, brutalnym technicznie, traktującym tradycję jak coś świętego. „Uczyć się flamenco oznacza przełknąć własną dumę" – powie później Philipowi Sherbourne'owi w rozmowie dla portalu Pitchfork.

Pojawia się jednak problem. Lata entuzjastycznego, niekontrolowanego śpiewania uszkodziły jej struny głosowe. W wieku 17 lat nie potrafi już poprawnie wydać z siebie dźwięku. Lekarze zalecają operację, po niej czeka ją rok rehabilitacji. Przez miesiąc nie może nawet mówić – doświadcza ciszy, którą porównuje do postu. Podczas rekonwalescencji zadaje sobie pytanie, co może z tego wynieść. Kiedy odzyskuje głos, zaczyna rozumieć wagę techniki. Śpiewa z lękiem, bo nie chce ponownie uszkodzić strun.

Gdy 18-letnia Rosalía staje przed El Chiquim z raportem lekarskim w ręku, on przeprowadza swój standardowy wywiad. Pyta, co lubi we flamenco, ile go słuchała, czy jej rodzina śpiewa, jaki repertuar wykonuje. Następnie każe jej zaśpiewać flamenco, jazz i pop. W ten sposób tworzy „profil diagnostyczny" uczennicy. Szybko odkrywa, że Rosalía jest kompletną amatorką – jedyną rzeczą, którą zna z czystego flamenco, jest Camarón. Ona sama przyznaje, że nie wie nic. I właśnie dlatego El Chiqui uczy ją wszystkiego.

Artysta szkoli ją w improwizacji melizmatów – ozdobników polegających na

eprasa.pl cab18af919

prowadzeniu wielu nut na jednej sylabie tekstu. Rosalía ćwiczy je tak długo, aż jej śpiew zaczyna brzmieć jak flamenco: staje się pełny napięcia, emocji i bólu. Melizmaty nie są zapisane w nutach – cantaorzy muszą trenować ucho. El Chiqui uczy ją rozkładać je nuta po nucie, aż potrafi odtworzyć nagrania, które daje jej do pracy. Mentor dostrzega w niej „idealne ucho" i jej niezwykłą pamięć. Utwory, których nauczenie się przeciętnej studentce zajmuje miesiąc, Rosalía opanowuje w tydzień. Mówi o niej *tremenda* – niesamowita.

W 2011 roku, gdy ma 19 lat, Rosalía przechodzi Drogę Świętego Jakuba, popularny szlak pielgrzymkowy wiodący przez północną Hiszpanię do katedry w Santiago de Compostela. Chociaż jej najbliższa rodzina nie jest pobożna, ona od zawsze uwielbia rytuały katolicyzmu, zwłaszcza śpiew. Podczas samotnej, trwającej około 33 dni pielgrzymki medytuje nad swoim celem, jakim jest zostanie profesjonalną artystką. Myśli, że jeśli uda się jej przejść tę drogę od początku do końca, będzie to znakiem, żeby poświęcić się muzyce. Przechodzi.

—

KIEDY EL CHIQUI przestaje uczyć w Taller de Músics, Rosalía aplikuje do Escola Superior de Música de Catalunya, by móc podążyć za nim dalej. W 2014 roku zostaje przyjęta jako jedyna studentka specjalizująca się w śpiewie flamenco w tym naborze. Równolegle z nauką przez pewien czas rozważa nagranie płyty na wskroś w stylu flamenco w hołdzie dla Pastory Pavón Cruz, znanej jako La Niña de los Peines – najważniejszej cantaory XX wieku. Ostatecznie jednak porzuca ten pomysł i wybiera ryzyko: eksperymentuje. Pierwsze dwa albumy – *Los Ángeles* i *El Mal Querer* – są jak dwa zupełnie różne akty tej samej historii. Oba zakorzenione we flamenco, ale każdy na innym biegunie: jeden surowy, niemal ascetyczny, drugi konceptualny i eksplodujący nowoczesnością.

Los Ángeles, album z 2017 roku powstaje, gdy Rosalía jest jeszcze w konserwatorium. To płyta radykalnie prosta w założeniu: głos i gitara. Towarzyszy jej Raül Fernández Miró, znany jako Raül Refree – były muzyk punkowy, którego fingerpicking na albumie bywa celowo brudny, zniekształcony, przepuszczony przez delay (efekt gitarowy, który sprawia, że grany na instrumencie akord wraca po chwili jak echo, nadając brzmieniu przestrzeń i głębię), jakby flamenco miało przejść przez burzę. Repertuar obejmuje tradycyjne pieśni flamenco o śmierci, wygnaniu, ubóstwie i niespełnionej miłości, a także zaskakującą reinterpretację *I See a Darkness* Bonniego „Prince'a" Billy'ego. Oszczędna, brutalna, pełna melancholii płyta. Zamiast telewizyjnego talent show i szybkiej drogi do popu skupienie na tradycji i emocjonalnej surowości.

El Mal Querer to obrót o 180 stopni. Album, który stał się pracą dyplomową artystki, wyrasta z XIII-wiecznej oksytańskiej powieści *Flamenca* – historii o toksycznej miłości, kontroli i kobiecej emancypacji. Rosalía przekłada średniowieczny tekst na współczesny język emocji, rozpisując płytę na rozdziały jak literacką narrację. Współprodukowany z El Guincho – hiszpańskim muzykiem, wokalistą i producentem – album łączy rytmy i ornamentykę klasycznego flamenco z R&B, hip-hopem i elektroniką. Pojawiają się na nim buzujące syntezatory basowe, sample tłuczonego szkła, auto-tune, reggaetonowy puls. Płyta zdobywa Grammy w kategorii Najlepszy latynoski album rockowy lub alternatywny i Latynoskie Grammy w kategorii Album roku, a singiel *Malamente* trafia na szczyty list przebojów w Hiszpanii.

Dzięki Rosalíi młodsze pokolenie Hiszpanów, które dotąd kojarzyło flamenco z muzyką dziadków, zaczyna postrzegać je jako coś świeżego. Na zarzuty dotyczące jej podejścia do gatunku Rosalía mówi, że dla niej tradycja nie jest relikwią pod szkłem, lecz żywym organizmem.

Rosalía wprowadza flamenco do popkulturowego mainstreamu nie tylko muzycznie, ale też wizualnie: dramatyczne falbany, czerwone paznokcie, gesty dłoni zaczerpnięte z tańca – wszystko to stało się częścią globalnej estetyki. Ale nie wszystkim się to podoba.

—

FLAMENCO TO ekspresyjna tradycja muzyczna, która powstała w Andaluzji w południowej Hiszpanii i została ukształtowana przez wpływy romskie i mauretańskie. Filolożka Araceli Cañadas Ortega, prowadząca na Uniwersytecie w Alcalá kurs poświęcony kulturze romskiej, pisze na portalu Educa Tolerancia: „Powstanie flamenco wiąże się z Wielką Obławą z 1749 roku. Ferdynand VI skazał na śmierć wszystkich Romów, którzy zostali złapani poza swoją dzielnicą. Aby przetrawić swój strach i ból, wyrażali się poprzez flamenco. Pierwsze teksty flamenco mówią o kopalniach, więzieniach, galerach i statkach, które były miejscami pracy Romów".

Flamenco składa się z trzech podstawowych elementów. Pierwszy stanowi *cante jondo* – głęboka pieśń, styl wokalny znany z intensywnej głębi emocjonalnej. Drugi, *palmas*, to rytmiczne i złożone klaskanie. Ostatnim jest *baile* – ekspresyjny taniec charakteryzujący się skomplikowaną pracą nóg, dramatycznymi gestami i mocnymi ruchami, które odzwierciedlają emocjonalną intensywność muzyki.

Rosalía dowiaduje się, że nauka flamenco wymaga lat, ponieważ melodie potrafią w jednej frazie przechodzić od skali durowej do frygijskiej. Ta pierwsza to podstawowa skala zachodniej muzyki klasycznej i popowej – brzmi jasno i stabilnie. Druga należy do dawnych skal modalnych – jest pełna napięcia, brzmi bardziej mrocznie i surowo. Przez dziesięciolecia flamenco było dominującą siłą w muzyce hiszpańskiej. Jednak na początku XX wieku w dużej mierze straciło popularność jako zbyt tradycyjne i niszowe dla współczesnej publiczności. Tak było do momentu, gdy Rosalía ponownie wprowadziła je do mainstreamu w sposób, który sprawił, że stało się ono zarówno innowacyjne, jak i aktualne.

Nie była pierwsza. Camarón de la Isla w latach 70. nagrał kilka albumów z gitarzystą Paco de Lucíą. To czyste flamenco: śpiew, gitara, *palmas*. Ale w 1979 roku cantaor zerwał współpracę z muzykiem, aby nagrać album *La Leyenda del Tiempo* inspirowany

eprasa.pl cab18af919

POEZJA

Zbiera się na kłopoty

A.E. STALLINGS

—

Zawsze na kłopoty zbiera się na Wschodzie,
By to wiedzieć, wieszczki nie trzeba zatrudniać,
Żółty piach niezgody nabiera tam mocy
Dzięki groźnym wiatrom wiejącym z Południa,
Zawsze się mocarstwa znajdą na Zachodzie,
A mrok okupacji nadciąga z Północy,
Bezpieczeństwa kupić nie można, udaje
Się jedynie Pokój na krótko wziąć w najem.

Stawiamy pomniki, by z Klęsk robić święta,
Z tego, co groziło i jest już za nami,
Lub co się raz stało, by ciągle pamiętać,
Przejąć się raz jeszcze wieszczymi werblami,
Po to by amnezja, ślepa, głucha, niema,
Odeszła w niepamięć, gdzie gróźb jeszcze nie ma.

przełożył Janusz Solarz

instytut kultury miejskiej

europejski poeta wolności

Partnerem poezji jest **Instytut Kultury Miejskiej** w Gdańsku, organizator festiwalu i nagrody Europejski Poeta Wolności oraz wydawca towarzyszącej im serii poetyckiej. Nagrodę Europejski Poeta Wolności ufundowało Miasto Gdańsk.

A.E. STALLINGS

amerykańska poetka, tłumaczka i eseistka od wielu lat związana z Europą. Jej pierwszy zbiór wierszy, *Archaic Smile* (1999) zdobył nagrodę im. Richarda Wilbura. W 2023 roku – jako druga kobieta w historii – została wybrana na stanowisko profesora poezji w Katedrze Poezji Uniwersytetu w Oksfordzie. Wiesz pochodzi z tomu *Druga strona detalu*, który znalazł się w finale tegorocznej edycji nagrody Europejski Poeta Wolności.

eprasa.pl cab18af919

rockiem progresywnym. Wywołał skandal w kręgach flamenco – podobny do tego, jaki wybuchł po przejściu Boba Dylana na gitarę elektryczną podczas Newport Folk Festival. Camarón i de Lucía pogodzili się, nagrywając kilka wspaniałych albumów w latach 80., ale napięcia między zwolennikami czystego flamenco a fuzjonistami nigdy nie zniknęły. Dlatego w historię Rosalíi musi wkroczyć folkowa policja.

Chociaż to oczywiście żartobliwe określenie, folkowa policja jest wszędzie – w każdym mieście, wiosce, metropolii, tam, gdzie ktoś sięga po tradycje muzyczne i reinterpretuje je inaczej niż w oryginale. Jej funkcjonariusze twierdzą nawet, że granie muzyki tradycyjnej niezgodnie z oryginałem sprawia, że nie ma już ona nic wspólnego z tradycją. Pilnują wiernego odtwarzania szczegółów, niewychodzenia poza wyznaczony szlak. Działają w Hiszpanii, Irlandii, we Francji, Włoszech, widziałem też takich w Polsce. Wkraczają do akcji wszędzie tam, gdzie ktoś inkorporuje elementy kultury tradycyjnej na swój sposób, uważając, że rytm, instrument czy melodie można pokazać w nowym kontekście, zestawić z innymi gatunkami albo uwspółcześnić. Tak jak robi to Rosalía.

Jej pierwsze płyty, zwłaszcza *El Mal Querer* z 2018 roku, wywołały burzę w mediach i środowiskach akademickich, które zaczęły zadawać pytania: „Czy należy uwspółcześniać tradycję?"; „Czy można inkorporować elementy obce dla własnej kultury?"; „Jak bardzo trzeba znać kontekst?"; „Czy można łączyć elementy muzyki tradycyjnej z innymi gatunkami muzycznymi?". Rosalía jeszcze nie wydała trzeciej płyty, *Motomami*, dopiero za osiem lat ukaże się *LUX*, ale to istotne, żeby już w tym momencie zobaczyć jej postmodernistyczne podejście do żonglowania gatunkami i wyłamywania się z tradycji. Folkowa policja wzywa świadków!

James Parker, dziennikarz miesięcznika „The Atlantic": „Rosalía wchłonęła nastrój i strukturę niemożebnie starego romskiego bluesa w swój połyskliwy, XXI-wieczny pop. Polirytmiczne klaskanie, dzikie, melizmatyczne wokale, skale frygijskie – wszystko to jest u niej obecne, tuż obok trapowych beatów i futurystycznych brzmień".

Alberto García Reyes, krytyk muzyczny piszący dla katalońskiej gazety „ABC de Sevilla": „Jej piosenki bezpośrednio nawiązują do utworów z tradycji flamenco, ale są reinterpretowane poza podstawowymi zasadami gatunku. Rosalía to nie cantaora, tylko co najwyżej flamenkizująca piosenkarka. Jej sztuczka polega na eliminacji charakterystycznego dla gatunku napięcia rytmicznego i skupieniu się wyłącznie na melodiach".

Luis Abascal, dziennikarz portalu El Plural: „W teledysku do *Malamente* możemy dostrzec parę zapożyczeń kulturowych (...) – obrazy przywołujące walki byków, chłopak w stroju typowym dla Wielkiego Tygodnia jadący na deskorolce, a wszystko to w aurze fajnego chuligaństwa i kultury dresowej".

Rosalía śpiewa na płycie w 13 językach, opowiadając o relikwiach i złamanym sercu, sięgając do historii świętych i mistyczek. LUX *można odbierać jako teologiczną inkantację, ale też osobistą historię o końcu miłości.*

Noelia Cortés, aktywistka działająca na rzecz Romów cytowana w artykule dziennikarki Loreny G. Maldonado na portalu El Español: „Rosalía czerpie motywy z innych kultur (...) i wykorzystuje je jak ktoś, kto dokleja sobie sztuczne rzęsy. Dzięki swoim rasowym i ekonomicznym przywilejom może się ubierać jak ktoś z biednej dzielnicy czy marginalizowanej społeczności, nie doświadczając tego, co ludzie, którzy rzeczywiście żyją w ten sposób".

Rafael Buhigas, również cytowany przez Maldonado historyk Romów: „Wiele osób dopytuje: a co z [Federikiem Garcią – przyp. red.] Lorcą, co z Paco de Lucią, czy oni nie przywłaszczali sobie flamenco? Tyle że oni żyli wśród Romów, poświęcili swoje życie Romom i byli przyjmowani przez nich jak swoi. Okazywali niezbędny szacunek, który nie jest tym samym, co szacunek kobiety niebędącej Romką, która wykorzystuje cechy estetyczne, aby się wypromować".

José Heredia, socjolog społeczności romskiej w wywiadzie dla dziennika „El País": „Rosalía nie posługuje się *caló* [mieszanką języka romskiego i hiszpańskiego – przyp. red.]. Jej naśladowanie symboli romskich jest obraźliwą kpiną. Flamenco jest związane z romską społecznością od samego początku. Z tego powodu wszystkie elementy, które łączą się z tą sztuką, w tym język, stanowią dla Romów bardzo silnym znakiem tożsamości. (...) Rosalía używa słowa *undevel*, które w języku *caló* oznacza Boga. Za wypowiadanie tego słowa, my, Romowie, byliśmy prześladowani przez 500 lat".

Noelia Cortés: „Flamenco cierpi z powodu pewnego rodzaju instytucjonalnego rasizmu, który wybiela tę formę sztuki i sprzedaje ją jak kawałek mięsa zawinięty w folię. Historia rasizmu wobec Romów, z którymi flamenco jest ściśle powiązane, nie podlega dyskusji".

Luis Abascal: „Dlaczego Rosalía nie może czerpać z innych kultur? Czy trzeba być Romem, aby docenić wartości tej kultury? (...) Czy *Malamente* naprawdę sprawia, że represje wobec Romów stają się niewidoczne, oferując elementy ich muzyki mainstreamowej publiczności? Czy nie taka jest historia muzyki? Czy Manu Chao to zawłaszczanie? A Amy Winehouse?"

James Parker: „W 1979 roku (...) Camarón, w przeciwieństwie do Rosalíi, działał z wnętrza tradycji, sięgając na zewnątrz. (...) Rosalía – niebędąca Romką i pochodząca z północy Hiszpanii, a nie z południa – została, jak można było przewidzieć, oskarżona o zawłaszczenie kultury. Bardziej interesujące jest pytanie, czy można skomercjalizować *duende* – czy można włączyć wielowiekowe napięcie neuronowe flamenco do projektu popowego".

Na zarzuty dotyczące jej podejścia do gatunku Rosalía odpowiada, że we flamenco istnieje ścisła kodyfikacja i wielu ludzi uważa, że nie wolno od niej odchodzić, ale dla niej tradycja nie jest relikwią pod szkłem, lecz żywym organizmem. Wkrótce inni artyści, tacy jak C. Tangana czy María José Llergo, za jej przykładem decydują się na podobne połączenia. Młodsze pokolenie Hiszpanów, które dotąd kojarzyło flamenco z muzyką dziadków, zaczyna postrzegać je jako coś świeżego.

eprasa.pl cab18af919

—

DLA ROSALÍI ważny jest sposób pracy. Oba albumy nagrała w dużej mierze samodzielnie, zanim podpisała kontrakt z Sony. W Hiszpanii, która wciąż podnosiła się po kryzysie 2008 roku, ta postawa bliska hasłu DIY, czyli *do it yourself* („zrób to sam"), miała wymiar niemal emancypacyjny. „Komponuję, produkuję, aranżuję – nie tylko wykonuję. Gram na klawiszach, gram na basie, robię wszystko. Koniec końców, to ja haruję do upadłego, zdzierając sobie palce" – podkreślała w rozmowie z Philipem Sherbournem. Ta niezależność stała się częścią jej artystycznego wizerunku.

Los Ángeles i *El Mal Querer* podłożyły fundament pod późniejsze eksperymenty – najpierw loopowe, nagrane bez gitar *Motomami*, a potem monumentalne, symfoniczne *LUX*. Droga Rosalíi od ascetycznego duetu głosu i gitary do wielojęzycznej opery z orkiestrą pokazuje, że jej relacja z tradycją nie jest ani odrzuceniem, ani prostym przetworzeniem. To dialog. A czasem spór. I właśnie z tego napięcia rodzi się *duende*.

W popie nieczęsto zdarza się coś wyskakującego ponad powierzchnię, nieczęsto ktoś łamie przyjęty kanon. Z jednej strony są globalne diwy – Beyoncé, Dua Lipa, Lady Gaga, Madonna czy Taylor Swift – stawiające na rozmach. Z drugiej te, które wywodzą się z undergroundu i dokonują innowacji, jak Björk, Charli XCX czy właśnie Rosalía. To w sumie kanon sam w sobie.

Björk przeszła jedną z najbardziej radykalnych ewolucji w historii muzyki popularnej – od przygody z postpunkiem, poprzez łączenie trip-hopu, house'u i orkiestracji aż po eksperymentowanie z elektroniką i chóralną konstrukcją – by stać się artystyczną instytucją, która traktuje swoją konceptualną twórczość jako medium do badań nad naturą, technologią i intymnością. Charli XCX z kolei przedzierzgnęła się z blogowej, MySpace'owej outsiderki w jedną z najważniejszych architektek współczesnego popu. Zamiast iść w stronę wygładzonych pod radio piosenek, eksperymentuje z formą, jednocześnie pisząc chwytliwe refreny. Jej płyta *Brat* z 2024 roku brzmi jak klubowy manifest i jednocześnie jak prywatna rozmowa o pozycji kobiety w przemyśle muzycznym. Nie próbuje być ładna, tylko prawdziwa.

Na nagranej w 2022 roku *Motomami* Rosalía trochę jak Björk i Charli XCX rozmontowuje własny mit. Sprawdza, co z niego zostanie, kiedy wytnie korzenie, porzuci linearną narrację i wejdzie w świat czystej konstrukcji. Zamiast operowej dramaturgii dostajemy poszatkowaną formę, zamiast klasycznego flamenco – pętle, sample i surowe beaty. Rosalía symbolicznie zerwała z dotychczasowym brzmieniem. Gitara – rdzeń tradycji flamenco – została zastąpiona przez elektronikę, minimalizm i rytm. Struktura nie przypomina klasycznego albumu, lecz raczej strumień świadomości – przeskoki między estetykami są nagłe, często celowo brutalne. Reggaeton, gatunek muzyki tanecznej wywodzący się z Karaibów, z charakterystycznym pulsującym rytmem (zwanym dembow) sąsiaduje z jazzową harmonią – bardziej złożonymi akordami i subtelnymi

przejściami. Trap z wyrazistym, ciężkim basem łączy się z romantyczną melodią na gitarze, a eksperymentalny minimalizm z chwytliwą popową melodią.

Centralnym napięciem płyty jest jej tytułowy podział: *moto* kontra *mami*. Twardość i czułość. Maszyna i ciało. Agresja i delikatność. Rosalía gra tym kontrastem nie tylko muzycznie, ale też wizerunkowo. W jednym momencie brzmi jak klubowa prowokatorka, w innym wydaje się krucha i introspektywna. Ta dwoistość nie jest sprzecznością – podkreśla, że kobieca tożsamość nie musi być spójna, żeby być prawdziwa. Jest też ukryte dno: Rosalía wybrała tę nazwę, żeby uhonorować swoją mamę, która w dzieciństwie woziła ją po mieście motocyklem.

Motomami to także refleksja nad sławą i przemysłem muzycznym. Zamiast uciekać od mainstreamu, Rosalía wchodzi w niego i zaczyna nim sterować. Ironizuje na temat hitów, gra z własnym wizerunkiem i podważa oczekiwania wobec „latynoskiej gwiazdy", śpiewając w *Bizcochito*:

No basé mi carrera en tener hits
Tengo hits porque yo senté las bases
Ya no tengo nada más que decir
Pa' decirlo hace falta mucha clase
Mi piquete duro te marea
Hasta tu mamá lo tararea
(„Nie oparłam swojej kariery na przebojach
Mam przeboje, bo położyłam fundamenty
Nie mam już nic więcej do powiedzenia
Żeby to powiedzieć, potrzeba dużo klasy
Mój mocny styl przyprawi cię o zawroty głowy
Nawet twoja mama to nuci")

Jej wcześniejsze projekty były silnie zakorzenione w tradycji hiszpańskiej, teraz ciężar przesuwa się w stronę szeroko rozumianej kultury latynoskiej i karaibskiej. Reggaeton czy melodyjna bachata nie są dodatkami, stanowią trzon brzmienia *Motomami*. Płyta zdobyła Grammy i Latynoską Grammy, a jednocześnie stała się zjawiskiem kulturowym, pełnym cytatów, memów i wiralowych momentów.

Motomami to album o transformacji i życiu w ruchu. Rosalía udowadnia nim, że jej najważniejszym narzędziem nie jest mistrzostwo w konkretnym gatunku muzycznym, lecz zdolność do przemiany. I że w świecie, w którym wszystko próbuje nas zaszufladkować, ruch jest formą wolności.

—

W WYWIADZIE dla „New York Timesa" Rosalía mówi, że kiedy tworzy płytę, ważny jest dla niej cały album jako koncept, a nie jako zestaw piosenek – i to słychać. *LUX* uderza skalą. Słychać rozmach smyczków London Symphony Orchestra, aranżacje wziętej amerykańskiej kompozytorki Caroline Shaw czy liturgiczne tło Escolania de Montserrat, jednego z najstarszych chórów chłopięcych Europy. Klasyczne elementy są tu jednak nieustannie pożerane przez elektronikę. Ta monumentalność nie służy wyłącznie efektowi. *LUX* ma strukturę symfonii podzielonej

eprasa.pl cab18af919

na cztery części, choć rozwija się jak opera – z uwerturą, ariami, scenami chóralnymi i kulminacyjnymi ansamblami.

Bardzo mi zależało, żeby zetknąć się z *LUX* w wersji na winylu, z dwiema płytami, a więc czterema stronami do odsłuchu. Z jednej strony jest to powrót do sedna słuchania muzyki: nie skakania z utworu na utwór, tylko wejścia w rytm, zmianę strony, koncentrację na całym wydawnictwie. I kiedy sięgam po tę płytę, czuję to fizycznie – zupełnie inaczej odbiera się muzykę, kiedy słucha się jej w streamingu, a inaczej, gdy trzeba zmienić stronę i nagle uderza gęsty, pulsujący *Berghain*. Mam swoje *duende*.

Rosalía śpiewa na płycie w 13 językach, opowiadając o relikwiach i złamanym sercu, sięgając do historii świętych i mistyczek. Teresa z Ávili przemawia po hiszpańsku, Joanna d'Arc – po francusku, Klara z Asyżu – po włosku, Olga Kijowska – po ukraińsku, Hildegarda z Bingen – po niemiecku. Ale artystka, która studiowała ich dzieje, nie traktuje swoich bohaterek jak muzealnych figur. Fascynuje ją sposób, w jaki opisywały swoje doświadczenie Boga jako coś, co przenika ciało. W średniowiecznych tekstach mistycznych ekstaza bywała opisywana jako fizyczne doznanie, rozkosz, niemal ból. Rosalía dostrzega w tym autentyczną intensywność – coś, co dziś w popie często zostaje wygładzone. To duchowość pulsująca, nieuspokojona. Dlatego *LUX* można odbierać jako teologiczną inkantację, ale też album o złamanym sercu. U Rosalíi granica między jednym a drugim jest cienka.

W utworze *Reliquia* padają słowa: *Coge un trozo de mí/ Seré tu reliquia* („Weź kawałek mnie/ Będę twoją relikwią"), które przepisują ciało i pamięć na język sakralny. Inspiracja Teresą z Ávili – której serce stało się po śmierci relikwią – zostaje przetłumaczona na współczesne doświadczenie miłości jako czegoś, co zostawia w świecie materialny ślad.

W *Divinize* artystka śpiewa: *Pray on my spine, it's a rosary* („Módl się na moim kręgosłupie, to różaniec"). To jeden z najbardziej cielesnych obrazów płyty. Ascetyzm nie polega tu na odrzuceniu ciała, lecz na jego uduchowieniu. Mistyka nie jest ucieczką od erotyki, ale jej przekształceniem. Rosalía, jak Teresa, opisuje doświadczenie boskości przez metafory zmysłowe.

Napięcie, które powstaje między mistyką a cielesnością, między duchowością a pożądaniem, najlepiej opisuje skrót myślowy: Rosalía, jak sama wyznaje w utworze *Novia Robot,* jest *guapa para Dios* – „seksowna dla Boga". Ten na *LUX* nie jest chłodną ideą, lecz kimś, kogo pragnie się z intensywnością kochanka. Jakby pytała, czy oddanie nie przypomina czasem obsesji. W *Dios Es Un Stalker* Bóg zostaje opisany jak ktoś, kto nie odpuszcza. W utworze *La Yugular*, w którym sampluje wypowiedź Patti Smith, miłość płynie jak krew w tętnicy.

Podobnie w *Mio Cristo Piange Diamanti*, gdzie Chrystus staje się kimś dzikim, niepokornym, bardziej ukochanym niż bezgrzesznym bytem czy dogmatem. Inspiracja Klarą z Asyżu i franciszkańskim oddaniem zostaje przefiltrowana przez prywatną relację. Cierpienie zostaje oszlifowane w coś

lśniącego, ale nadal jest cierpieniem. Zresztą Rosalía burzy w tym utworze „czwartą ścianę" – ujawnia, że piosenka jest konstruktem, zwracając się do słuchaczy i słuchaczek, zamiast udawać, że piosenka istnieje w zamkniętym świecie emocji. W ten sposób przerywa iluzję i przypomina, że to, czego słuchamy, jest świadomie stworzoną formą. *That's gonna be the energy* („To będzie mocne uderzenie") – słyszymy jej głos w finale, komentujący to, co właśnie się wydarzyło. A my czujemy to z nią. Przypomina: to tylko muzyka, ale jednocześnie – aż muzyka, poczujecie *duende*. Czujemy.

„Moja siostra mówi, że moja muzyka to nie pop, ale ja sama jestem pop. Nie zgadzam się z nią" – oświadcza artystka w wywiadzie dla „New York Timesa". Bo wierzy, że pop może być inny niż ten, który dominuje, i ona chce to pokazać. *LUX* to popowa płyta, ale skonstruowana jak coś dużego i monumentalnego, a w dobie streamingu, playlist i radiowych singli rzadko jest na to miejsce. Jednocześnie są tu bangery, piosenki, które wpadają w ucho.

—

POD KONIEC LUTEGO, podczas gali Brit Awards 2026 wręczanych przez Brytyjski Przemysł Fonograficzny (na której dostała statuetkę w kategorii Międzynarodowy artysta roku), Rosalía udowodniła, że ma pomysł, jak wykonywać swoje utwory na żywo. Zaśpiewała operowo jak na płycie, w towarzystwie kilkudziesięcioosobowego chóru i tancerzy na tle ściany zbudowanej z głośników. Niespodziewanie na scenie pojawiła się także Björk, a finał *Berghain* zmienił się w transową imprezę techno.

W marcu artystka ruszyła w tournée po świecie, które obejmie łącznie 42 koncerty w 17 krajach. To jej pierwsza wielka trasa od czasu Motomami World Tour z 2022 roku. Czy LUX Tour będzie tak ekstrawagancka jak płyta i stanie się przeżyciem scenicznym przekraczającym standardowe ramy popowego koncertu? Szczęśliwcy będą mogli się przekonać. Polska nie jest na liście koncertów, ostatni raz Rosalía śpiewała u nas na festiwalu Open'er w 2019 roku. Ale ci, którym nie udało się zdobyć biletów, będą mogli ją zobaczyć jeszcze wcześniej, w domu – 12 kwietnia pojawi się w trzecim sezonie amerykańskiego serialu *Euforia*.

Rosalía nie przejmuje się oczekiwaniami branży i wytwórni – każdy jej album jest inny, zestawia ze sobą gatunki wedle uznania, nie chce spełniać oczekiwań. Podkreśla to w utworze *Novia Robot*. Śpiewa w nim o utracie podmiotowości w relacji: buduje obraz kobiety, która jest idealna, ale właśnie dlatego nieludzka (jak tytułowa dziewczyna robot) – zaprojektowana, by spełniać oczekiwania mężczyzn, nie sprawiać problemów. To jej komentarz zarówno do relacji romantycznej, jak i do sytuacji w show-biznesie. Jakby z tym samym, co w Barze Mlecznym Rusałka, zadziornym spojrzeniem, zdawała się mówić: „Robię, co chcę, i mam nad tym kontrolę".

eprasa.pl cab18af919

setka

rysunki KATARZYNA BELCZYK

KATARZYNA BELCZYK, rysowniczka, autorka projektu *potato face*: rysunków o nieradzeniu sobie (ig: potato_face_stories). Swoje prace pokazywała m.in. w Muzeum Karykatury i Lengrenówce. Autorka grafik do spektaklu *Lista Uchybień*. Z ogromną przyjemnością rysuje żarty obrazkowe do Magazynu „Pismo". Urodziła się i mieszka w Warszawie.

eprasa.pl cab18af919

fot. ROBERT GŁOWACKI

Kolekcja francuska, część II #12, *Marokańskie wakacje*

FAITH RINGGOLD

Malarstwo na tkaninie, 1997

Norton Museum of Art, West Palm Beach

eprasa.pl cab18af919

ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA, historyczka sztuki, kuratorka. Autorka audycji *Sztuka mniej obca* o sztuce zagranicznej w Programie 2 Polskiego Radia oraz audioserialu *Wszystko już było*, wyróżnionego w konkursie Podcast Roku 2025. Kuratorka takich wystaw jak *Po co wojny są na świecie. Sztuka współczesnych outsiderów* (MSN) i *Nie jestem już psem* (Muzeum Śląskie w Katowicach).

—

„Nie mogę uwierzyć, że nam się udało/ Za to jesteśmy wdzięczni" – to wyjątkowo skromne dwa wersy w piosence, która poza tym składa się z typowych rapowych przechwałek na temat stosów pieniędzy, odrzutowca w prezencie dla męża, szwajcarskich zegarków i uwielbienia fanów. Do historii popkultury utwór *Apeshit* z 2018 roku przeszedł za sprawą teledysku. Beyoncé, najlepiej wówczas zarabiająca w światowej muzyce kobieta, i jej mąż Jay-Z – czyli państwo Carterowie – występują w nim w salach paryskiego Luwru na tle takich arcydzieł, jak *Mona Lisa*, *Nike z Samotraki* czy *Tratwa Meduzy*. Obok ujęć ubranej jak spod igły *power couple* oglądamy spektakularne choreografie w wykonaniu czarnych tancerek w obcisłych kostiumach, perfekcyjnie dopasowanych do odcienia ich skóry.

Wpisanie czarnych ciał – w całej ich różnorodności – w kanon europejskiej sztuki wysokiej z jej kolonialnym dziedzictwem (choćby w *Koronację Napoleona* Jacques'a-Louisa Davida, symbol imperialnej władzy) pokazuje, że tym, co udało się małżeństwu Carterów, jest przede wszystkim wejście do elity, osiągnięcie statusu słuchanego głosu współczesnej kultury, podmiotu, który może opowiadać swoją historię na najważniejszych światowych salonach. Dwie dekady wcześniej amerykańska artystka Faith Ringgold wyobraziła sobie, że coś takiego w ogóle jest możliwe, w pracy *Tańcząc w Luwrze*, która otwiera jej monumentalny cykl malowanych patchworków pod tytułem *Kolekcja francuska*.

Ringgold (1930–2024) urodziła się w nowojorskim Harlemie w szczytowym momencie ruchu znanego dziś jako Renesans Harlemski. Był to czas niezwykłego rozkwitu literatury, sztuki, muzyki, teatru, mody i aktywizmu politycznego w społeczności Afroamerykanów. Po ukończeniu studiów z edukacji artystycznej (Wydział Malarstwa nowojorskiego City College nie przyjmował wtedy kobiet) włączyła się w działający pełną parą ruch praw obywatelskich. Protestowała wraz z Art Workers' Coalition w Museum of Modern Art przeciwko wykluczeniu czarnych artystów, a kiedy zorientowała się, że w efekcie tych działań tylko mężczyźni zostali dopuszczeni do stołu, zaczęła organizować ruch czarnego feminizmu. Od lat 70. tworzyła tzw. patchworki opowieści (*story quilts*) będące połączeniem tradycyjnych pikowanych kołder ze skrawków materiału z malarstwem historycznym oraz krótkimi opowiadaniami wpisanymi w ramy kompozycji. Zamiast opisywać wykluczenie, walkę i cierpienia, artystka skupia się w nich na tworzeniu alternatywnej historii Afroamerykanów.

Kolekcja francuska z lat 1991–1997 jest najpełniejszą manifestacją tej koncepcji. Opowiada historię fikcyjnej malarki, modelki i przedsiębiorczyni Willii Marie Simone, która wyrusza z Harlemu w latach 20. XX wieku, by z sukcesem podbić modernistyczne salony Paryża. Na 12 wielkoformatowych patchworkach Willia spotyka kluczowe postaci zachodniego modernizmu, takie jak Vincent van Gogh, Pablo Picasso, Henri Matisse czy Gertrude Stein. Spędza z nimi czas w trakcie malowania, spotkań towarzyskich, pozowania w charakterze modelki czy przyjmowania ich w prowadzonej przez siebie kawiarni. Równie ważne są postaci z czarnej społeczności, które Ringgold umieszcza w tej historii – zarówno te z przeszłości, na przykład XIX-wieczna abolicjonistka Sojourner Truth, jak i osoby współczesne autorce, choćby pisarz James Baldwin czy aktywistka Rosa Parks. Dzięki zderzeniu z artystami awangardy *alter ego* Ringgold odkrywa własną tożsamość czarnej kobiety artystki, świadomej swoich afrykańskich korzeni i znaczenia kultury jej przodków dla ukształtowania modernistycznego kanonu. W otwierającej cykl scenie tańca czarnych kobiet i dziewczynek naprzeciwko *Mony Lisy* i innych dzieł renesansu w Luwrze widzimy swobodę i całkowity brak kompleksów wobec „wielkiej tradycji" europejskiej sztuki. Nieco inny ton odnajdziemy w zamykającym serię patchworku *Marokańskie wakacje*. Finałowa scena rozgrywa się w pracowni malarskiej Willii. Na sztalugach widzimy portrety polityków, którzy odegrali kluczową rolę w walce o prawa czarnych obywateli Stanów Zjednoczonych: Fredericka Douglassa, Marcusa Garveya, Malcolma X i Martina Luthera Kinga. Willia stwierdza, że gdyby urodziła się mężczyzną, mogłaby stać się bohaterem tak jak oni. Choć jest niezależną kobietą, która odniosła sukces artystyczny i biznesowy, zdaje sobie sprawę, że do prawdziwej równości – dopuszczającej czarne kobiety do władzy i realnego wpływu – jest jeszcze daleko. Czarne ciała mogą już tańczyć przed Napoleonem, ale czy któraś z tych kobiet może zostać światową liderką? Siedząca obok córka odpowiada Willii, że kobiety, które wychowują dzieci, też są bohaterkami. Beyoncé w *Apeshit* nazywa matkę swoją „tarczą".

Mieszając porządki czasowe, Ringgold pokazuje, że zmiana wymaga wysiłku pokoleń, a każda emancypacja odbywa się dzięki tym, którzy wcześniej wyobrazili sobie, że będzie to kiedyś możliwe.

„Za to jesteśmy wdzięczni".

MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE

Pracę Faith Ringgold oraz blisko 200 innych artystek można zobaczyć w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie na wystawie *Kwestia kobieca 1550–2025* do 3 maja 2026 roku.

Więcej na **magazynpismo.pl/w-ramach-pisma**

eprasa.pl cab18af919

Fundacja

tekst IGNACY KARPOWICZ

W kawiarni pustki z ciastkami. Nie zabrał zapalniczki, zauważył palącą parę, więc wyszedł, zostawiając kurtkę, i poprosił mężczyznę i kobietę o ogień. Kobieta nazywała się Sophie i miała bardzo gęste rzęsy zrobione z norki. Mężczyzna nazywał się Ken i był nieprawdopodobnie przystojny i symetryczny.

– Jesteś bardzo przystojny – powiedział.

– Ty też – odpowiedział mężczyzna.

– To przez okulary. Odwracają uwagę.

Otrzymał zapalniczkę i buziaka.

Szwajcarzy są trochę dziwni.

Całują znienacka i prosto w policzek.

„Oby obyczaj dotyczył tylko przystojnych i po maturze" – pomyślał.

I stwierdził, że jego myśli są mdłe jak twarożek bez rzodkiewki.

Następnie usłyszał pytanie:

– Czy mogę cię podotykać?

– Jasne – odpowiedział. – Byle nie w krocze. To jest, nie tak od razu.

Kwestia wynikła z racji swetra. Przypominał syntetycznie kocie futerko i każdy chciał go dotknąć, a on lubił być dotykany przez ładne i czyste osoby.

Przystojny symetryk dotknął protagonisty w okolicach klatki piersiowej z wielką starannością i taktem i oznajmił:

– Sophie nie jest moją dziewczyną.

– Przykro mi – odpowiedział, choć nie było mu przykro, co najwyżej czuł rozdarcie po stronie etycznej, mniej więcej tam, gdzie marynarka ma podszewkę.

Nie chciał przypominać sobie niemieckiego, a po angielsku nie było, więc włączył automatycznego tłumacza w telefonie, żeby przeczytać menu w restauracji, do której wybierał się na kolację. I przeczytał: „nasze konie i krowy zabijamy lokalnie z miłością" – Fromagerie gourmande. W menu były również grillowane mózgi z zieloną sałatą i frytkami. Polecane dzieciom. Do dwudziestu franków.

Dopalił i nieco zrezygnowany wrócił do kawiarni.

Minęło z dziesięć minut od spotkania przy papierosie.

Ken podszedł do stolika, nadal przystojny, choć tym razem bez Sophie.

– Czy mogę się dosiąść? – zapytał, a on skinął głową. – Pewnie zastanawiasz się, dlaczego tak mam na imię?

Nie zastanawiał się nad tym.

– To taki żart rodziców – wyjaśnił Ken.

– Dość długotrwały – skomentował znad kawy. I dodał: – Nadal boli?

– Teraz to tylko kiedy się przedstawiam.

– Rozumiem.

Ale wcale nie rozumiał.

– A ty jak masz na imię?

Na blacie leżała porzucona paczka cukierków Werther's, więc powiedział:

– Werther.

– Też nieciekawie – podsumował Ken.

– Ale przedstawiam się inaczej, najczęściej mówię, że się wabię Nacho.

– Miło cię poznać, Nacho.

– Ciebie też, Marcusie.

– Zmieniłeś mi imię?

„Bystrzak" – pomyślał Nacho.

– Wolisz jakieś inne?

– Marcus może być. A w ogóle chodzi o to, że napisałem wiersz. Nazywa się Weltschmerz.

Wiersz pt. *Weltschmerz* (w przekładzie na polski):

Boli
Boli
boli
auć.

– Podoba mi się, że zrezygnowałeś z wielkiej litery w trzecim i czwartym wersie.

– Długo nad tym myślałem.

– Z pewnością.

I co teraz? Nikła chęć na zbliżenie seksualne minęła, gdy Ken wyjawił swoje IQ w czterech wersach. Zabolało.

– Wiesz – odezwał się – wiem, że stać mnie na więcej i sobie pomyślałem... – Szczątkowa uczciwość i grzeczność sprawiły, że nie przytaknął odruchowo. – Pomyślałem, że moglibyśmy się spotykać, żeby popracować nad moim wierszem. Bo jesteś pisarzem z Fundacji, prawda?

eprasa.pl cab18af919

rysunek GOTTFRIED MIND, Swiss National Library, domena publiczna

eprasa.pl cab18af919

IGNACY KARPOWICZ, pisarz, tłumacz literacki. Autor powieści, m.in.: *Niehalo* (2006), *Balladyny i romanse* (2010), *Ości* (2013), *Sońka* (2014), *Miłość* (2017), *Ludzie z nieba* (2024), pięciokrotny finalista Nagrody Literackiej Nike.

Skinął głową na tak. (W automatycznym tłumaczeniu brzmiało to następująco: mózg poruszył twierdząco).

– Zatem może dwa razy w tygodniu spotkamy się i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Ja stawiam rzecz jasna kolację w ramach zadośćuczynienia (*satisfaction*) lub wdzięczności (*gratitude*). – Zamilkł, najwyraźniej coś rozważając. – Jednak wolę „i" zamiast „lub".

Marcus był tak przystojny, że samobójstwem byłoby odmówić.

– Okej. To zacznijmy dzisiaj – oznajmił, poprawiając okulary, bo mu zjechały na czubek nosa. – Powiedz, co czujesz, gdy nie piszesz, że boli?

Marcus zastanawiał się.

– Czasem skrzypi mi w sercu.

– Brawo! – ucieszył się. – Mamy pierwszy wers!

Do drugiego wersu nie doszli.

Przy następnym spotkaniu Marcus chwycił go za rękę.

– Nie myśl – powiedział Marcus.

On znał bardzo wiele osób, które nie myślały. Równocześnie nie poznał zbyt wielu nieznajomych, którzy wiedzieli, że można nie myśleć.

„Obiecujące" – pomyślał.

Marcus zaciągnął go do malutkiego samochodu elektrycznego, chyba marki Renault. W środku samochód był jeszcze mniejszy, niż wydawał się z zewnątrz. Prawie dotykali się udami, a ich oddechy, nieoczekiwanie wspólne, zaparowały szyby.

Jechali z dziesięć minut, szli później drugie dziesięć, aż dotarli na polanę. Nic w niej pięknego nie znajdował. Burozielonkawa przestrzeń, ni to z trawy, ni mchu, ściekały po niej przedwiosenne strumyki. Przejrzyste jak soczewka mikroskopu.

Usiedli na pniu obalonego drzewa.

Nic się nie działo.

Nie myślał.

Przyszła ulga.

Cały świat odpłynął.

– Przychodzę tu, kiedy jestem smutny – powiedział Marcus.

Nie wypadało chyba reagować na takie wyznanie, dlatego chwycił go za zimną rękę i włożył ją sobie pod kurtkę, mniej więcej pomiędzy sercem a portfelem.

– Przychodzę tu, kiedy jestem smutny – powtórzył Marcus. – Codziennie.

Cisza dzwoniła w uszach. Przeleciały ze dwa przedwczesne trzmiele. I jakieś niewielkie ptaszki przyleciały i usiadły na gałęziach łysego drzewa. Przypominały niezerwane liście.

– Zaśpiewają? – zapytał.

– Nie. – Usłyszał w odpowiedzi. – One też są smutne. Trzeba będzie je zerwać z drzewa.

Cała rzeczywistość i realność milczały w kruchym porozumieniu.

Szczeliny istnienia, przypomniał sobie tytuł.

– Wyczuwam, jak bije ci serce. Moja ręka to czuje. Puls.

Dziwne. On sam nie wyczuwał bicia swego serca od lat.

Wtedy Marcus wziął jego rękę i włożył pod swoją kurtkę.

I rzeczywiście poczuł rytm jego serca. Ludzie je naprawdę noszą.

I tak zaczęły się ich regularne spotkania.

Najczęściej jechali na polanę. Dookoła wzgórza, w tle góry o spiłowanych wierzchołkach, chmury o nieoczekiwanych kształtach. Tamtego dnia przypominały rozsypany popcorn.

Wikipedia informowała, że na około ośmiuset mieszkańców połowa to single i singielki. Nie potrafił powstrzymać się od pytania, czy Marcus ma kogoś.

– Ta dostępna połowa to albo wdowy i wdowcy, albo dzieci. Nie jestem gerontofilem ani pedofilem. Sypiam tylko z przyjezdnymi. No, wiesz, z rezydentami z Fundacji. Rzadko. Nigdy nie wiadomo, czy trafi się odpowiednia kobieta albo odpowiedni mężczyzna.

Była to jak dotąd najdłuższa wypowiedź Marcusa.

Milczeli, zajadając sery i popijając winem.

Nad wierszem nie pracowali już od kilku spotkań.

Marcus uznał, że nie da się go bardziej poprawić. Zgodził się usunąć „auć", a trzecie „boli" zastąpić „straciłem ojca i kota".

—

LUTOWA BIEDRONKA pełzła po krawędzi paczki papierosów. Jak to szło? „Biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi trochę kokainy"?

Lutowe muchy spadały niczym irackie samoloty w czas Pustynnej Burzy. Obudziły się za wcześnie.

Przebywał w Fundacji na stypendium literackim.

Najbliższe miasteczko leżało o 25 minut spacerowym krokiem. Jura odpowiadała za ukształtowanie terenu. Praktycznie polegało to na tym, że nawet gdy się schodziło, to i tak było pod górkę.

Wybrał się do jedynego sklepu po coś do jedzenia i szampon. Jedzenie mu się nie skończyło, szampon owszem.

Kiedy wchodził pod górkę, przypałętał się biało-rudy kot. Stop! Zgodnie z wyrokiem sądu stanu Massachusetts z 2005 roku koty nie mogą się przypałętać, one się pojawiają, ukazują lub przychodzą. Przypałętać się mogą menele i choroby weneryczne.

Kot towarzyszył mu aż do czasu, gdy pojawiła się konno kobieta z dwoma czarnymi labradorami. Wtedy wskoczył na drzewo. „I to by było na tyle" – pomyślał. Nie był dobry w koty.

Jakie było jego zdziwienie, gdy kot pojawił się, ukazał lub przyszedł na balkon. Od razu wiedział, że to kotka. Poruszała się z elegancją niedostępną kocim chłopcom. Każdy jej krok wydawał się niedokonany i równocześnie spełniony, pozbawiony kierunku i precyzyjnie zaplanowany. Weszła do środka kabiny przez uchylone drzwi balkonowe. Zaczęła obchód. Czy da się otworzyć szafki w łazience? (Da się). Czy da się otworzyć lodówkę? (No nie da). Czy da się strącić książkę z biurka? (Spadały pięknie).

Obserwował jej zaznajamianie się z pomieszczeniem; przebiegało według nieznanej mu metodyki.

A po godzinie, kiedy starał się w ogóle nie interweniować, przeczuwając, że potencjalne porozumienie na linii kot–człowiek zakłada brak interwencji tego drugiego, zwinęła się w kłębek i zasnęła na łóżku. Jung twierdził, że otaczanie się okrągłymi przedmiotami ułatwia osiągnięcie psychicznej pełni. Pani Kot niekiedy przyjmowała okrągłą formę. Czasem stawała się linią futra, dość podłużną i według Junga niesprzyjającą rozwojowi psychicznemu.

Po dwóch dniach pozwoliła mu się dotknąć i przenieść z łóżka na podłogę. Wydawała się zdziwiona. W sumie, gdyby ktoś jego samego przeniósł z miejsca na miejsce (za darmo i bez biletu), też by się zdziwił.

eprasa.pl cab18af919

Trzeciego dnia przyszła ekipa sprzątających Filipinek. Być może nie były to Filipinki. Niestety nie istniał żaden wspólny język, w którym mogliby wzajemnie ustalić swoje pochodzenie. On po angielsku, one – po swojemu, krótko, jakby nawoływały młode w głuszy. Filipinki zachowywały się niczym piranie wyczuwające każde naruszenie regulaminu.

Zwierzęta były zakazane, więc choć to nie była jego Pani Kot, to nadal była zakazana. Nie mógł jej wynieść pod kurtką – nie osiągnęli tego poziomu wzajemnego zaufania – dlatego schował ją w szafie. Najpierw chyba jej się spodobało, ale później się znudziła i zaczęła w tej szafie skakać i prychać. Filipinki zapytały, co zamieszkuje szafę. Odpowiedział, że duch. Filipinki krzyknęły i uciekły.

I prawie nic nie posprzątały, a następnie przybył dyrektor techniczny z prośbą o niestraszenie personelu.

Odpowiedział, że nie ma wpływu na zjawiska nadprzyrodzone. I na te niedoprzyrodzone też.

Zjawisko zaś spędziło czas jego rozmowy z dyrektorem w koszu na brudne ubrania. Nawet nie miauknęła. Przypominała snajpera. Cicha i zabójcza, zagrzebana w jego koszulach i bieliźnie w ogóle go nie przypominała. „Trzeba – pomyślał – popracować jeszcze nad kamuflażem".

Z każdym dniem czuła się swobodniej. Zawsze zostawiał uchylone drzwi balkonowe, żeby mogła wychodzić. Znał z opowieści i autopsji sytuacje, z których nie można było łatwo wyjść.

Lubiła drzemać na płycie indukcyjnej. Nie przypalała się.

Plasterek prostokątnej wędliny kładła na podłodze i długo lizała, tak jak liże się lody. Wędlina przypominała kartę do gry, która wypadła graczowi.

Nie pamiętał, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie Panią Kot stracił Marcus, choć pewnie zadziałała u niego pisarska skłonność łączenia niezwiązanych ze sobą zdarzeń. Zwalczał w sobie tę skłonność.

Potrafiła przespać cały dzień. Wychodziła w nocy, a gdy nad ranem wracała, skakała po nim, jakby był rzeczą do przebudzenia. Pachniała lasem i pierwszymi kwiatami. Kładła się obok bez mruczenia i kazała podać sobie rękę. Trochę się ręką bawiła, trochę nie wykazywała nią zainteresowania. I spała. Spała tak bardzo, że straciła ochotę na strącanie przedmiotów. Ostatni był kubek cztery dni temu. Porządna robota, rozpadł się na dwie części, z żadnej nie dałoby się pić.

I pomyślał, że przecież on też tak spał po śmierci najbliższego przyjaciela. Spał jak kamień wrzucony w wodę. I wychodził tylko nocą. Na piżamę wciągał spodnie, kurtkę i błąkał się znajomymi za dnia ulicami. Nocą wyglądały inaczej. Zmutowały w linie asfaltu i chodników, którymi nikt szczęśliwy nie powinien chodzić. Powinien krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć, wyrzucić z siebie całą złość i bezradność. I spać.

I pomyślał, że Pani Kot jest w żałobie.

Odruchy codzienności i ta czapa koniecznego snu. Czy sen może być okrągły? Bo jeśli tak, staje się koszmarem. I wtedy zostają tylko nocne ulice i krzyk, krzyczeć choćby w środku siebie i tego okrągłego snu.

Nigdy nie pożegnał przyjaciela tak naprawdę.

I Pani Kot też tego nie zrobiła. Nie rozstała się z utraconą istotą, okruchem siebie.

Tkwili w osobnych kłębkach smutku i próbowali pozwolić życiu, żeby się przydarzyło coś lepszego, coś z kimś, bawienie się w łóżku, pazury w wykładzinie, niesmaczna ryba, Marcus, kiepski wiersz, wspólny sen.

Poczuła się bezpiecznie, nie nadużywała jednak zdobytego zaufania. Niczego nie niszczyła, a szuflady otwierały się przecież nocą same. Zaczęła domagać się większej uwagi. Czasem jego ręka musiała płynąć po linii jej kręgosłupa, płynąć i płynąć, żeby nie krzyczeć, dopóki nie przyszedł spokój.

Śledzimy nowości wydawnicze i wybieramy te najciekawsze. Więcej fragmentów książek udostępniamy bezpłatnie na **magazynpismo.pl/czytaj**

Trzy książki. Ten sam świat.

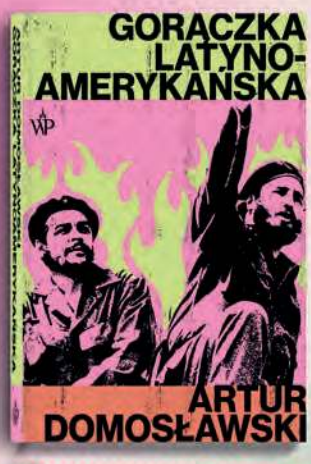

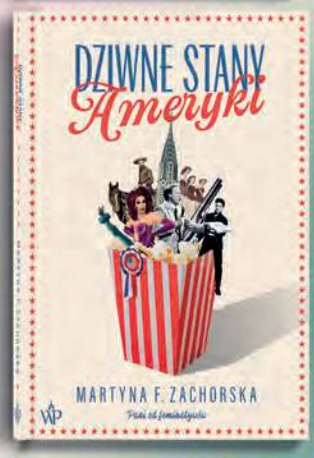

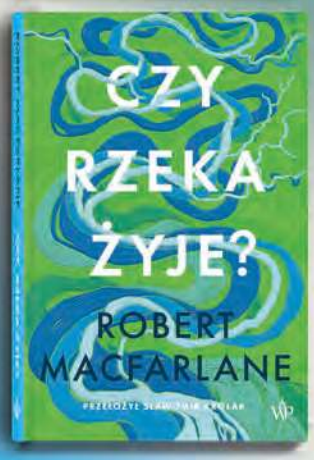

Przeczytaj nowości Wydawnictwa Poznańskiego

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

eprasa.pl cab18af919

FELIETON // LISTY Z CYFROWEGO ROJU

O śpiących buntownikach

tekst MAGDALENA BIGAJ

MAGDALENA BIGAJ, twórczyni i prezeska Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Autorka książki *Wychowanie przy ekranie*. Medioznawczyni, badaczka i działaczka społeczna. Pomysłodawczyni i współautorka Ogólnopolskiego Badania Higieny Cyfrowej. Laureatka Nagrody Korczaka za działania na rzecz praw dziecka w przestrzeni cyfrowej.

Zaparkowałam w garażu i poczułam, że wyjście z samochodu jest ponad moje siły, chociaż nie minęło jeszcze południe. Zdałam sobie sprawę, że od dłuższego czasu czuję zmęczenie i mam obniżony nastrój. Udałam się więc do mojego lekarza, który po przeprowadzeniu wywiadu zapisał coś na recepcie i podał mi ją w milczeniu. Było na niej jedno słowo: „spać".

Nie wiem, w którym momencie zaczęłam funkcjonować tak, jakby sen był luksusem, z którego można zrezygnować jak z ciasteczka do kawy. Kiedy kilka lat temu moje dziecko przestało się budzić na karmienie, zaczęłam nocami karmić pierwszą książkę. Chodziłam spać po drugiej w nocy i wstawałam o siódmej. Zmęczenie przypisywałam posiadaniu trójki dzieci, psa, pracy i tego wszystkiego, co nazywamy życiem. Po dwóch latach siedziałam u psychiatry pewna, że zapadłam na depresję, bo przecież wszystko było wspaniale, książka świetnie się sprzedawała, a dzieci rosły zdrowe i rumiane. Co mogło być przyczyną mojego braku sił i gotowości do płaczu z byle powodu? Lekarz kazał mi się wyspać i wrócić, jeśli objawy nie ustąpią. Wyjechałam więc na długie wakacje *all inclusive*, podczas których nie musiałam myśleć o karmieniu ludzi i książek. Spałam po 15 godzin na dobę, a po powrocie zupełnie nie potrzebowałam wizyty u lekarza. Opowiadam tę osobistą historię bynajmniej nie po to, by lekceważyć objawy depresji. Wręcz przeciwnie. To doświadczenie nauczyło mnie, że brak snu jest jak kredytowa „chwilówka": łatwo przychodzi, spłaty rozkładają się na wiele lat, a bilans i tak wychodzi *in minus*.

Poza brakiem sił i obniżeniem nastroju długotrwałe niedobory snu mogą powodować między innymi problemy z pamięcią, uczeniem się i koncentracją, a także lęki, spadek odporności oraz negatywnie wpływać na stan cery. Mogą nawet spowolnić przemianę materii, sprzyjając otyłości. Zbyt krótki sen jest bowiem dla organizmu sytuacją stresującą, co powoduje produkcję kortyzolu, czyli hormonu stresu. Potrzebujemy go do życia – szczególnie gdy trzeba rano wstać – ale w nadmiarze powoduje gromadzenie tkanki tłuszczowej, zwłaszcza w okolicach brzucha. Rozregulowany rytm dobowy, wpływając na naszą gospodarkę hormonalną, często prowadzi do nocnych napadów głodu. Przyznam ze skruchą, że niejeden felieton pisany nocą powstał na bazie chleba z masłem lub czekolady.

To ile właściwie powinniśmy spać? Odpowiedzi szukam w rekomendacjach Amerykańskiej Akademii Medycyny Snu. Według specjalistów dorośli powinni spać 7–9 godzin na dobę, przy czym siedem to absolutne minimum. Starsi nastolatkowie (13–18 lat) potrzebują do zdrowia 8–10 godzin snu, młodsi nastolatkowie i dzieci (6–12 lat) – 9–12 godzin. Młodsze dzieci powinny spać 8–10 godzin. Nie mówiąc o niemowlętach, które często niestety nic sobie nie robią z rekomendacji sięgającej nawet 16 godzin.

Dlaczego w *Listach z cyfrowego roju* piszę o śnie, który pozornie jest wyjęty spod jurysdykcji technofeudalizmu? Używam słowa „pozornie", bo mam nieodparte wrażenie, że kiedy nocą schodzimy z codziennej szychty, to z wieloma z nas nic tak gładko nie wchodzi do łóżka jak scrollowanie. I rozumiem to, też tam byłam. Zmęczona fizycznie, przeciążona informacyjnie chciałam się pośmiać z memów Make Life Harder, zobaczyć, co wydarzyło się na świecie, odpisać znajomym. Tylko godzinę później orientowałam się, że właśnie kupuję nową sukienkę i dyskutuję na komunikatorze z koleżankami, a moje szanse na zdrowy sen maleją.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

Fundację Pismo, wydawcę magazynu „Pismo", wspiera **Orange**.

eprasa.pl cab18af919

A gdyby tak w centrum rozwoju technologii postawić człowieka? Magdalena Bigaj, medioznawczyni i twórczyni Fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, pyta o społeczne koszty postępu technologicznego. Ile za niego płaci *homo sapiens digitalis*? I jak higiena cyfrowa może nam pomóc zachować zdrowie fizyczne, psychiczne i społeczne? Więcej na **magazynpismo.pl/listy-z-cyfrowego-roju**

Wiemy już, że w stanie zmęczenia poszukujemy najprostszej, najszybszej i najtańszej energetycznie strategii rozluźnienia oraz obniżenia napięcia – przecież taki TikTok to ma kalorycznie ceny niemal dyskontowe! Nawet nie musisz ruszać palcem – funkcja *infinite scroll* może ci w nieskończoność wyświetlać materiały wideo jeden po drugim. Problem polega na tym, że scrollowanie przed snem nie ma nic wspólnego z odpoczynkiem i jedynie zagłusza jego potrzebę. W rzeczywistości świecimy sobie światłem ekranowym w oczy, trzymając często telefon zbyt blisko twarzy, a algorytmy treści serwują nam na późną kolację mielonkę informacyjną wywołującą skrajne emocje, by jak najdłużej przytrzymać nas przy ekranie.

W tym miejscu zwykle pojawia się pytanie o to, czym się różni czytanie w łóżku na ekranie telefonu od czytania książki w druku lub na czytniku. Czytanie książki, magazynu czy choćby przeglądanie gazety z ciekawostkami wiąże się ze skupieniem na jednej czynności. Choćbyśmy czytali najbardziej niesamowite historie, układają się one w pewną spójną całość, a z marginesów nie wyskakują powiadomienia w stylu: „Oceń tego autora!"; „Sprawdź, po jakie książki sięgają twoi znajomi!". Notabene, przez chwilę wyobraziłam sobie świat, w którym książki projektuje Wydawnictwo Zuckerberg & Musk. Na razie jedyną przewagą, jaką w łóżku ma telefon nad książką, jest to, że mniej boli, jak ci z powodu senności spadnie na twarz TikTok niż *Quo vadis*.

Nie bez powodu więc międzynarodowe gremia lekarskie zalecają, by na jedną–dwie godziny przed snem nie patrzeć w ekran telefonu, tabletu czy komputera. Jak to wygląda w praktyce? Od 2022 roku kieruję Ogólnopolskimi Badaniami Higieny Cyfrowej (OBHC), w których analizujemy reprezentatywne grupy dorosłych, a od ubiegłego roku także młodzieży w wieku 13–17 lat. Okazuje się, że 18,5 procent osób dorosłych nie używa telefonu po godzinie 22:00 (*Higiena cyfrowa dorosłych* – raport z OBHC wykonanych w 2024 roku), a w przypadku nastolatków robi to tylko co dziesiąta osoba (*Higiena cyfrowa i aktywność fizyczna młodzieży w Polsce – raport z OBHC z 2025 roku*). A to właśnie godzina 22:00 jest tą granicą, która pozwala odtajać jeszcze przez odpowiedni czas z ekranowego zamrożenia, a następnie wyrobić normę snu.

Ale nie wszystkich te statystyki martwią. Jonathan Crary w swojej książce *24/7. Późny kapitalizm i celowość snu* zwraca uwagę, że nowoczesne technologie całkowicie zaburzyły cykl natury. Oto noc nie ma już nad nami żadnej władzy w czasach produktów i usług cyfrowych dostępnych w internecie przez całą dobę. W takim świecie nie tylko sen, lecz wszystko, co związane z naszym ciałem doświadcza „instytucjonalnej nietolerancji wobec wszystkiego, co hamuje lub utrudnia zinstrumentalizowaną, powszechną widoczność". Książkę Crary'ego otwiera opis prowadzonych przez Departament Obrony Stanów Zjednoczonych badań nad pasówką białobrewą. Po co Amerykanie obserwują tego ptaka? Otóż pasówka, przemierzając trasę między Alaską a Meksykiem, potrafi nie spać nawet przez siedem dni. Celem badań jest więc odkrycie metody zniesienia potrzeby snu. „Chodzi o stworzenie nieustannie czuwającego żołnierza", a projekt powinien się zakończyć „zyskaniem choćby częściowej kontroli nad snem" – pisze Crary, zauważając, że nieśpiący żołnierz będzie protoplastą nieśpiącego pracownika czy konsumenta. Nie mam wątpliwości, że pasówka białobrewa ma wielu fanów w Dolinie Krzemowej.

Zamach kapitalizmu na nasz sen dokonuje się jednak już od dłuższego czasu. Wystarczy przywołać rozmaite „nosidła" cyfrowe (zwane po angielsku *wearable*) i utensylia, których reklamy przekonują nas, że zwykłe spanie jest totalną stratą potencjału. Wszak podczas snu możemy zadbać choćby o owal twarzy, do czego w ubiegłym roku zachęcała Kim Kardashian, sprzedając na pniu swoje opaski na twarz będące niczym innym jak elastyczną uprzężą, która bez wątpienia wpływa na efekty snu – tylko mam wątpliwość, czy pozytywnie (ortodonci już przestrzegają, że może to prowadzić do zaburzeń w funkcjonowaniu stawów skroniowo- żuchwowych). Zresztą sprawdźcie w mediach społecznościowych hashtag Sleeping Beauty Aesthetic, a sami się przekonacie, że nawet śpiący żołnierz może być na służbie kapitałocenu.

Nad powrotem do regularnego snu musiałam długo pracować i nie uniknęłam próby ułatwienia sobie tego z inteligentnym „nosidłem". Nabyłam dobrej marki gustowny czasomierz, który poza dziesiątkami rodzajów aktywności fizycznej, których nigdy nie podejmę, miał cenną funkcję pomiaru jakości mojego snu. Ale kiedy przez siedem kolejnych dni pierwszym komunikatem, jaki dostawałam o poranku, była informacja, że siedem godzin jak krew w piach, bo mój sen – zdaniem nosidła – był słabej jakości, szybko pozbyłam się tego gadżetu, postanawiając zrobić coś zupełnie dzisiaj niemodnego: nie wiedzieć i nie kontrolować. A przede wszystkim nie być kontrolowaną przynajmniej przez te minimum siedem godzin na dobę.

Może właśnie dlatego Jonathan Crary twierdzi, że zwyczajny sen jest „jednym z ostatnich przyczółków buntu i wolności jednostki"? A zatem buntujmy się na zdrowie! Dobranoc.

eprasa.pl cab18af919

Przyjaciele papieru

tekst AGATA ROMANIUK

Drobne historie o wielkich rzeczach. Felietony o ludzkich sprawach widzianych przez pryzmat przedmiotów codziennego użytku.

Więcej na **magazynpismo.pl/cos-na-rzeczy**

AGATA ROMANIUK, doktorka nauk społecznych, reporterka i bajkopisarka. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Inicjatorka projektu reportersko-badawczego Światła Małego Miasta.

Dostałam go w prezencie, choć wcale nie wygląda okazale. Czarna farba nieco obłazi, jest poobijany, w dodatku lekko się zacina. Ważę go w dłoni i dziwię się, że choć mały, jest taki ciężki i solidny. Słusznie. Zapewne powierzano mu ważne sprawy. Pisma urzędowe, dokumenty rodzinne, może jakieś listy, rękopisy, strony testamentu związane wstążeczką. Na spodzie widnieje oznaczenie: D.R.G.M. Z początku litery te były dla mnie tajemnicą, ale szybko okazało się, że to skrót od Deutsches Reich Gebrauchsmuster, co znaczy: wzór użytkowy rzeszy niemieckiej. Sygnowano nim przedmioty, które były chronione prawnie jako wzory użytkowe przez Urząd Patentowy Rzeszy aż do 1945 roku. Z tego znaku i ze zdjęć podobnych modeli wnioskuję, że mój niepozorny dziurkacz, znaleziony na czeskim targu staroci, jest albo przedwojenny, albo wyprodukowano go już w trakcie nazistowskiej ofensywy.

Nagle jego niewinność staje się wątpliwa. Czy służył sprawom najgorszym? Czy pośredniczył, w swojej żeliwnej nieświadomości, w skazywaniu ludzi na śmierć? Czy może przeczekał całą wojnę na jakiejś prowincjonalnej poczcie albo w biurku małomiasteczkowego notariusza? I czy to w ogóle ma znaczenie? Czy możemy mówić o winie lub niewinności przedmiotów? Nie mam oczywiście na myśli armat, dronów czy karabinów, ale takie jak mój dziurkacz drobne przedmioty biurowe.

Weźmy pod lupę innych przyjaciół papieru – spinacz, zszywki, pinezki. We wspaniałym zbiorze esejów *51 zabaw (z) rzeczami. Doświadczanie rzeczywistości* Roger-Pol Droit poświęca temu pierwszemu osobny tekst. Z uważnością pochyla się nad skromną naturą spinacza, który bez żadnej fanfaronady, anonimowy i użyteczny, bez oceniania czegokolwiek i kogokolwiek, po prostu wykonuje swoją robotę i tym samym staje się, prawie przezroczysty, trafną ilustracją etyki. I może tym oni właśnie są, ci niespektakularni przyjaciele papieru – rodziną rzeczy dyskretnych, pozostających w cieniu tego, co zostało napisane. A ostatecznie to jest właśnie ważne – co i jak, i przez kogo zostało napisane.

Patrzę na mój dziurkacz, pisząc ten tekst do 100. numeru „Pisma". Bardzo wyraźnie pamiętam pierwsze wydanie magazynu. Na okładce barwna grupa ludzi, w metrze albo w tramwaju. Nazwiska: Springer, Król, Karpowicz. W środku pogłębione, przedstawiające różne punkty widzenia teksty. Jedną z ilustracji ze środka wycięłam nożyczkami i przypięłam pinezką nad biurkiem. Wisiała tam kilka lat, aż ta przyjaciółka papieru zardzewiała, a obrazek wypłowiał.

Do dziś czytam tylko papierowe „Pismo". Wycinam z niego fragmenty, całe teksty. Lubię trzymać magazyn w dłoni. Zaginać rogi, a czasem – przyznaję się bez bicia – zostawić ślad kawy albo inny dowód życia na stronie. Lubię go zwinąć w rulon i upchnąć w bocznej kieszeni plecaka. Zamoczyć, czytając w wannie. Kolegujemy się. Jak dziurkacz, spinacz czy zszywka z papierem. I dlatego życzę „Pismu" 100 lat. I wielu przyjaciół – dyskretnych, z jak najpiękniejszymi, różnorodnymi sygnaturami, cokolwiek będziemy chcieli przez to rozumieć.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków **Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego** pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

rysunek ANNA GŁĄBICKA

eprasa.pl cab18af919

Grafika autorstwa Mary Zaleskiej inspirowana filmem *Kokuho*

KOKUHO JUŻ W KINACH

OSCARS NOMINACJA
CHARAKTERYZACJA I FRYZURY

Monumentalna opowieść o dążeniu do doskonałości, pasji i poświęceniu. Syn zamordowanego przywódcy yakuzy zrobi wszystko, by zostać największym aktorem teatru kabuki i zdobyć tytuł Kokuho – żywego skarbu narodowego. Duchy przeszłości nie dają jednak o sobie zapomnieć.
Dystrybucja: Kinoteka

KINOTEKA

eprasa.pl cab18af919

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Wspieraj rzetelne dziennikarstwo i przekaż 1,5% swojego podatku na Fundację Pismo.

1,5%

KRS 0000689263

Zeskanuj kod QR, by dowiedzieć się więcej o fundacji
lub wejdź na magazynpismo.pl/o-pismie

eprasa.pl cab18af919